

BUDZISZ:

**MUSIMY PRZYWRÓCIĆ
POWSZECHNĄ SŁUŻBĘ
WOJSKOWĄ**

WILDSTEIN:

**MOCNO O SALONIE III RP
PO AWANTURZE DOTYCZĄCEJ
TEKSTU KURSKIEGO**

WOŁCZYK:

**CO KSZTAŁTUJE
MYŚLENIE PAPIEŻA FRANCISZKA?**

**DODATEK
NA MAJÓWKĘ**



SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

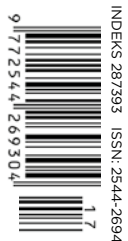
Nr 17-18 (543-544) 2023
24 kwietnia – 7 maja 2023

CENA: 9,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY:

JAK POLSKA WYGRAŁA BITWĘ DYPLOMATYCZNĄ Z IZRAELEM

**TO KOLEJNY DOWÓD,
ŻE KONSEKWENCJA
SIĘ OPŁACA,
A POZYCJA POLSKI
WZRASTA.
POZNALIŚMY KULISY
WIELOMIESIĘCZNYCH
NEGOCJACJI**





Drodzy Czytelnicy,

siedem lat wspólnej, bo także Państwa, walki o utrzymanie demokratycznego wyboru Polaków, o prawdę w życiu publicznym, przeciw sorosowym i niemieckim nagonkom, mafiom watowskim, paliwowym i gangom „złotych chłopców”, krajowym i zewnętrznym puczom, a także bezprawnym berlińsko-brukselskim sankcjom nałożonym na Polskę, przyniosło wielki efekt.

W ciągu ostatniego roku dodaliśmy wszyscy do tej listy odparcie ataku na polskie granice, mimo objawionej V Kolumny i wielki wkład w przeciwstawienie się barbarzyńskiej napaści rosyjskiej na Ukrainę. Mimo pandemii, putinflacji, wszystkich trudności i presji, Polska idzie mocno w górę, realizuje potężne inwestycje, wzmacnia niezależność gospodarczą, dba wreszcie o rodziny, seniorów i młodzież. Polska odzyskała też ambicję i sprawczość.

W tym krytycznym roku Polska szczególnie potrzebuje silnych propolskich mediów. Dlatego zwracamy się do Państwa z prośbą o wsparcie, o ten gest pomocy, o zaprenumerowanie tygodnika „Sieci”. Dla siebie lub kogoś bliskiego.

Michał Karnowski

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
SIECI HISTORII	-	169 zł	295 zł

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na pocście, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 9-16)



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocście:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz swój adres zamieszkania – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 265 zł)





Co pokażą 4 czerwca?

Wygłąda na to, że Donald Tusk został ze swoim marszem 4 czerwca niczym Himmler z angielskim. Przedstawiciele Szymona Hołowni i Kosiniaka-Kamysza są wyraźnie obrażeni, że nikt nie zaprosił ich na partyjną imprezę Koalicji Obywatelskiej. Z pomocą biegną za to Marta Lempart, Robert Biedroń, Babcia Kasia i znudzony Trzaskowski. Dlaczego tak się stało?

Donald Tusk, który wyraźnie obraził się na swoich przyszłych (?) koalicjantów, nie widział powodu, by zapraszać na swój marsz innych przedstawicieli opozycji. Po co? Przecież miesiącami wyszydzani przez jego media, łajani przez samego Tuska, powinni rzucić wszystko i się podporządkować. Kosiniak-Kamysz i Hołownia wytrzymali tę presję, a dziś nie mają żadnego interesu, by wspierać byłego premiera i jego partyjną imprezę. Nie muszą mu pomagać, gdyż ten słabnie w sondażach i nic nie wskazuje, by przed wyborami przekroczył szklany sufit 30 proc. poparcia. Tusk przegrał z własną pewnością siebie i butą. Uwierzył, że sprawę załatwi za niego największa „partia opozycyjna”, czyli posłuszne mu media. Załatwi mu oszałamiającą frekwencję? Niekoniecznie, chociaż nie można tego wykluczyć. Wiadomo już, że nie będzie efektu jedności, który miał nieco pomóc w zniwelowaniu niesmaku po wspólnej liście opozycji.

Zwróćmy więc uwagę na „sukcesy” Donalda Tuska w kwestii dotyczącej marszu 4 czerwca. Swoje wsparcie wyraziła już Marta Lempart i jednocześnie przygotowała dla Tuska stosowne hasło czerwcowej masówki: „Wypier...ć! [...] Ogłosimy to jednym głosem 4 czerwca w Warszawie” – czytamy na profilu społecznościovym Strajku Kobiet.

Tuska wspiera też Robert Biedroń ze swoimi tęczowymi szaleństwami i ideologicznym odlotem. Dziś tak wygląda „koalicja” byłego premiera. O przepraszam! Na marszu 4 czerwca zjawi się niezawodna Babcia Kasia, czyli agresywna aktywistka ulicznej opozycji, znana ze swoich przepychanek z policją i wulgarnej języka.

Blado to wygląda.

Na pocieszenie zostaje Donaldowi Tuskowi Rafał Trzaskowski, który znudzony słuchał niedawno jego tyrady. Wprawdzie deklaruje, że „wszystkie ręce na pokład”, ale znając obecnego prezydenta Warszawy, kupi się on na swoim własnym wizerunku i będzie przekonywał, że to on reanimuje Tuska. O korekcie miały przesądzić słabe sondaże.

Wniosek jest prosty: gdyby nie Trzaskowski, to Donald Tusk miałby problem z doczołganiem się do wyborów. 

Wojciech Biedroń



Nie pójdziemy tą drogą

Podziwiam zapal, z którym dziennikarze największych mediów III RP udowadniają, że sztuczna inteligencja jest w stanie napisać takie teksty, że redaktorzy kierujący je do publikacji nawet się nie połapali. Kolejni dziennikarze chwają się takimi numerami.

Co ciekawe, także czytelnicy tych mediów uznają, że wszystko jest jak zwykle. Nikt nie zauważył różnicy.

Wcale im się nie dziwię. Jedna sztanca, jedna ideologia, niechęć do zmierzenia się z faktami, wtórność myśli, nieustanne kampanie nagonkowe i zwykłe wymysły – to codzienność tych redakcji. Od siedmiu lat ten taśmociąg porusza się coraz szybciej, co w sposób oczywisty powoduje wzrost automatyzacji. Być może ludzie będący w środku tych medialnych organizacji tego nie zauważyli, ale w wielu przypadkach *de facto* już dawno stali się sztuczną inteligencją.

Nie sądzę, by sztuczna inteligencja do mediów III RP dopiero wchodziła. Ona od dawna tam rządzi. To najlepsze otoczenie dla kłamstw, manipulacji i braku poszanowania dla polskiej tradycji, racji stanu.

Dla człowieka twórczego, dziennikarza, taki kres wolności to straszny los. Dla człowieka, który sprawy publiczne traktuje poważnie, to dowód na brak odpowiedzialności twórców ogromnej części mediów. Obszar wymagający szczególnego namysłu, gdzie słowo ma znaczenie, stał się fabryką papki bez treści.

Dlatego nie pójdziemy tą drogą. Co innego procesy technologiczne, zarządzanie logistyką, co innego publicystyka, teksty informacyjne. Tu zawsze musi być najpierw namysł, wiedza, analiza, dobra wola.

Zapewniam państwa, że w naszych mediach zachowamy autentyczność dziennikarskiej i publicystycznej twórczości. Tak jak dotąd będziemy każdą informację wielokrotnie sprawdzali zgodnie z najlepszymi standardami dziennikarstwa, a wnioski będziemy wyciągali po namyśle, z troską o dobro wspólne.

Słowo ma znaczenie. Idee mają siłę. Prawdy trzeba bronić.

Państwo też mogą dolożyć swoją cegielkę do rozwoju naszego propolskiego ośrodka. Zachęcam serdecznie do tradycyjnej bądź elektronicznej prenumeraty tygodnika „Sieci”. To dla nas najlepsza pomoc. 

Michał Karnowski


30

Pokolenie bez jasnej wizji
Konrad Kołodziejski


40

Najpierw NATO, potem pokój
Jan Rokita


**55-
-85**

Dodatek
Na majówkę

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 MARSZ NA MARSZ**
Krzysztof Feusette
- 9 SŁODKICH SNÓW!**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 ODDAĆ TUSKA NIEMCOM!**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 SAMOKRYTYKA W SŁUŻBIE WOLNOŚCI, CZYLI SALON III RP**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA JANUSZA GRUDZIŃSKIEGO**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 ZROBIENI NA ZIELONO**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 OPOZYCJA, UPIAJĄC SIĘ „WINAMI PIŚ”, SKAZUJE SIĘ NA KLĘSKĘ**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 WARTO ROZMAWIAĆ. TWARDO**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 24 Z JÓZEFEM ORŁEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
- 28 TUSK NA ULICY**
Stanisław Janecki
- 30 POKOLENIE BEZ JASNEJ WIZJI**
Konrad Kołodziejski
- 32 PRZYWRÓĆMY POWSZECHNĄ SŁUŻBĘ WOJSKOWĄ**
Marek Budzisz
- 36 JASNO OŚWIECONY**
Dariusz Matuszak

ŚWIAT

- 40 NAJPIERW NATO, POTEM POKÓJ**
Jan Rokita
- 44 KIM SĄ PROROSYJSCY UKRAIŃCY W DONBASIE?**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 46 SKANDAL W AXEL SPRINGER**
Goran Andrijanić

OPINIE

- 48 NA BAKIER Z HISTORIĄ POLSKO-WĘGERSKĄ**
Grzegorz Łubczyk, Imre Molnár
- 50 PRAWDZIWA TRAGEDIA, FAŁSZYWE OSKARŻENIA**
Grzegorz Górny
- 52 KOMUNISTA, PERONISTA CZY SYN SWOJEJ ZIEMI?**
Małgorzata Wołczyk

NA MAJÓWKĘ

- 56 DROGA PRZESZ KONSTYTUCJĘ**
Wojciech Łada
- 62 Z MICHAŁEM WÓJCIKIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 66 KORONACJA NA MIARĘ CZASÓW**
Aleksandra Rybińska
- 69 TAJWAN – WYSPA WAŻNIEJSZA NIŻ INNE**
Konrad Kołodziejski
- 72 HITCHCOCK TEGO NIE ZMYŚLIŁ**
Przemysław Barszcz
- 76 ZABAWY Z OGNIEM**
Anna Monicka
- 79 NIECH ROCK BĘDZIE Z WAMI**
Jolanta Gajda-Żadworna
- 82 FRANCISZEK ODCHODZI Z KOŚCIOŁA**
Robert Tekieli
- 83 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 84 POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

- 88 Z ARTUREM SOBONIEM**
rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko

ZDROWIE

- 96 POZA APTEKĄ BEZ ZMIAN**
Piotr Filipczyk

NA KONIEC

- 100 JAKI SAMORZĄD?**
Wojciech Reszczyński
- 101 ARDANOWSKI, WRÓĆ!**
Aleksander Nalaskowski
- 102 CELEBRYTKA ZBAWIA ŚWIAT**
Jan Pospieszalski
- 103 POSZUKIWANIA ZAGUBIONYCH POSŁÓW**
Jerzy Jachowicz
- 103 44 RAZY NIEMEN**
Adam Ciesielski
- 104 W WORKU POKUTNYM**
Ryszard Makowski
- 105 KWIETNIOWO, ODLOTOWO...**
Leszek Długosz
- 106 INSTYNKT STRATEGICZNY**
Andrzej Zybortowicz

Łączy nas biało czerwona



ORLEN



2 maja
Dzień flagi
#mojaflaga

niepodległa

Sygnalista nadaaje

» **Tomasz Lis** pożegnał się z współtworzonym przez siebie radiowym programem w pewnej skrajnie lewicowej stacji. Pożegnał się ze wzruszeniem, choć kilka dni wcześniej antenę tę nazwał „Ćwok Radio”, a jeszcze wcześniej redakcja go pognała po wybuchu skandalu wokół (jak donosiły media) nieobyczajnego zachowania pana redaktora. Lis podkreśla jednak, że walka o praworządność, normalną, demokratyczną europejską Polskę trwa. Na szczęście nie będzie jej już prowadził w redakcji „Newsweeka”. Redaktorki mające ładne staniki i redaktorzy o słabszej odporności psychicznej odetchnęli z ulgą.

» W innym medium Agory pochwalili się z kolei, że dziennikarz zlecił napisanie tekstu sztucznej inteligencji, redaktorzy dzieło przyjęli, wydrukowali, a czytelnicy nawet nie zauważyli. I to ma być sensacja? W naszej ocenie tam od dawna pisze jakaś sztuczna inteligencja, ślepa na fakty, ludzkie uczucia, realizująca zaprogramowany scenariusz.

» Przykładem może być „news”, który obiegił media, w tym portale Wirtualna Polska i natemat.pl, o rzekomym incydencie z udziałem samolotu premiera **Mateusza Morawieckiego** odlatującego z Waszyngtonu do Warszawy. Podano, że uderzyły w niego ptaki i premier musiał zawrócić. W rzeczywistości w samolot uderzyły nie ptaki, ale amerykański kierowca ruchomych schodów, nie w trakcie lotu, ale jeszcze na ziemi.

No i nie w samolot premiera, ale w drugi, którym miała lecieć część ekipy szefa rządu i dziennikarze. Nic się nie stało, trzeba było jednak maszynę porządnie sprawdzić. Kolejny przykład jakościowego dziennikarstwa.

» Choć o szkodach mniejszych, niż może wywołać poseł Lewicy **Maciej Gdula**. „Co ty wiesz o polskich komunistach?” – zagaił polityk w sieci społecznościowej, dowodząc, że „byli polscy, bo konspirowali jak każde kolejne polskie pokolenie od XIX w. Byli komunistami, bo przedkładali partię nad naród i jednostkę. Byli buntownikami i byli konformistami”. Jego zdaniem „ZSRS jawiła im się jako kraj zmiany i trzeba pamiętać, że większość z nich urodziła się jeszcze w Rosji”. Tyle zrozumiał z tej straszliwej historii zdrajców i ludobójców. Polecamy przenosiny do Korei Północnej, dziękujemy za przypomnienie, że komuniści pozostają zagrożeniem, prosimy o modlitwę za dziesiątki, miliony jego ofiar.

» Za plecami Gduli jeszcze gorsi „demokraci”. Marta Lempart tak zaprasza na marsz organizowany przez Donalda Tuska: „WszyscyNaWarszawę. Po legalną, bezpieczną, darmową aborcję. Do fanatyków, którzy zszargali, zdeptali, obrócili w pył prawo i sprawiedliwość, do morderców, układowczyków, złodziei, politycznych handlarzy, mizoginów obsesjonistów: mamy was dość! Wypier...ć! Chcemy Polski bezpiecznej i praworządnej. I taka będzie. Ogłosimy to jednym gło-

» **Przemoc III RP daje coraz wyraźniejsze przyzwolenie. W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa umorzono sprawę karną w bulwersującej sprawie Piotra Sz., byłego pracownika Ringier Axel Springer Polska, który dopuścił się publicznego ataku na kierowcę ciężarówki pro-life. Sędzia uzasadniła swoją decyzję znikomą szkodliwością społeczną czynu, a zachowanie napastnika rzekomo nie było długotrwałe. „Gdy tylko zaobserwował, iż nie może wpłynąć w jakikolwiek sposób na czynności pokrzywdzonego, zaprzestał jego szarpania i oddalił się z miejsca zdarzenia” – stwierdziła sędzia Monika Louklinska. Innymi słowy, pobił tylko trochę. Zła wróżba na przyszłość.**

sem 4 czerwca w Warszawie”. Zaryzykujemy tezę, że ten tuskowy marsz gdzieś dojdzie, ale nie wygląda by był to przystanek o nazwie „przejęcie władzy”.

Donald Tusk zresztą najwyraźniej uważa Polaków za idiotów. Po tym jak bliska mu stacja telewizyjna wylała szambo kłamstw na św. Jana Pawła II, a on to milczeniem przyklepał, kolejny raz próbuje odwracać kota ogonem. „Żadna partia polityczna, żaden polityk nie powinien używać pamięci o Janie Pawle II przeciwko drugiemu człowiekowi” – ogłosił podczas spotkania na Podlasiu. Co znaczą te apele w praktyce? Niech sobie media dokończą brudną robotę, a reszta, w tym politycy, mają milczeć. Cwany plan.

Jeszcze cwańszy ma prof. Maciej Górecki, pracownik Uniwersytetu Warszawskiego, który wpadł na pomysł, jak można pomóc opozycji wygrać wybory. „Jeśli chcemy pokonać dyktaturę, to musimy dokonywać bardziej świadomych decyzji turystrycznych. Jeśli Podkarpacie czy Podlasie, to nocleg tylko u sprawdzonego gospodarza niechętnego PiS”. Nasuwają się trzy uwagi. Po pierwsze, z nauką polską jest naprawdę źle. Po drugie, dzięki temu PiS może rządzić jeszcze kilka kadencji. Po trzecie, oni naprawdę nic nie wiedzą o Polsce poza swoimi bańkami.

Poszalały też Monika Olejnik i Agnieszka Holland. Rozmowę wywołała okładka „Sieci” i artykuł, przestrzegające przed „filmowym ciosem w plecy obrońców granic”. Najlepiej streścił ten dialog na wPolityce.pl Marek Pyza: „Winę za śmierć Żydów w warszawskim getcie ponoszą Polacy, bo powstańcom nie pomogli, a z radością patrzyli, jak ci płoną żywcem. Łukaszenko nie sprowadzał nielegalnych migrantów na polską granicę. Polacy są rasistami, pomagając Ukraińcom, ale ignorując los przybyszów z dalekich krajów atakujących nasze zapory graniczne. Ci z tygodnika »Sieci« to już rasiści nawet niekryjący swoich uprzedzeń. Globalne ocieplenie spowoduje, że bogata Północ będzie musiała przyjąć tylu migrantów, ilu zechce do nas przyjechać i dzielić nasz dobrobyt”. Od dawna proponujemy, by rząd testowo zaproponował lokalizację ośrodków dla podesłanych przez Łukaszenkę uchodźców w luksusowych dzielnicach Warszawy. Efekt może być ciekawy.



„Sieci” czepia się też Grzegorz Sroczynski z portalu gazeta.pl. W tekście „Paranoja w męskiej szatni, czyli pięć rzeczy, które zatrują polską politykę” poskarżył się na nas: „Czytanie w tygodniku »Sieci« kolejnych felietonów-odezw, które wypisują bracia Karnowscy jest jak chodzenie do McDonald’s. Ta kanapka zawsze smakuje tak samo i zawsze dostajesz powiększony zestaw: Polska to kraj z wielkimi ambicjami, trwa walka o to, czy uda się te ambicje zrealizować, teraz nastał czas próby, maski opadły, prosimy o rozwagę i ostrożność, trzeba prowadzić walkę z zimną krwią, nie dajmy się sprowokować, Tusk zły, elity złe, ich powrót byłby końcem polskich marzeń itd., itp.”. W sumie, pomijając złośliwości, tak właśnie jest. Dziękujemy za przekazanie tego odbiorcom agorowego portalu.

O ile Sroczynski przetrwa ewentualne rządy „oboazu demokratycznego”. Ten bowiem zawył za kilka krytycznych uwag ogłoszonych przez Sroczynskiego w tym samym artykule, a zwłaszcza za stwierdzenie, iż „partie opozycyjne w tej chwili niemal jawnie szykują się na dalsze bycie w opozycji”. Ostro zareagował **Roman Giertych**. „Takie postacie mediów jak Pereira, Gmyz, Duklanowski, Sroczynski, Kłeczek powinny zniknąć na zawsze z polskiej przestrzeni publicznej. I pewnie po wyborach tak będzie” – napisał. Proponowane towarzystwo ciekawe, kara też w sumie łagodna. Mógł przecież zaproponować pobyt w namiocie KOD-ziarzy pod Sejmem, w panującym tam straszliwym odorze. Tego by nie przeżyli.

Obyczaj też specyficzny, można powiedzieć lumpenproletariacki. Grupka zadymiarzy z tych kręgów próbowała zakłócić obchody 13. rocznicy tragedii smoleńskiej. Wśród nich była Katarzyna Augustynek, znana jako Babcia Kasia. Niedoszła Warszawianka Roku wykrzykiwała wulgarne hasła. Na nagraniu zamieszczonym w mediach społecznościowych zarejestrowano, jak Augustynek, stojąc na ławce w ogrodzie Saskim, grozi śmiercią Jarosławowi Kaczyńskiemu. „Gdzie jest wrak?” – wykrzykiwała w towarzystwie mężczyzny. Towarzyszący jej mężczyzna drwił: „Jaruś, gdzie jest wrak”. „Jarek, zaj...emy cię niedługo” – krzyczała Augustynek. **Rafal Trzaskowski** może być z siebie dumny, takich „autorytetów” nie ma żadne inne miasto w Polsce.

Marsz na marsz

Donald: Dzień dobry, cześć i czolem, nie pytajcie, skąd się wziąłem. Jestem wesoly Donek, mam domek tak jak Romek, w tym domku wodę, światło, gaz, niestety, cały czas... Witam państwa serdecznie w kolejnym odcinku naszego show „Młody i fajny, bo z naszej ferajny”, w którym prezentujemy najświeższych artystów politycznej sceny kabaretowej w jeszcze świeższych numerach. Zanim przejdę do pierwszego uczestnika, pozwól państwo, że dokonam pewnego wezwania. A zatem wzywam wszystkich, którym leży nie tylko na sercu i powiewa nie tylko w głowie tro-ska o naszą scenę satyryczną, o jakość groteski i absurdu w tym kraju, wzywam tych, co i tak całe życie najchętniej spędziliby na ulicy, i to nie dlatego, że pod latarnią najciemniej – do marszu. Ale nie takiego bez sensu, żeby lazić dla samego lażenia.

My, to znaczy, ja, a ja to przecież także wy, gdyż wy to my, więc my to ja, wzywam w celu obalenia może i demokratycznie, ale niesłusznie wybranej władzy. To będzie marsz „Nie dla kłamstwa”. Bo nie może być tak, że ktoś mówi, że wieku emerytalnego nie podwyższy, a potem podwyższa. Albo twierdzi, że nie ma pieniędzy na 500+, a potem, że jego ludzie chcieli do wprowadzić. Że nie strzelano do górników, a strzelano. Że walczył z Nord Stream 2, chociaż dziękował jego twórczyni za błogosławieństwo jej rządów. Że pojedzie i załatwi kasę z Brukseli, choć jedzie i błaga, żeby nie dawali.

Że granicy trzeba strzec, ale muru budować nie można. Że wolałby się nie urodzić, gdyby miał robić politykę na czyjejś śmierci, a potem szczuje po śmierci zagubionego chłopaka. Że media muszą być wolne, ale gdy rządził, redaktorom naczelnym wyrwano laptopy, zmieniano ich na sugestie rzecznika prasowego, a materiały z pierwszej strony konsultowano z nim pod osłoną nocy i śmietnika, zamykano redakcje, a w innych dawano mu torty na urodziny i śpiewano „Sto lat” na antenie. Tak oczywiście być nie może. Będziemy zatem maszerować w kółko i tak długo, jak trzeba. Będziemy z sarkazmem i ironią spoglądać w oczy niemaszerujących, których – nie ma co się oszukiwać – będzie większość. Dlatego musimy maszerować widocznie. Widocznie, jest nas za mało, by maszerować normalnie. Stąd mój wniosek, żebyśmy szli krokiem dziwnym. Najlepiej, żeby każdy wymyślił sobie coś oryginalnego. Z tego, co wiem, są już pierwsze propozycje, np. Bartek Sienkiewicz chce iść, bo „maszerować” może być tutaj za dużym słowem, w pozycji „na zawianego”. Czyli bardziej na boki niż do przodu i bardziej do tyłu w czasie postoju. Romek Giertych będzie skakać, bo kto nie skacze, ten na parkourze nie ma czego szukać. Mamy też chętnych do zbierania pieniędzy, którymi chcemy wes-



KRZYSZTOF FEUSETTE

przec nasz ruch satyryczny „J...bać nas”, nazwany tak oczywiście ironicznie. Zabierzcie europejskie flagi, transparenty z dawnych marszów, będziemy wyć, trąbić i krzyczeć „Wyp...alać” przy dzieciach. Kolega Bart Staszewski postawi tablice z zakazem LGBT+ na każdym skrzyżowaniu. No i będzie, oczywiście, Marta L., mówię „L”, bo to nad wyraz, a wiecie, o jaki wyraz mi chodzi, niewinne dziewczę, znowu doczekało się pięciu zarzutów, tym razem za sprawy gospodarcze. A teraz już przed państwem jedna z gwiazd naszego satyrycznego marszu, pochodu niespełnionych ambicji, parady niemocy i frustracji, której celem ma być co? Tak jest – jedna lista. „Bo to rzecz jest oczywista: jedna lista zaj... bista, dwie to wielkie »gie«,

listy trzy – koniec gry, listy cztery – oraz kariery” – jak głosi przyspiewka „Stara śpiewka”, autor oczywiście nieznany. Niech zatem głos zabiorą świeże talenty, a jako pierwszy zaprezentuje się państwu człowiek na tyle młody, że wciąż cieszy się pseudonimem „Dup...rz”. Dobrze wiemy, że gdyby babcia miała wąsy, z Czajki płynęło złoto, a Kopernik była Kidawą, ten dzielny, 50-letni małolat byłby głową państwa z palcem w nosie. Chodź, Rafał, nie wstydź się, ludzie już nie pamiętają. Nawet tego, jak twoi sztabowcy, he, he, oskarżali konkurenta o ulaskawienie pedofila. Powitajcie go brawami, bo może być nieco stremowany przy

takim kabaretowym wyjadaczu jak moja skromna osoba. Pamiętacie numer z marynarką Junckera? A ten w czapce peruwiańskiej? On takich rzeczy jeszcze nie potrafi, ale i tak bywa zabawny jak Sterczewski na rowerze. To co nam Rafałku dzisiaj pokażesz?

Rafał: Cześć wszystkim i siema. Jestem Rafał, lubię funky, z zawodu jestem politykiem, i to dosłownie „z zawodu”, bo mnie polityka już tyle razy zawiodła... To jest ciężki kawałek chleba...

Donald: Chleba, dodajmy, który moja mama całowała, kreśląc znak krzyża, ale to było na Pomorzu, gdzie Kościół jest inny.

Rafał: Ale ja chciałem powiedzieć...

Donald: Patrzcie go, jak się rwie. Masz dla nas coś naprawdę zabawnego?

Rafał: Tak. Musimy powtarzać, że zostawimy 500+.

Donald: Doskonale. Masz, chłopcze, potencjał.

Rafał: Bo ludzie, gdzie nie jadę, mówią, że dzięki 500+ odzyskali godność...

Donald: Pobite gary. Skoro odzyskali, to ktoś musiał im ją wcześniej odebrać. To nie jest śmieszne. Proszę opuścić scenę, odezwimy się do pana.

Z pewnym zaskoczeniem odkryłam, że w „Największym senniku internetowym w Polsce” pojawia się hasło „Donald Tusk”, i to w różnych wariacjach. Sprawdźmy więc, co według wspomnianego źródła znaczy, gdy śni się państwu lider Platformy Obywatelskiej.

Jeśli śni ci się, że po prostu widzisz Donalda Tuska, może to oznaczać, iż na jawie czujesz się bardzo zawiedziony postępowaniem osoby, do której miałaś zaufanie, a ona go nadużyła. Być może nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale najprawdopodobniej nie uda ci się już ponownie jej zaufać, gdyż obiecała coś, na czym bardzo ci zależało i nie dotrzymała danego słowa. Kiedy śnisz, że jesteś współpracownikiem Donalda Tuska, jest to znak, iż już wkrótce pojawi się przed tobą szansa zaistnienia na gruncie zawodowym i zdobycia nowych, ciekawych propozycji. Tylko od ciebie i poziomu twojego zaangażowania zależy, czy odpowiednio ją wykorzystasz. Jeżeli we śnie bijesz Donalda Tuska albo się z nim kłócisz, może to oznaczać, iż na jawie przeżywasz wiele gwałtownych emocji, może nawet bez żadnego konkretnego powodu, ale nie umiesz się z nimi uporać i je w sobie dusisz, ale możliwe, że już niedługo wybuchną i wybuch ten może spowodować na twoją głowę wielkie kłopoty. Rozmowa z Donaldem Tuskiem jest dla ciebie ostrzeżeniem, że w twoim bliskim otoczeniu jest ktoś, kto nie mówi ci prawdy, a jedynie to, co chcesz usłyszeć, by zapewnić sobie twoją sympatię i zaufanie, kiedy zaś już je zdobędzie, będzie mógł pod twoim nosem działać na twoją niekorzyść, wywyższając tym samym własną osobę, a ty nie będziesz miała o niczym pojęcia.

Tyle sennik internetowy. Dziwi, po pierwsze, to, że politycy mogą się w ogóle komuś śnić, no ale może przy tym poziomie emocji, które budzi dziś polityka, wcale nie jest to niemożliwe. Bardziej jednak dziwi to, że w owym słowniku nie pojawiają się nazwiska innych polityków. Spróbujmy więc pobawić się na własną rękę z resztą przedstawicieli świata polityki. Zachęcam i państwa!

Gdy śni ci się Władysław Kosiniak-Kamysz, to znaczy, że zdecydowanie przeceniasz własne możliwości i mierzysz zbyt wysoko. Nie jesteś tak

Słodkich snów!

Kiedy śnisz, że jesteś współpracownikiem Donalda Tuska, jest to znak, iż już wkrótce pojawi się przed tobą szansa zaistnienia na gruncie zawodowym

możesz dokonać niemożliwego, nawet jeśli nikt w ciebie nie wierzy. Potężna porażka sprzed lat dodała ci siły i wyleczyła z naiwności. Dziś jesteś mądrzejszy i możesz próbować walczyć z wiatrakami. Uwaga! Zmień stosunek do kobiet. Możliwe, że jesteś seksistą. Jeśli jesteś kobietą, szukaj po prostu starszego partnera.

Jeśli śni ci się, że słuchasz wystąpienia Szymona Hołowni i jednocześnie nie możesz się odezwać, choć masz otwarte usta, to znaczy, że czujesz się niesłuchany i ignorowany. Ale pamiętaj, twoje zdanie i uczucia też są ważne, a ty wcale nie jesteś internetowym trollem. Nie daj sobie zamknąć ust, może bliska ci osoba wreszcie cię usłyszy. Jeśli widzisz Szymona Hołownię, który trzyma kubek – uważaj! Czekają cię potężne problemy finansowe. Od razu pomyśl, od kogo możesz pożyczyć pieniądze albo kto po prostu może ci odpalić trochę kasy. Jeśli Szymon Hołownia po prostu stoi, to znaczy, że minąłeś się z powołaniem. Najlepiej zmień pracę.

Jeśli śni ci się Jarosław Kaczyński, to osiągniesz zamierzony cel, mimo że wydaje ci się, że masz przed sobą dżunglę nie do pokonania. Dasz radę wbrew okolicznościom, ale pamiętaj – nie będziesz wygrywać zawsze. Dobra passa kiedyś się od ciebie odwróci, ale to nie wydarzy się w najbliższym czasie.

Słodkich, wolnych od polityki snów!

Dorota Losiewicz



Skok bez spadochronu

Trzy ostatnie niemieckie elektrownie atomowe zostały wyłączone o północy 15 kwietnia. Po sześciu dekadach epoką jądrową w Niemczech dobiegła końca. No, może nie tak zupełnie, bo kilka godzin po wyłączeniu elektrowni – jak pisał brukowiec „Bild” – niemiecka energetyka musiała ratować się prądem pochodzącym z francuskich reaktorów.

Jednak Zieloni i ekolodzy się cieszą. Według minister środowiska Steffi Lemke „wyjście z atomu uczyni Niemcy bardziej bezpiecznymi”. A szefowa Zielonych Ricarda Lang napisała na Twitterze: „Teraz rozkwitnie energetyka odnawialna”. Greenpeace zorganizowało huczne imprezy pożegnalne dla atomu pod Bramą Brandenburską i w Monachium. Inni byli mniej entuzjastyczni.

Premier Bawarii Markus Söder domagał się przyłączenia reaktorów

Berlińska celebracja wyłączenia ostatniej elektrowni atomowej. Napis na żółtym dinozaurze: niemiecka energia atomowa pokonana 15 kwietnia 2023 r.



z powrotem do sieci – od następnej zimy lub po wyborach parlamentarnych. Söder podobnie jak liberalowie z FDP stawia na fuzję jądrową. Według niego elektrownie atomowe powinny przejść w kompetencje krajów związkowych. „Dopóki kryzys energetyczny będzie trwał, a przejście na odnawialne źródła energii się nie powiedzie, musimy korzystać z każdej formy energii. Rezygnacja z atomu i większe korzystanie z węgla nijak ma się do ochrony środowiska” – powiedział bawarski premier, dodając, że „nawet Japonia chce wrócić do większego wykorzystania energii jądrowej mimo katastrofy w Fukushima”.

Ale Zieloni twardo obstają przy swoim. Były minister środowiska Jürgen Trittin podkreślił w rozmowie z „Die Zeit”, że energetyka atomowa „doprowadziłaby Niemcy do ponownego uzależnienia energetycznego od Rosji”. „Stamtąd pochodzi uran” – wyjaśnił. Przedstawiciele przemysłu i eksperci obawiają się jednak, że odejście od atomu doprowadzi do braków w dostawach prądu. „Potrzebujemy prądu 24 godziny na dobę, 365 dni w roku” – zaznaczył Andreas Lützerath, prezes firmy Trimet produkującej aluminium. Bo słońce czasem nie świeci, a wiatr nie wieje. „Jeśli w listopadzie, grudniu, styczniu jest ciemno, a wiatr i fotowoltaika, pokrywają tylko kilka procent zapotrzebowania, to skąd weźmiemy resztę?” – zapytał ekspert ds. energetyki prof. Harald Schwarz. Według niego problem niedoboru mocy w Niemczech będzie trwały. „To wygląda mniej więcej tak: wyskakujemy z samolotu z 10 tys. metrów bez spadochronu, za to z dużą ilością materiału i świetnymi pomysłami. W drodze w dół – dyskutujemy, jak uszyć spadochron. To może się udać, ale ja wolę nie ryzykować” – podsumował.

Zamknięcie ostatnich niemieckich elektrowni atomowych zbiegło się w czasie z otwarciem pierwszego od półtorej dekady reaktora w UE – w Finlandii.

Aleksandra Rybińska

17 kwietnia ukazał się raport pt. „Mandate for Leadership” opracowany przez grupę ekspertów i konserwatywnych think tanków na czele z Fundacją Heritage. Dokument przedstawia zalecenia dla kolejnego prezydenta USA z Partii Republikańskiej. Zadaniem numer jeden dla nowego przywódcy kraju wywodzącego się z tego ugrupowania powinna być – jak piszą autorzy – walka z „deep state”, czyli „głębokim państwem” paraliżującym władzę wykonawczą. Chodzi o uwolnienie administracji federalnej spod wpływu krępującej ją biurokracji, która jest upolityczniona i nietykalna z powodu swoich przywilejów. Przez działalność owych „ukrytych sił” na średnim szczeblu zarządzania państwo traci sterowność, a obywatele demokratyczną kontrolę nad systemem.

Inicjatorzy raportu, którzy mają bogate doświadczenie rządowe, ostrzegają, że każdy konserwatywny prezydent wybrany w 2024 lub 2028 r.

Walka z „głębokim państwem”



stanie przed ogromnymi wyzwaniem ze strony „głębokiego państwa” próbującego ograniczyć lub zablokować jego program. Dlatego przedstawiają mu oni mapę drogową, proponującą punkt po punkcie głęboką restrukturyzację biurokracji federalnej według trzech kryteriów: kosztów, wydajności i odpowie-

dzialności przed wyborcami. Zachęcają przy tym do likwidacji wielu zbędnych urzędów o charakterze ideologicznym.

Raport ekspertów idzie znacznie dalej niż przedstawiony 21 marca plan Donalda Trumpa, przewidujący również likwidację „deep state” i „odzyskanie raz na zawsze naszej demokracji z rąk Waszyngtonu”. W tym celu były prezydent proponuje powołanie komisji prawdy i pojednania, która miałaby ujawnić niedemokratyczne praktyki wynikające z biurokratycznej sieci niejawnych powiązań. W tym celu należałoby m.in. odtajnić i opublikować wszystkie dokumenty dotyczące akcji dezinformacyjnych i inwigilacyjnych skierowanych przeciw własnym obywatelom.

Oba ogłoszone niedawno programy pokazują, że wśród elit republikańskich narasta przekonanie, iż bez ograniczenia wpływów „deep state” uzdrowienie państwa nie jest możliwe.

Grzegorz Górny



Hiszpania

Bubel prawny ministra feministy

Hiszpania to kraj, który może pochwalić się rekordową liczbą 470 tys. czynnych, zaprzysiężonych polityków. Jak to zwykle bywa: ilość nie przechodzi w jakość, dlatego też klasa polityczna Hiszpanii słynie z systemowej korupcji, skandali obyczajowych, malwersacji publicznych pieniędzy i wadliwych ustaw, które paraliżują życie obywateli.

Najświeższym przykładem jest zamieszanie wokół ustawy organicznej 10/2022, znanej pod nazwą „Solo sí es sí” (Tylko tak znaczący tak), która w szlachetnym założeniu najbardziej feministycznego rządu w Europie miała chronić kobiety przed „przemocą maczystowską”, a w praktyce spowodowała redukcję kar dla 979 przestępców seksualnych i pedofilów w zaledwie parę miesięcy od wejścia w życie.

Autorem ustawy jest ministra Irene Montero, która działalność polityczną rozpoczęła już w wieku 15 lat w młodzieżówce komunistycznej i pnąc się po kolejnych szczeblach kariery w skrajnie lewicowej partii Podemos, objęła w 2020 r. stanowisko ministra równości w rządzie Pedro Sáncheza. Jako że CV pani minister przed wejściem do polityki obejmowało jedynie pracę na stanowisku kasjerki w sklepie Saturn, złośliwi podpowiadają, że tak wysoką nominację zawdzięcza wyłącznie roli żony lidera formacji Podemos – Pablo Iglesiasa Turrióna, który w tym samym rządzie objął w 2020 r. tekę wicepremiera.

Wadliwa ustawa, którą wprowadzała Montero pod pretekstem ochrony kobiet, była krytykowana jeszcze na etapie projektu przez Naczelną Radę Sądownictwa, która ostrzegała, że skutkiem złe skonstruowanej reformy będą rewizje wyroków skazujących za gwałt. Mimo zrównania w nowej ustawie agresji seksualnej z molestowaniem z istnienia „ogólnej zasady retroaktywności najkorzystniejszych sankcji” profit czerpią bowiem również najgroźniejsi przestępcy, którzy albo już wrócili do domu albo wkrótce wyjdą na wolność.

Ministra równości ignorowała wszystkie ostrzeżenia o groźnych lukach w konstrukcji ustawy, a wobec porażających konsekwencji i oburzenia społecznego oskarżyła sędziów o „macyzm” i celową, złą aplikację prawa, które działa teraz na korzyść dewiantów. Rząd Sáncheza, widząc, że w perspektywie są setki kolejnych wniosków agresorów seksualnych, którzy czekają na pozytywną rewizję wyroku, zdecydował się w tym tygodniu znowelizować ustawę i poddać poprawki pod głosowanie. Ministra Montero mimo zmasowanej krytyki, która towarzyszy jej od początku urzędowania, nie rozważa jednak dymisji i pozostaje wciąż dumna ze swojej walki w obronie kobiet przed heteropatriarchatem. Nawet wypuszczając gwałcieli z więzień na ulice.

Małgorzata Wołczyńska



Brazylia

Gorączka złota XXI w.

Zakończona niedawno wizyta w Chinach prezydenta Brazylii Luiza Inácio Lula da Silvy zwróciła uwagę świata w związku z trzema kwestiami. Chodzi o poparcie przez Brazylię chińskiego planu pokojowego dla Ukrainy, zapowiedź przejścia obydwu państw na rozliczenia w juanach i deklarację w kwestii polityki jednych Chin, czyli o potwierdzenie zwierzchności Pekinu nad Tajwanem. Jednak równolegle, w cieniu tych tematów, rozstrzygano kwestie – jak się wydaje – znacznie ważniejsze dla przyszłości świata.

Lula da Silva przyjechał do Pekinu w towarzystwie wielu przedsiębiorców i ministrów odpowiadających w Brazylii za sprawy gospodarcze i to ten wymiar rozmów ma kluczowe znaczenie. W Brazylii znajdują się bowiem największe światowe i do tej pory nieeksploatowane złoża pegmatytu – skały wulkanicznej, z której pozyskuje się lit, minerał ziem rzadkich, niezbędny do produkcji akumulatorów.

W Ameryce Południowej trwa właśnie walka o dostęp do tego najbardziej obecnie pożądanego minerału, którego cena na światowych rynkach od 2021 r. wzrosła 10-krotnie. Według szacunków zapowiedziane przez Europę odejście po 2035 r. od silników spalinowych spowoduje wzrost zapotrzebowania na lit z obecnych 200 tys. ton rocznie do 550 tys. ton w 2030 r. Nic więc dziwnego, że lit jest uznawany za złoto XXI w.

Do tej pory światowy rynek litu został zdominowany przez producentów baterii akumulatorowych z Chin, którzy też kontrolują 44 proc. światowej podaży tego minerału. Największymi dostawcami są państwa tzw. trójkąta litu – Boliwia, Chile i Argentyna, ale Brazylia posiada największe, nieeksploatowane jeszcze złoża, a pod koniec 2022 r. znacznie zliberalizowała swój rynek. Rozpoczął się więc wyścig o uzyskanie nowych koncesji wydobywczych, który jest o tyle bezwzględny, że lit znajdujący się w obecnej eksploataowanych akumulatorach można poddawać recyklingowi. Oznacza to, że popyt nie będzie rósł wiecznie, a te podmioty, które opanują największą część rynku, już na nim pozostaną. Obecnie są to firmy z Chin i już teraz producenci z tego kraju przejmują większą część marży wytwórców samochodów elektrycznych. Wyścig o kontrolę nad złożami litu jest więc w gruncie rzeczy rywalizacją o to, kto przechwyci marżę całego sektora produkcji samochodów elektrycznych, które w związku z polityką klimatyczną mają stać się pojazdami przyszłości. Dziś największe szanse mają na to Chiny i dlatego wizyta prezydenta Brazylii w Pekinie może być ważniejsza, niż nam się to wydaje.

Marek Budzisz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Oddać Tuska Niemcom!



**Jan
Pietrzak**

Wiadomo od stuleci, że mamy problemy z sąsiadami. Przed rokiem mocno zaktywizował się nieobliczalny agresor wschodni. W porywie imperialnego amoku morduje Ukrainę. Zachodni sąsiad poczuł się osamotniony i porzucony. Już tak było zaawansowane gazowo-naftowe imperium Nord Stream, rury poukładane, miliardy zaksięgowane. Już planowano wspólną paradę zwycięstwa jak w Brześciu w 1939 r. Pięknie wtedy się prezentowały Wehrmacht z Armią Czerwoną, sierp i młot z hakenkreuzem. I raptem sprawa się rypla, co trafiło akurat na świeżego kanclerza. Ten biedaczyna o charyzmie spłoszonego chomika na wszelki wypadek nie podejmował żadnych decyzji, wierząc Putinowi, że po tygodniu Kijów się podda.

Drugi rok wojny przetacza się po stepach akermiańskich i końca nie widać, bo Ukraińcy nie chcą już żyć w ruskim baraku i baraku. Kanclerz się miota od płota do płota jak Kargul po zagrodzie. Wspólnotowa lojalność wymaga od nas działania. Na początek oddajmy Niemcom Tuska z Trzaskiem w pakiecie. Wzmocnimy w ten sposób sojuszników z Unii i NATO. Tusk ma tam swoją partię, której był nawet szefem. Trzask ma tam ulubione lotnisko w Berlinie i zamrożoną kasę na pikniki rów-

ności i eksperymenty seksualno-klimatyczne. Problematyka krowiego metanu, hodowla owadów na wursty interesują Niemców bardziej niż los Buczy, Mariupola, Bachmutu.

Jest jeszcze jeden ważny aspekt sprawy Tuska. Sejm powołał właśnie komisję do sprawdzenia wpływów rosyjskich w latach 2007–2022. Zachodzi podejrzenie graniczące z pewnością, że ujawnienie tych wpływów nie sprawi mu takiej satysfakcji, jaką ona jest. Lista zarzutów zastąpi wspólną listę wyborczą, o której marzył na wyrost. A w Reichu błogosławione rządy niemieckie uchronią go przed „tym syfem i planktonem” oraz upiornymi ławami Sejmu.

Mamy w pamięci znaczące precedensy. Np. były niemiecki kanclerz Schröder został wynajęty Putinowi na długie lata. Zrobmy dokładnie to samo – oddajmy byłego premiera Tuska Scholzowi. Co dwie kanclerskie głowy, to nie jedna. Owyczynach takiego duetu będą opowiadać wszystkie kabarety świata! **✓**

Przypominam: mój koncert urodzinowy odbędzie się 26 kwietnia, o godz. 19.00, przy ul. Czackiego 3/5 w Warszawie. Wstęp wolny



**Dominik
Zdort**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Degeneracja

Plaga pisania gazetowych tekstów opartych na anonimowych źródłach narasta wraz ze wzrostem politycznej temperatury. Wielu dziennikarzy, także z teoretycznie renomowanych pism, uznało, że łatwiej

będzie im pełnić funkcję usługową wobec ich partyjnych ulubieńców, jeśli użyją „anonimowych” wypowiedzi.

Spsienie polskiej żurnalistyki powiększa jeszcze pauperyzacja tej profesji – skoro prywatni wydawcy płacą coraz mniej, to nie chce się już wkladać takiego wysiłku w pisanie tekstów, jak bywało kiedyś. Łatwiej usiąść przy klawiaturze i napisać: „Jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie”, „Jak twierdzą anonimowe źródła”.

Mniejsza szkoda, jeśli ten proceder dotyczy tekstów ściśle politycznych, bo większość czytelników się przyzwyczaiła, że są gazety w III RP, które już od jej zarania notorycznie kłamią. Zresztą polaryzacja w polskim społeczeństwie zaszła tak daleko, że obie strony mają własne media i oczekują od nich wyłącznie potwierdzenia swoich podejrzeń, przekonań, obsesji i teorii spiskowych.

Gorzej, jeśli kłamstwo lub choć naciąganie faktów dotyczy tekstów śledczych z polityką w tle, w których często ujawnia się

tajne materiały. Prawem kaduka przyjęliśmy, że dziennikarz jest świętą krową, za ujawnianie państwowych, służbowych i rządowych tajemnic (które nie bez przyczyny są tajemnicami) nie odpowiada karnie – choć czyni oczywistą szkodę swojemu krajowi. Odpowiedzialny może być tylko urzędnik, który owe niejawne materiały przekazał żurnaliście. Ale i tak decyzję o tym, czy należy ujawnić jego dane, podejmuje dopiero sąd.

Ale i tu zachodzi właśnie zmiana. Front jedynie słusznych mediów wykonał parę dni temu uderzenie wyprzedzające decyzję sądu: wystąpił z żądaniem, by nie zwalniać z tajemnicy dziennikarskiej żurnalisty odmawiającego ujawnienia nazwiska urzędnika, który złamał prawo. Mówiąc wprost: domagają się ochrony przestępcy przed wymiarem sprawiedliwości.

To najlepszy dowód, że prywatne media zdegenerowały się znacznie bardziej niż wiele publicznych instytucji. Symbolicznie nazywane czwartą władzą stały się władzą stronnictwą, zepsutą, czasem skorumpowaną, niekontrolowaną w żaden sposób.

Parlament można zmienić, rząd można odwołać. Zdemoralizowane telewizje, gazety i portale nie podlegają obywatelskiej kontroli. Może dlatego, zamiast bronić prawa i demokracji, mają czelność stawać po stronie przestępców. I przeciw państwu. **✓**

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Samokrytyka w służbie wolności, czyli salon III RP

Metodą liberalnego salonu jest kneblowanie i wycinanie z życia publicznego przeciwników. Jeśli ktoś z „trzódką” nie wykazuje się w tym należyłą gorliwością, jest brutalnie przywoływany do porządku. Zwykła samokrytyka wtedy nie wystarczy. Przekonał się o tym Bogusław Chrabota, redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”. Ośmielił się opublikować na jej łamach felieton byłego prezesa TVP, obecnie przedstawiciela Polski w Radzie Dyrektorów Wykonawczych Banku Światowego. W miarę normalnym kraju tekst tego typu osoby byłby raczej rozrywany przez media. Jednak nie w systemie, w którym mniejszość twierdzi, że wybór większości jest złamaniem demokracji, a ta powróci dopiero, gdy większościowe ugrupowanie zostanie zdelegalizowane, a jego członkowie oraz sympatycy zostaną przykładnie ukarani. Odebranie im prawa głosu ma być pierwszym krokiem w kierunku liberalizmu i demokracji.

Chrabota wiedział o tym, toteż felieton Kurskiego opatrzył – rzecz zupełnie niepraktykowana – swoim słowem wstępnym, w którym, potępiając (!) autora, tłumaczył, dlaczego zgodził się na jego publikację. Przeliczył się, oczekując, że gest ten wystarczy. Piekło się rozpoczęło. „Dziennikarze uznali tę publikację za nieprzyzwoitą” – ujęła sprawę „Wyborcza”.

Prerażony Chrabota ogłosił kolejne tłumaczenie: „Nie jest prawdziwą informacją, że Jacek Kurski został publicystą dziennika „Rzeczpospolita” [...]. Krytyczny stosunek do roli, którą odegrał Jacek Kurski w TVP, wyrażałem niejednokrotnie także w stanowisku opublikowanym przy rzeczonym artykule”. Nie wystarczyło.

Kolejnym krokiem były więc przeprosiny Chraboty zamieszczone w wywiadzie dla WP: „Część ludzi oburzył fakt obecności Kurskiego na naszych łamach. Przepraszam za to wszystkich, którzy mogli poczuć się tym urażeni i którzy mieli z tego powodu dyskomfort”.

Za mało.

Prawdziwy sabat zainscenizowała „Łoża prasowa” TVN. W tym celu odstąpiła od stałego tematu, czyli wykazywania, że PiS i jego zwolennicy nie są nikczemnikami i durniami, tylko czymś zdecydowanie gorszym, a im są głupszy, tym bardziej perfidni. Tym razem zebrani przypuścili zbiorowy atak na wezwanego w tym celu na arenę naczelnego „Rzeczpospolitej”, który wprawdzie usiłował usprawiedliwić się zaraz na wstępie, ale poślizgnął się raz jeszcze, porównując felieton Kurskiego do filmu TVN „Franciszkańska 3”.

Tego prowadząca oraz pilnująca linii Małgorzata Łaszczyńska mogła zostawić: „Niech pan nie żartuje. Redaktor Gutowski opierał się na dokumentach, zeznaniach, na opiniach osób skrzywdzo-

nych, którzy opowiadali własną historię. Pan oddał łamy osobie, która zniszczyła media publiczne, i taki jest zarzut. Proszę nie porównywać” – autorytatywnie ogłosiła. Treściom, które opublikował Kurski, nikt nic nie miał do zarzucenia, film Gutowskiego to studium manipulacji, czemu poświęciłem osobny felieton. Ten ostatni jest jednak OK, a Kurskiego publikować nie wolno.

„To nie jest wolność prasy. To jest uwiarygodnienie człowieka, który nie tylko zniszczył media publiczne. On niszczył tkankę społeczną, szcując na ludzi i uprawiając bezwzględna propagandę” – zadeklarowała Justyna Dobrosz-Oracz, twarz telewizji Tuska, która z pewnością sporo powiedzieć może o „szczuciu na ludzi”.

„Wszyscy wiemy, co on robił. To są haniebne rzeczy, jak on szczał na poszczególne grupy społeczne, jaki mechanizm, który do dzisiaj funkcjonuje, zbudował. Jego nie ma, ale ci ludzie, ci jego pogrobowcy nadal są i widać, co robią każdego dnia. To są straszne, plugawe, zaplanowane rzeczy” – uniósł się moralnie Andrzej Stankiewicz, który posługując się rosyjską propagandą i odwołując się do najbardziej paskudnych sztuczek, uprawia polowanie na prezesa TK, by za wszelką cenę ją zniesławić. Potrafił on wyrzucić ze studia Radia Zet, z programu, który prowadził, Janusza Kowalskiego słusznie zarzucającego mu kłamstwo. Stankiewiczowi z pewnością nie można odmówić wiedzy na temat plugawych i haniebnych metod.

Swoje o tym, że nie wolno publikować pewnych ludzi, dodała Joanna Solska z tygodnika „Polityka”, który chlubi się ciągłością od czasów Rakowskiego i Urbana.

Chrabota wyl się, przepraszał po raz kolejny, ale zbrodni publikacji przeciwnika nie można było wybaczyć, toteż zgodny chór kształcony na TVN-owsko-wyborczych standardach nie popuścił. Każdy musi pamiętać o liberalnej czujności i pilnować innych, by o niej nie zapomnieli. W innym przypadku mogłoby dojść do tego, że zamiast do argumentów siły „dziennikarze” byłiby zmuszeni odwoływać się do siły argumentów i – o zgrozo! – zakwestionować podwójne standardy. Samokrytyka jest dobrą metodą dyscyplinowania swoich szeregów. Jej kształt został wypracowany przez komunistycznych antenatów obecnych liberalów i doskonale mieści się w strategii niszczenia przeciwników politycznych jako faszystów i gorszych ludzi, którzy nadają się wyłącznie na śmietnik historii.



Walizka Janusza Grudzińskiego

muzyka rockowego, kompozytora muzyki filmowej

Przez ponad 30 lat do 2020 r. jeździłem z Kultem w trasy koncertowe. Klawisze, gitara, w walizce kostki do gry, stopery, lektury i inne niezbędne rzeczy. Łza kręci się w oku... Dodam jednak, że podróże turystyczne obok fotografii to moja największa pasja. W efekcie miałem wiele wystaw fotograficznych ze zdjęciami z Chile, Grenlandii, Islandii, Danii, Portugalii. Był czas, gdy przez kilka lat podróżowałem tylko po Polsce. Z kilku tysięcy zdjęć wybrałem 350 najciekawszych. Fotografie z różnych stron i o różnej tematyce zawarłem w godzinny pokazie zilustrowanym muzyką mojego autorstwa. Zapis tych obserwacji zatytułowałem „Królowa Polska” i można go obejrzeć na YouTube. Podobnie jak „Mystic Land of Vikings”, który z kolei jest fotograficznym zapisem z wyprawy do Norwegii także z moim muzycznym podkładem. Tutaj autorką zdjęć charakteryzujących się piękną kompozycją jest moja partnerka Karolina, z zawodu architekt. Z Karoliną podróżujemy teraz bardzo intensywnie. W ciągu niecałego roku oprócz wielu wypraw po Polsce byliśmy samochodem w Skandynawii (Dania, wspomniana Norwegia, Szwecja), w Europie Środkowej i Zachodniej aż po Łazurowe Wybrzeże i w Andaluzji. Teraz, gdy rozmawiamy, jesteśmy świeżo po wypadzie nad Biebrzę, a za dwa dni lecimy do Włoch, na wyspę Ischia, w czerwcu z kolei na Islandię.

ŁODÓWKA

Tylko do podróży samochodem. Bardzo praktyczny przedmiot do przewożenia żywności.



TERMOS

Dostałem od Karoliny. W czasie długiej podróży nie ma jak mocna herbata z cytryną.



MLEKO

Wożę dla Karoliny, która lubi się napić kawy z mlekiem owsianym. Jest ono w Polsce ogólnie niedostępne.



APARAT

Nie zawsze zabieram, bo troszkę waży. Komórka powoli go wypiera z użytku.





GŁOŚNIK

Bardzo dobrej jakości. Współpracuje przez Bluetooth z komórką. Z racji jego gabarytów zabieramy go tylko w podróże samochodem.



RÓŻANIEC

Znalazłem go na schodach kościoła w okolicach Ojcow. Chciałem go oddać, ale plebania była zamknięta. Wisi na stałe w samochodzie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże...



URZĄDZENIE ZAPOBIEGAJĄCE BEZDECHOWI SENNEMU

W ub.r. w szpitalu na Banacha wykryto u mnie aż 75 bezdechów na minutę i przepisano mi ten aparat. Teraz mogę nie tylko spokojnie spać, lecz także dodatkowo nie chrząpie!



ZNICZ

Jest na stałe w samochodzie. Przydaje się, gdy mam intencję zapalić na czyimś grobie – czy to w Polsce, czy za granicą. Np. będąc we Francji, zapaliłem kilka zniczy na grobach żołnierzy poległych w I wojnie światowej.



LORNETKA

Może nie zabieram na każdy wyjazd, ale nad Biebrzą przydała się do obserwacji ptaków.



XIĄŻE WARSZAWSKI – „OLŚNIENIE”

Moja solowa płyta z 2006 r. 10 autorskich piosenek z moją muzyką, tekstami i wokalem. Gorąco polecam. Dostępna na YouTube Music czy Spotify.



OKULARY

Okulary przeciwsłoneczne, jakie są, każdy widzi, do czego służą – każdy wie.



DZIECIĄTKO JEZUS

Piękna pamiątka z Hiszpanii. Kupiłem go w Ávili, gdzie mieszkała św. Teresa i św. Jan od Krzyża. Ciekawostka – klasztor Santa Teresa został wybudowany w miejscu, gdzie znajdował się rodzinny dom św. Teresy.



ŻÓŁWIK

Przywieziony z Ibizy. Nie ukrywam, że nie jest to mój ulubiony kierunek. Jest tam za tłoczno i gorąco, ale zrobiłem to dla córki.



PTASZEK

Kupiony w galerii we Francji. Ujął mnie swoją formą.



Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Kościej Nieśmiertelny



Bitwa o Bachmut trwa, ale przybiera coraz ciekawsze oblicza. Wagnerowcy za cenę olbrzymich strat posuwają się metr po metrze do przodu. Zajęli już większą część centrum fortecy, ale Tryzubny nie odpuszczają i bronią się jak lwy. Wróg głównie dlatego jest powstrzymywany, a tempo posuwania się naprzód mocno spowolnione, ponieważ obrońcy oprócz kontrataków stosują taktykę zakładania pułapek. Opuszczają pozycję w danym budynku, uprzednio ją zaminowując. Po wkroczeniu Moskali wysadzają wszystko w powietrze razem z zawartością. Wiceminister obrony Ukrainy Hanna Malar poinformowała, że część ukraińskich działań kontrofensywnych planowanych na wiosnę już się rozpoczęła. „Np. w Bachmucie, gdzie trwają aktywne akcje szturmowe naszych wojsk. Właściwie na wschodzie już trwają działania kontrofensywne” – oświadczyła nieoczekiwanie. Rosyjskie działania wokół Bachmutu stanowią dla Kremla jedną z najdroższych operacji. „Rosjanie ponoszą tam ogromne straty. I są to straty są kilku-krotnie większe od naszych” – dodała wiceminister. To wszystko prawda oprócz jednej kwestii. Działania te trudno nawet przy bardzo dobrej woli nazwać kontrofensywą. Bo jeśli tak ma wyglądać zapowiadana szumnie kontrofensywa, to ta wojna jeszcze potrwa długo.

Sponsor i kierownik zorganizowanej grupy wojennych przestępców, jaką jest grupa najemników Wagnera, czyli Jewgienij Prigożyn, wypowiedział się do mediów w sprawie swoich podopiecznych. Są

to „bojownicy, którzy odpokutowali za grzechy na froncie w Ukrainie”. „Teraz są pełnoprawnymi obywatelami, bohaterami, którzy godnie i za solidne pieniądze wracają do domu, do swoich ukochanych żon i matek” – zapewnia. Tymczasem w Zawołzsku (obwód niżnonowogrodzki w Rosji) bojec, który wrócił z wojny na Ukrainie, zabił żonę na oczach swoich dzieci w wieku 6 i 7 lat. Na pogrzeb matki pieniądze zbierali ich koledzy z klasy, ponieważ bliscy kobiety nie chcieli. Jak podaje kanał „Moj Niżny Nowgorod” na Telegramie, ciało kobiety już od kilku dni leży w kostnicy, a pieniądze na pogrzeb zbierają w szkole, do której uczęszczają jej dzieci. Sam sprawca po zabójstwie żony zniknął i jest obecnie poszukiwany przez policję. I nie jest to odosobniony przypadek. Prigożyn swoje, a życie swoje, czyli typowa ruska gadka „człort swajo, a pop swajo”.

Kościej Nieśmiertelny (ros. Кощей Бессмертный) to postać z folkloru wschodniosłowiańskiego, czarny charakter z baśni i podań ludowych. Kościej był czarownikiem – chudym, starym i brzydkim, ogólnie szkodzącym ludziom. Mieszkał w zamku wśród gór, był w posiadaniu niezliczonych skarbów. Najważniejszym z nich była żywa woda i martwa woda. Żywa przywracała do życia umarłych i konających, martwa leczyła rany, a jej picie dawało długowieczność. Kościej przechowywał swoje serce ukryte poza ciałem, nie można więc go było zabić, nie odnalazłszy wpierw i nie zniszcząc jego serca. Ostatnio w sieci pojawiło się zdjęcie, a na nim stary koleś chudy jak

szczapa, o twarzy przerażająco brzydkiej i tylko z czterema zębami z przodu. Reszty nie miał. Obok stoją ukraińscy komandosi, którzy chwalą się zadowoleni na Telegramie, że udało im się wziąć do niewoli Kościeja Nieśmiertelnego. Zapewne teraz szukają jego ukrytego serca. Sądzę, że jak go wezmą w obroty chłopaki z HUR (wywiad wojskowy Ukrainy), to i serce się raz dwa znajdzie. A wtedy biada Moskalom, bo żołnierze SZU będą nieśmiertelni.

Pprzed sądem w Hadze ukraiński Naftohaz wygrał proces o odszkodowanie za mienie utracone na Krymie. Rosja ma mu wypłacić 5 mld dol., a jak nie będzie w stanie, Naftohaz ma prawo domagać się egzekucji zobowiązań na majątku Rosji w państwach cywilizowanych. W kolejce stoi Rinat Achmetow, który zaskarżył Rosję za zniszczenie Azowstalu w Mariupolu. Straty wycenił na 15–20 mld dol. I to dopiero początek, bo Achmetow chce też procesować się o zakłady, które miał w Donbasie.

Otwieramy nową podrubrykę. Jej tytuł: „Moskale o sobie”. Na początek dla zachęty dwa cytaty: „Rosjanie od dobrego traktowania psują się jak kielbasa na słońcu” – Wiktor Jerofiejew, współczesny rosyjski pisarz. „Obudźcie mnie za 100 lat i zapytajcie, co się teraz dzieje w Rosji. A ja wam odpowiem: piją i kradną” – Michał Sałtykow-Szczedrin, moskiewski literat.

Andrzej Rafał Potocki

Zrobieni na zielono

Greenwashing to taktyka marketingowa stosowana przez firmy w celu stworzenia fałszywego przekonania, że ich produkty lub usługi są przyjazne dla środowiska lub służą zrównoważonemu rozwojowi. Wskazane działania polegają na wprowadzaniu klientów w błąd przez używanie hasel reklamowych oraz certyfikatów niezgodnie z prawem i stanem faktycznym.

Niektóre firmy opisują swoje produkty jako przyjazne naturze, nie podając żadnych konkretnych informacji, ale posługując się grafiką nawiązującą do przyrody, symboliki kojarzonej z florą lub fauną, by stworzyć wrażenie szczególnej troski o ekosystem.

Inni przedsiębiorcy posługują się określeniami „naturalne”, podkreślając tym samym jedną z cech produktu, ale ignorując pozostałe niezdrowe składniki czy starając się przytłumić informacje o negatywnym wpływie na środowisko, jak np. ma to miejsce w branży motoryzacyjnej produkującej samochody elektryczne. Greenwashing może polegać także na używaniu wprowadzających w błąd lub nieautoryzowanych certyfikatów lub etykiet, które sugerują, że produkt jest przyjazny dla środowiska, nawet jeśli certyfikat lub etykieta mogą nie być uznawane przez żadne wiarygodne instytucje.

Badania przeprowadzone w 2015 r. wykazały, że aż 66 proc. konsumentów jest gotowych zapłacić więcej za te produkty, które są oznaczone jako ekologiczne. Analiza z 2017 r. wykazała, że w USA i Kanadzie z ponad 1 tys. produktów konsumenckich oznaczonych jako „ekologiczne” tylko jeden na pięć był przyjazny dla środowiska, a co do reszty zastosowano greenwashing.

W USA greenwashing jest uznawany za czyn nieuczciwej konkurencji. Amerykańska Federalna Komisja Handlu (FTC) opublikowała wytyczne marketingowe dotyczące ochrony środowiska, które wymagają od firm dostarczania konkretnych i zgodnych z prawdą informacji na temat korzyści środowiskowych płynących z zakupu ich produktów. Naruszenie powyższych zasad może skutkować karą pieniężnymi. W 2010 r. UE wprowadziła rozporządzenie w sprawie zielonych oświadczeń, które określa zasady dla firm składających deklaracje środowiskowe dotyczące ich produktów lub usług. Zgodnie z rozporządzeniem firmy są zobowiązane do dostarczania dokładnych informacji na temat wpływu swoich produktów lub usług na środowisko oraz do wspierania wszelkich twierdzeń dotyczących środowiska odpowiednimi i weryfikowalnymi dowodami.

W polskim systemie prawnym zwalczaniu zjawiska greenwashingu mogą służyć przepisy ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji. Te odnoszące się do wprowadzającego klienta w błąd oznaczeniem produktu, rozpowszechnianiem nieprawdziwych lub wprowadzających w błąd informacji o przedsiębiorstwie w celu przysporzenia mu korzyści albo stosowania reklamy wprowadzającej klienta w błąd i mogącej przez to wpłynąć na jego decyzję dotyczącą nabycia towaru lub usługi.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Rozporządzenie Parlamentu Europejskiego i Rady UE w sprawie produkcji ekologicznej i znakowania produktów ekologicznych ustala m.in. zasady posługiwania się terminami takimi jak „eko” czy „bio”. Ustawa o rolnictwie ekologicznym i produkcji ekologicznej przewiduje nakładanie na przedsiębiorców wysokich kar finansowych za wprowadzanie konsumentów w błąd przez nieprawidłowe używanie oznaczeń „bio” lub „eko”.

Przyjęty w ostatnich dniach przez Parlament Europejski pakiet przepisów Fit for 55, ogłaszany jako sposób na przeciwdziałanie ociepleniu klimatu, jest w istocie zbiorem nowych podatków, które uderzą w kieszenie wszystkich Europejczyków, a przede wszystkim pogorszą warunki życiowe najbiedniejszych obywateli UE. Biorąc pod uwagę, że największym emitentem CO₂ są Chiny (jedna trzecia światowej emisji) i kilka innych pozaeuropejskich państw, a świat i tak zaczyna coraz bardziej stawać na OZE, można mieć wątpliwości, czy rzekome korzyści dla środowiska wynikające z rujnującego europejskie budżety przymuszania do ograniczenia emisji CO₂ przewyższają ekonomiczne i społeczne koszty ich wejścia w życie, a cała operacja nie przypomina zjawiska greenwashingu.



Z wielkim smutkiem i żalem żegnam

**ŚP.
MARKA
BURZYŃSKIEGO**

*Męża
Pani Poseł Lidii Burzyńskiej.*

*Odszedł człowiek skromny i szlachetny,
całym sercem oddany Polsce.*

Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

Opozycja, upijając się „winami PiS”, skazuje się na kolejną klęskę



Samuel Pereira

Sledzenie tego, co się dzieje po opozycyjnej stronie polskiej polityki, staje się coraz bardziej męczące dla tych, którzy chcieliby po prostu zrozumieć, o co chodzi.

Z Lewicą można się nie zgadzać, ale – czego nie można powiedzieć o pozostałych partiach opozycyjnych – da się zrozumieć, o co jej chodzi. Takie np. PSL mniej więcej od wyborów 2015 r. nie wie, z kim chce grać i o co, a kieruje nią zakochany w Donaldzie Tusku 100-proc. leming, udający prawdziwego rolnika. Konfederacja powie wszystko, co się opłaca, ale gdy trzeba się naprawdę określić – śpiewa jak jej „banda czworga” zagra, a ostatnio wprost wybrała ruską narrację. Platforma z jednej strony jest zakładnikiem Tuska, który każdego dnia wymyśla nowe kłamstwa i już sam się w nich gubi, a z drugiej jej przekaz dyktują radykałowie, których hodował najpierw Grzegorz Schetyna, a później Borys Budka, licząc, że większe emocje, a co za tym idzie – mobilizacja elektoratu, pozwolą oszukać realny podział poparcia wśród obywateli. Gdy po przegranej Rafała Trzaskowskiego pisałem, że „nie rozumiejąc swoich porażek, PO jest skazana na ich powtarzanie” i zosta-

nie „wiecznie największą opozycją, niezdolną do przejścia władzy w Polsce”, nie spodziewałem się, że blisko trzy lata później Platforma będzie dalej w tym samym miejscu.

Po drugiej stronie mamy partię rządzącą, której głównymi problemami są konflikty wewnętrzne i ciągłe tłumaczenie się za wszystko, co się dzieje, nawet jeśli to nie jest akurat „wina PiS”. Ten ciężar rządzenia pozwala opozycji w prosty sposób punktować władzę, ale czy proponują coś w zamian? Frazesami typu „skończy się PiS, skończy się drożyzna” lider opozycji może jedynie wzbudzić wzruszenie ramion albo pusty śmiech normalsów, a stawiając na „Silnych razem” i ich zacietrzewiony przekaz, robi najlepszy prezent Jarosławowi Kaczyńskiemu. Przecież oni atakują nawet bliskie sobie ideowo media, gdy mają czelność ich krytykować za miałość i tym samym pozbawiają się już totalnie powagi, której przecież od opozycji mamy prawo wymagać. I tylko Polaków żal.

Autor jest szefem portalu tvp.info



Robię wiele różnych rzeczy

*Z aktorką **Ewą Konstancją Bułhak** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Co słysząc u Barbary Nocuł? Jakoś mniej jej ostatnio na ekranie.

Ewa Konstancja Bułhak: Jestem zadowolona z ilości zdjęć w serialu „Ojciec Mateusz”, bo choć spotykam się z wielką sympatią ze strony widzów, nie chciałabym być kojarzona tylko z jedną rolą.

Wydaje się, że nie tylko fani, lecz także scenarzyści lubią pani postać. Stawiają ją przed różnymi życiowymi i zawodowymi wyzwaniami.

Miło, że co jakiś czas są pisane dla mnie odcinki. W rozmowach ze scenarzystami podkreślam, że zależy mi na rozwoju i wspaniale się składa, że od czasu do czasu mam w serialu coś ciekawego do zagrania. Jednak fantastyczne jest to, że robię też wiele innych rzeczy.

Gdzie jeszcze można panią spotkać?

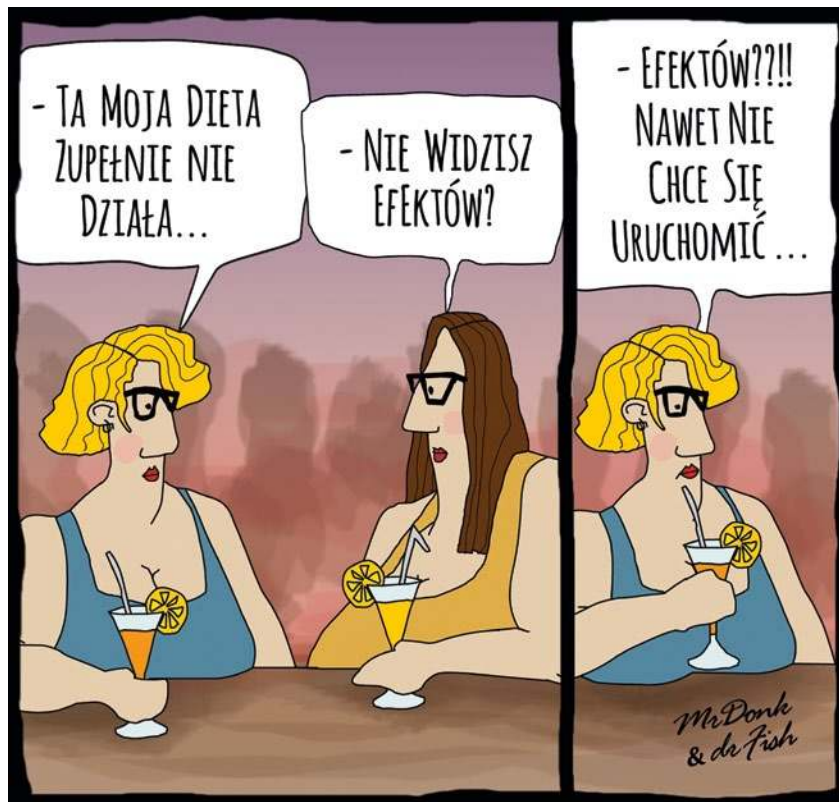
W serialu „To nie ze mną” jestem opresyjną matką i koszmarną teściową.

Zagrałam też w dwóch fabularnych filmach. Pełnometrażowy „Czas na pogodę” w reż. Jacka Raginisza-Królikiewicza miał premierę na festiwalu w Gdyni. Drugi film, 30-minutowy dramat „Tylko do świtu”, zrealizowałam ze studentami Warszawskiej Szkoły Filmowej. Zachwycił mnie scenariusz z bohaterką w moim wieku.

W Teatrze Narodowym jest pani m.in. tytułową postacią spektaklu „Alicji Kraina Czarów”, a w teatrze Roma?

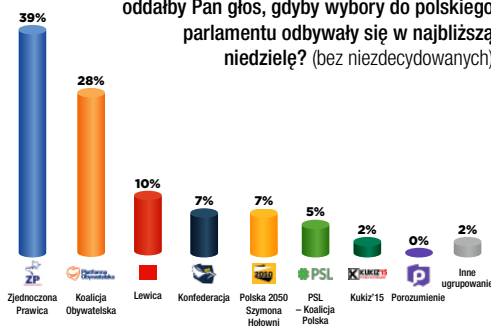
Od lat kocham musical i jestem bardzo szczęśliwa, że przy najnowszej produkcji zostałam zaproszona do współpracy reżyserskiej oraz pracy z aktorami i wokalistami nad interpretacją tekstu. Cieszę się, że jako pedagog warszawskiej Akademii Teatralnej oraz aktorka mogę być pomocna.

Czytaj też str 79.

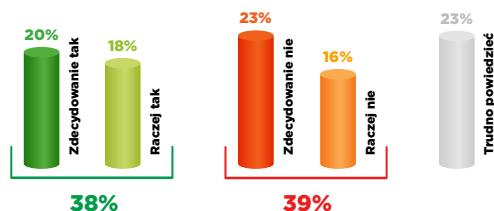


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

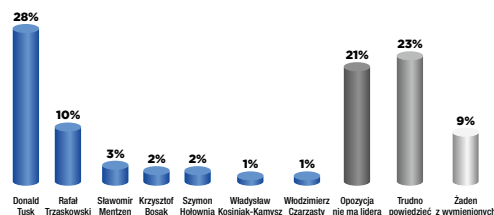
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddąłby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



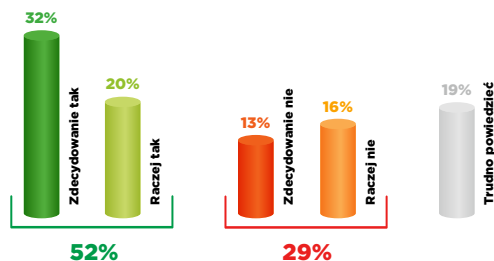
Jak się Pani/Panu wydaje, czy katastrofa prezydenckiego samolotu 10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku mogła być wynikiem zamachu zleconego przez Władimira Putina?



Kto Pani/Pana zdaniem jest liderem opozycji politycznej w Polsce?



Czy według Pani/Pana Polska powinna się domagać od Niemiec reparacji (odszkodowania) za straty poniesione w czasie II wojny światowej?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1036.

Zakres czasowy badania 14-17 stycznia 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KĄCZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECIOPRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WAŁASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR, M.JAGIELSKI / EAST NEWS, T.JASTRZĘBOWSKI, Z.KACZMAREK,
W.STROZKY,REPORTER, J.BEDNARCZYK, P.PAP, D.WOJCIK, A.MICHAILIS, DND-PRODUCTION.COM,
DROPP OF LIGHT, MAXIM STUDIO, /SHUTTERSTOCK (X6)

Warto rozmawiać. Twardo



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Ważna dyplomatyczna bitwa wygrana. W kwestii unormowania zasad organizacji wycieczek izraelskich uczniów Polska wytrzymała presję i wściekły atak poprzedniego rządu w Tel Awiwie. W efekcie mamy porozumienie, w którym każdą sporną kwestię rozstrzygnęliśmy na naszą korzyść. Poznaliśmy kulisy wielomiesięcznych negocjacji

W relacjach międzynarodowych czasem trzeba wykorzystać moment, który w dyplomacji jest nazywany „window of opportunity” (okno możliwości). Gdy premier Mateusz Morawiecki zadzwonił do Beniamina Netanjahu tuż po zwycięskich dla Likudu wyborach, toczona w przyjaznym nastroju rozmowa szybko zeszła na temat nierozwiązanej wówczas kwestii wycieczek izraelskiej młodzieży. Szefowie rządów uchwycili moment. Sporne kwestie, blokowane do tej pory z powodu ostrego wewnętrznego konfliktu w Izraelu, mogły ruszyć do przodu.

BEZ BRONI

Niespełna miesiąc po wyborach w Izraelu, w grudniu 2022 r., Polskę odwiedził Ronen Bar, dyrektor Szin Bet, jednej z trzech głównych izraelskich służb specjalnych. Rozmowa w końcu była bardzo konkretna i dotyczyła procedur bezpieczeństwa, które należy zapewnić uczniom przyjeżdżającym do Polski. Zgoda już na tym etapie była konieczna, bo najtrudniejszym do przebrnięcia punktem w dotychczasowych, trwających ponad rok, rozmowach była kwestia uzbrojonych agentów towarzyszących wycieczkom. Nasi partnerzy nie byli

już na szczęście tak nieprzejednani jak poprzednicy.

Niejednokrotnie pisaliśmy w tygodniku „Sieci”, jakim problemem dla mieszkańców miejscowości odwiedzanych przez wycieczki uczniów z Izraela byli ich ochroniarze. Postawni mężczyźni w kamizelkach kuloodpornych i z długą bronią, często siłą torujący przejście grupie np. przez krakowski Kazimierz. Nie było w tej kwestii żadnej ramowej umowy, był zwyczaj, który nam się nie podobał, ale nie było pretekstu, by z nim skończyć.

Wybuch pandemii koronawirusa na początku 2020 r. całkowicie wstrzymał przyjazdy grup. W grudniu 2021 r., gdy zagrożenie już nieco minęło, Izrael zasygnalizował, że chciałby wrócić do programu edukacyjnego i w związku z tym poproszono (jak zwykle) o pozwolenie na używanie broni przez ochronę. Wtedy polska dyplomacja postawiła sprawę jasno: wycieczki oczywiście zapraszamy, ale niewłaściwa jest według nas praktyka towarzyszenia im przez uzbrojonych funkcjonariuszy służb specjalnych. W Izraelu zawrzało, ówczesny minister spraw zagranicznych i późniejszy premier Ja'ir Lapid (lider partii Jesz Atid – Jest Przyszłość) wytoczył przeciwko Polsce najcięższe działa. Publiczne połajanki przerodziły się w emocjonalne, niezbyt eleganckie

i nie dla wszystkich zrozumiałe oskarżenia o antysemityzm, a wręcz negowanie Holocaustu.

Dzisiaj Izrael ma już nowy rząd, a my mamy podpisaną umowę międzynarodową. Parałowali ją w Warszawie szef polskiego MSZ Zbigniew Rau i jego izraelski odpowiednik Eli Kohen. Zmienia się w zasadzie wszystko, poza... zażartą krytyką ze strony Ja'ira Lapida, który z pozycji opozycyjnej krytykuje szefa izraelskiego rządu. – Chce pokazać w swoim kraju, że jego bardzo mocno antypolska polityka i pójście na zwanie z naszym krajem były słuszną drogą. Głównym jego celem jest wykazanie, że jego polityczny rywal, czyli Benjamin Netanjahu nie ma racji. Jeśli Netanjahu doprowadził do normalizacji relacji z nami, to lapidowcy chcą zrobić wszystko, by ten proces zablokować – słyszymy od osób związanych z dyplomacją. Czy im się uda? Umowa czeka jeszcze na ratyfikację w Knesecie, ale partia Likud ma stabilną większość i wydaje się, że wszystko ma pod kontrolą.

MAMY MAKSYMUM

Strona polska z zadowoleniem (i słuszenie) ogłosiła pełny sukces w negocjacjach z Izraelem, trzy najważniejsze sporne punkty zostały rozstrzygnięte po naszej myśli. Gdy wiosną 2022 r.



wychodził z Warszawy pierwszy projekt umowy w sprawie wycieczek młodzieży, nasi partnerzy uparcie forsowali konieczność uzbrojonej ochrony, ale nie chcieli także słyszeć ani o spotkaniach młodych Żydów ze swoimi rówieśnikami z Polski, ani tym bardziej nie godzili się na poszerzenie programu o muzea lub miejsca pamięci związane z polską kulturą i historią, a nie tylko z Holocaustem. – Argumenty były dziwaczne, często wyszukiwane na poczekaniu – mówi nam osoba znająca kulisy negocjacji. Pytano np., co będzie, gdy przyjedzie grupa młodych mężczyzn z ortodoksyjnej jesziwy (żydowskiej szkoły religijnej), którzy nie mogą spotykać się z kobietami. Odpowiedź była oczywista, że wtedy strona polska zor-

ganizuje im spotkanie z odpowiednią grupą młodzieży męskiej, ale zaraz pojawiały się jakieś inne przeszkody.

Po wielu seriach rozmów okazało się, że da się również zaprosić gości z Izraela do innych miejsc niż obozy koncentracyjne czy tereny dawnych gett. Polski warunek jest – należy to przyznać – łatwy do spełnienia. Chcemy, by każda wycieczka (przyjeżdżająca zazwyczaj do Auschwitz, na Majdanek lub do Warszawy), dołączyła do swojego programu jedną placówkę z zaakceptowanej przez obie strony listy. To 33 miejsca, zazwyczaj muzea, wśród których jest np. warszawskie Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

– Wydaje się więc, że pojadą do tego muzeum, gdzie historia jest opowiedziana i tak z żydowskiej perspektywy

i będą mieli ten punkt umowy z głowy. Ale to nie jest takie proste – opowiada nam osoba znająca temat. Jak słyszymy, „to miejsce nie do końca wypełnia założenia izraelskiego programu nauczania, bo muzeum pokazuje 1000 lat naszej wspólnej historii, i to w większości całkiem niezłej, a nie skupia się tylko na sześciu latach Holocaustu”. Dlatego polscy negocjatorzy za kluczowe uważają kontakty z młodzieżą, która może okazać się najlepszym ambasadorem Polski. Może bowiem przełamać stereotyp kraju, w którym Żydom wciąż coś zagraża, wciąż ktoś nastaje na ich wolność i życie. Nietrudno o takie pocucie, gdy odwiedza się tylko miejsca narodowej kaźni, a ktoś ustawicznie wmawia, że jest ci potrzebna ochrona z ostrą bronią.

Co ciekawe, strona izraelska także uważa podpisane z Polską porozumienie za sukces, i to nie tylko ze względów politycznych. Wartością samą w sobie są dla nich wycieczki, które zostaną wznowione po przerwie. W opinii Tel Awiwu tak naprawdę niewiele się zmieni, bo program tych eskapad zaczyna się na długo przed wyjazdem, gdy młodzież jest przygotowywana na to, co w Polsce zobaczy i z czym lub kim może się spotkać. To wówczas są formatowane młode umysły, by nawet przez przypadek nie oddalić się od głównej linii nauczania izraelskiej historii, która zawiera się w jednym stwierdzeniu – narodowe cierpienie.

To chyba największy problem, który ciąży nad relacjami Izraela z całym światem. Oczekiwanie, że Holocaust będzie traktowany jako zbrodnia wyjątkowa i jedyna. Nie relatywizujemy ani nie negujemy ogromu tej tragedii, ale to stwierdzenie nie jest prawdą. Odwiedzenie innych miejsc (np. Muzeum Martyrologii Wsi Polskiej w Michniewie, gdzie w lipcu 1943 r. Niemcy rozstrzelali 204 osoby, w tym małe dzieci, za pomoc partyzantom) mogłoby skłonić ich do refleksji, że mordowano także inne osoby innej narodowości i to nie tylko w czasie II wojny światowej. Stąd ciągnący się od lat spory problem w Izraelu z uznaniem ludobójstwa Ormian (w latach 1915–1917 imperium osmańskie wymordowało prawie 1 mln osób).

SPOKÓJ W WARSZAWIE

„Przyjechałem tutaj, żeby odnowić relacje między naszymi krajami” – mówił w Warszawie Eli Kohen, szef izraelskiego MSZ na wspólnej konferencji ze swoim polskim odpowiednikiem prof. Zbigniewem Rauem. I dodał: „Jestem przekonany, że nawet dzisiaj Polska i Izrael mogą i powinny stworzyć doskonałe relacje i moim celem jest nawet wzmocnienie jeszcze bardziej tych relacji. Możemy to zrobić współpracując z sobą, z naszymi wieloma przyjaciółmi w Polsce”. Wyraził również nadzieję, że wkrótce do Tel Awiwu przyjedzie polski ambasador.

Nasza placówka dyplomatyczna pozostaje bez szefa od sierpnia 2021 r., po łąpaniu w relacjach spowodowanym

nowelizacją polskiego Kodeksu postępowania administracyjnego. Zmiana prawa miała kolosalne znaczenie dla walki z procederem tzw. dzięki reprzytywacji, bo ukróciła do 30 lat możliwość zaskarżenia decyzji administracyjnych podjętych przez władze z rażącym naruszeniem prawa. Przy grzmiących epitetach strony izraelskiej o haniebnej decyzji i pogardzie dla pamięci o Holokauście (to słowa ówczesnego premiera Naftalego Bennetta) Izrael

Każda izraelska wycieczka (przyjeżdżająca zazwyczaj do Auschwitz, na Majdanek lub do Warszawy) miałyby dołączyć do swojego programu jedną placówkę z zaakceptowanej przez obie strony listy. To 33 miejsca, zazwyczaj muzea

wiezwał z Warszawy ambasadora. Polski rząd zareagował symetrycznie, a więc obniżono rangę relacji. Dziś wiemy, że wakat na stanowisku dyplomatycznym ma być zapelniony jeszcze w tym roku.

Mocno antypolski gabinet w Tel Awiwie liczył zapewne na zmiękczenie ekipy Mateusza Morawieckiego, szukając też sposobów nacisku na Warszawę przez swoich partnerów w liberalnych kręgach francuskich czy niemieckich. Ale Polska nie panikowała. Czekwała. I prowadziła precyzyjne działania, stosując naturalne w stosunkach międzynarodowych dźwignie.

Nie spieszono się z poszukiwaniem następcy Marka Magierowskiego (ambasadora z Tel Awiwu przeniesiono do Waszyngtonu). Nie zgodzono się też na wznowienie po pandemii wycieczek młodzieży na dotychczasowych zasadach.

Izraelczyków najmocniej zabolęły jednak głosowania przedstawiciela Polski w ONZ w sprawie rezolucji dotyczących okupowanych przez Izrael terenów pa-

lestyńskich. Ostatni taki gest miał miejsce na początku stycznia br. To dlatego po wynegocjowaniu umowy w sprawie wycieczek szef izraelskiego MSZ Eli Kohen napisał do byłego premiera Ja'ira Lapida: „Spowodowaliście, że Polska, która wspierała nas w instytucjach międzynarodowych, stała się naszym przeciwnikiem”. I dodawał zgryźliwie: „Prawdopodobnie są tacy, których smuci, iż rozwiązaliśmy z Polską kryzys polityczny, rozpoczęty w czasach Lapidów”.

DWUGŁOS W IZRAELU

Krótko po podpisaniu porozumienia dziennik „Haaretz” rozpoczął wręcz krucjatę przeciwko umowie. Z lubością odnotowywano każdy głos krytyczny wobec niej. Skupiono się szczególnie na aneksie do dokumentu (wspomniany dziennik ujawnił jego treść), zawierającym listę placówek muzealnych, z których każda grupa izraelskiej młodzieży ma odwiedzić przynajmniej jedną.

Cytowano więc dyrektorów szkół zapowiadających niewypełnianie postanowień umowy i odmowę odwiedzania miejsc związanych z niemieckimi okrucieństwami wobec nieżydowskich Polaków. Pisano o „spełnieniu marzeń negacionistów Holocaustu”, „gloryfikowaniu Polaków, którzy byli po uszy zaangażowani w mordowanie Żydów”, „poddaniu się polskiej propagandzie”. Lapid grzmiał o narodowej hańbie. Jego przypadek jest specyficzny. W czasie swoich licznych prób przypisania Polakom współudziału w Holokauście nie wahał się bowiem sięgać nawet po kłamstwa dotyczące własnej rodziny. Przekonywał np., że Polacy w czasie wojny ręką w rękę z Niemcami zamordowali jego babcię. Dopiero po krótkim śledztwie dziennikarskim i ujawnieniu, że obie jego babki przeżyły wojnę, polityk przystał, iż nie mówił prawdy.

O co chodzi w krytyce listy muzeów, które miałyby odwiedzać izraelska młodzież? O trzy miejsca: Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce, Muzeum Polaków Ratujących Żydów pod-

czas II Wojny Światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej oraz Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w dawnym więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Zarzut? W miejscach tych gloryfikuje się żołnierzy niezłomnych, a wśród nich mieli znajdować się mordercy Żydów o odpowiedzialności niemal równej niemieckim nazistom. Takie stanowisko świadczy o głębokiej niewiedzy Lapid'a i jemu podobnych na temat polskiego podziemia niepodległościowego. I nawet podnoszony najczęściej przykład Józefa „Ognia” Kurasia jest chybiony. Jego czarna legenda została bowiem stworzona przez kłamliwą propagandę PRL i na niej opierały się wszystkie późniejsze krytyczne wobec jego oddziału publikacje. Zwykle nie znajdziemy w nich istotnego niuansu, wielokrotnie klarowanego przez IPN, że tak jak w całej Polsce, tak i na Podhalu Żydzi ginęli z rąk polskiego podziemia nie jako przedstawiciele swojego narodu, ale z racji służby w organach represji, PPR lub agenturalnej współpracy z UB.

Krytycy listy muzeów najczęściej ignorują również fakt, że została ona zaakceptowana przez obie strony, że znajdują się na niej zupełnie niekontrowersyjne placówki, jak Muzeum Katyńskie i Zamek Królewski w Warszawie czy krakowski Wawel. A przede wszystkim – że nikt nikogo nie będzie zmuszał do odwiedzin Markowej czy Ostrołki.

Trzeba też zrozumieć, że środowiska atakujące umowę w Izraelu są w mniejszości, nawet jeśli ich głos jest donośny. Warto tu wspomnieć o Oferze Aderecie, autorze najstarszego izraelskiego dziennika „Haaretz” (ukazującego się również w USA). Okazjonalnie publikuje on również w polskim „Tygodniku Powszechnym”. Aderet w swoich artykułach wielokrotnie wspierał naczelnego fałszerza historii polsko-żydowskiej Jana Grossa i kolportował kłamliwe tezy Jana Grabowskiego o setkach tysięcy Żydów zamordowanych rzekomo przez Polaków. Swój tekst z 2017 r. o rewelacjach tego ostatniego zatytułował: „Orgia morderstwa: Polacy, którzy »polowali« na Żydów i wydali ich nazistom”.

Trzeźwiejszy jest pogląd Jonny'ego Daniela, mieszkającego w Warszawie

prezesa fundacji From The Depths. Co prawda stawia on polskim władzom fałszywe zarzuty w związku z listą muzeów („Śrona polska inwestuje ogromne środki finansowe i dyplomatyczne, aby forsować swoją narrację, która niestety często wypacza prawdę historyczną”), lecz jednocześnie potrafi przyznać, iż porozumienie z Polską to dobry i ważny krok, który niewiele Izrael kosztował: „Ta umowa jest przyzwoitym kompromisem, na którym można budować. Daje stronie polskiej ograniczony wpływ na to, co dzieje się na tych wyjazdach, a to nie jest wysoka cena za ich wznowienie. To bardzo ważne, aby wyjazdy zostały wznowione, aby młodzi Izraelczycy zrozumieli Holokaust”.

Zawieszenie wycieczek było dla Izraela bolesnym posunięciem, które polski rząd wykorzystał perfekcyjnie. Skąd więc taka krytyka, gdy problem został

Krótko po podpisaniu porozumienia dziennik „Haaretz” rozpoczął wręcz krucjatę przeciwko umowie izraelsko-polskiej. Niestety, nie tylko w Izraelu są siły, którym nie w smak jest wypracowane porozumienie

wreszcie rozwiązany? Ciekawe spojrzenie prezentuje w rozmowie z „The Times of Israel” szef instytutu Yad Vashem Dani Dayan. Zwrócił on uwagę na pewną analogię (przy zastrzeżeniu oczywistych odmiennych okoliczności) dzisiejszych podziałów w izraelskiej polityce – czy szerzej: izraelskim społeczeństwie – do podziałów sprzed 80 lat: „Nawet w głębi getta warszawskiego istniały dwie żydowskie organizacje podziemia. Jedna, nazwijmy ją lewicową, na czele z Mordechajem Anielewiczem, druga, nazwijmy ją prawicową, na czele z Pawłem Frenkiele. I nawet w getcie nie byli w stanie z powodu rzekomych

różnic ideologicznych zjednoczyć sił. Jest to lekcja bardzo aktualna w dzisiejszych czasach, kiedy Izrael stawia czoła antysemityzmowi, a także dość potężnym przeciwnikom, wrogom wewnątrz swoich granic, a nawet poza nimi. W izraelskim społeczeństwie istnieje bardzo niepokojący klin”.

KONSEKWENCJA

80. rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim była kolejnym powodem, dla którego oba państwa chciały zawrzeć porozumienie dotyczące wycieczek. Na Marsz Żywych do Auschwitz i uroczystości przed pomnikiem Bohaterów Getta w stolicy przyjechała już pierwsza grupa izraelskiej młodzieży, choć jeszcze bez uwzględnienia wszystkich zapisów umowy. Przygotowano więc dobry grunt pod wizytę prezydenta Izraela Izaaka Herzoga, który wspólnie z przywódcami Polski Andrzejem Dudą oraz Niemiec Frankiem-Walterem Steinmeierem oddawał hold powstańcom.

Niestety, nie tylko w Izraelu są siły, którym nie w smak jest wypracowane porozumienie. Od lat także w Polsce musimy się mierzyć z wewnętrznym atakiem, zwłaszcza przy okazji tego typu rocznic. Bez zważania na doniosłość wydarzenia stacja TVN24 urządziła prawdziwy festiwal zakłamywania historii. Rozmowy Moniki Olejnik

z Agnieszką Holland i Barbarą Engelking o Polakach, którzy byli rzekomo obojętni na gehennę Żydów, a nawet przykładali do niej rękę, muszą zostać uznane za wyjątkowo haniebną przykład nienawiści do własnego narodu.

Tego typu osoby wraz z izraelskimi „polakożercami” mają wspólny cel: dopisać nas do listy odpowiedzialnych za Holokaust. Sprawić, byśmy z ofiar stali się sprawcami. To momenty, w których nie można milczeć. Należy twardo bić się o prawdę i zdrowe relacje nawet z międzynarodowo silniejszym partnerem. Konsekwencja i asertywność po prostu się oplacają.

Dobrą pozycję
wyściową PiS
potwierdzą
wnioski z niejawnego
badania, którego
wyniki widziałem.

Otóż w obozie
rządzącym Polacy
dostrzegają trzy ważne
postacie: Jarosława
Kaczyńskiego, Andrzeja
Dudę i Mateusza
Morawieckiego.
To ścisła czołówka,
a później długo, długo
nic. Wyborcy mają
więc jasność, kto ich
prowadzi, kto rządzi



Trzy wyborcze atuty PiS

Jacek i Michał Karnowscy rozmawia z **Józefem Orzeł**, analitykiem politycznym, szefem Klubu Ronina

Kto wygra wybory? Nie w sensie zwycięstwa pierwszego miejsca, ale w sensie zdobycia bądź utrzymania władzy.

Józef Orzeł: Pierwsze miejsce zajmie PiS, to jest dla mnie pewne. Czy razem z Solidarną Polską, to jeszcze nie jest pewne, choć moim zdaniem Jarosław Kaczyński już zapisał Zbigniewa Ziobrę na listy.

Czyli podjął decyzję?

Tak, i jest to decyzja dość jednoznaczna. Jeśli mówię o pewnej niepewności, to dlatego, że w PiS są politycy, którzy się z tym nie zgadzają, czasem publicznie. Ja zresztą też tak uważam.

Ilekolwiek by krytycy tego sojuszu wypowiedzieli słów, to jest jasne, że bez tych 2–3 proc. Solidarnej Polski, a załóżmy nawet, że 1 proc., o większość będzie bardzo, bardzo trudno.

Dziś rzeczywiście tak jest. Ale ważniejsze jest to, że najważniejsze diagnozy Solidarnej Polski – w mojej opinii – podzielają zarówno Jarosław Kaczyński, jak i Mateusz Morawiecki. W przypadku tego ostatniego różnicą jest oczywiście stosunek do Unii Europejskiej.

To skąd to iskrzenie?

To gra o pozycję, także w dalekiej perspektywie. Ale Jarosław Kaczyński

potrafi układać nawet bardzo skomplikowane układanki. I to on ostatecznie zdecyduje, czy PiS idzie z Ziobrą, czy też nie. Ale by obraz był pełny, trzeba też wspomnieć o kawałkach PSL i SLD, które nie chcą zgodzić się na przywództwo Donalda Tuska po stronie opozycyjnej. I chyba Tusk przy całej swojej ambicji i pewności siebie zaczyna sobie zdawać sprawę, że bywa przeszkodą na drodze do jedności opozycji.

Siły III RP mogą dojść do władzy, także idąc do wyborów osobno.

Jedność opozycji jest ważna nie teraz, nie w kontekście kampanii i wyborów,

ale wówczas, gdy trzeba będzie policzyć głosy w Sejmie. Dziś Tusk twierdzi, że opozycja stoi tam, gdzie stoi on. A to z kolei oznacza brak poważnych partnerów. A przecież każda z tych partii ma swoje interesy. I czasami nie tylko twarde, ale przede wszystkim bardzo utrwalone.

I czasem bardzo szczegółowe, wręcz punktowe.

Tak. Np.: „W tym powiecie musimy mieć starostę, bo zawsze go mieliśmy”. I dlatego te negocjacje musiałyby zejść w dół, musiałyby być do bólu konkretne. To samo w jakiejś mierze dotyczy list PiS, choć tam autorytet prezesa jest wielkim atutem przy rozwiązywaniu sporów. Ta niezdolność do jakichś rozstrzygnięć po stronie opozycji dziś prawicę nawet śmieszy.

Pamiętając o latach 90., o Konwencji św. Katarzyny i końcówce AWS, chyba nie powinniśmy się śmiać?

Śmieszny fakt, że partie z takim doświadczeniem nie mogą dojść do ładu w relacjach między sobą. W tle jest Trzaskowski, ów wieczny czarny koń, ale taki który nie lubi startować w wyścigach. Jak tu dobiec do mety, jeśli nie ma się ochoty ścigać?

Tak, zgoda. Trzaskowski lubi celebrować swój potencjał. To mu wystarcza, ta pozycja „młodego obiecującego”. Ale obaj wiemy, że takie chwile mijają.

Być może kiedyś rzeczywiście zaniósł go w lektycę do sali tronowej. Może też okazać się jedynym lekarstwem na rozbicie opozycji, jeśli przybierze ono groźne formy i uniemożliwi wspólne rządzenie po wyborach.

Na ile poważne są dywagacje o możliwości koalencji PiS z PSL czy też częścią Lewicy?

Jarosław Kaczyński, o ile go znam, pozwala różnym ludziom na prowadzenie rozmów w różnych kierunkach. Ma więc dość precyzyjne informacje o nastrojach w poszczególnych środowiskach. Ja sądzę, że interesy wielu śro-

dowisk opozycyjnych są rzeczywiście z sobą sprzeczne.

Być może żaden koalicjant nie będzie potrzebny. Socjolog Marek Grabowski mówi, że nie pamięta, by obóz rządzący miał tak dobre notowania wczesną wiosną. Wyczuwamy także, że opozycja szamocze się, nie ma nic w ręku, nie nadaje tonu wydarzeniom. Być może PiS powinien mierzyć nie w zwykłą większość, ale w taki wynik, który przetnie przynajmniej część polskich sporów?

Część sporów przydałoby się zakończyć. Czy tak się stanie, tego rzecz jasna nie wiemy. Opozycja ma problem z przed-

Każda ze stron – rządzący i opozycja – ma swoją grupę niezdecydowanych, wahających się wyborców, stanowiącą kilkanaście, a nawet 20 proc. potencjału maksymalnego. Te grupy jednak różnią się dość mocno

stawianiem rozwiązań. Tusk mówi, że w sprawie zboża rząd ma wszystkie narzędzia. No dobrze, ale co on by zrobił, gdyby był premierem? Tego nigdy nie słyszymy. Ludzie przyjęli tezę, i to głęboko, w podświadomości, że opozycja symbolizowana przez Tuska zajmuje się wyłącznie gnębieniem PiS-u, a nie Polską.

Część opozycji też to czuje?

Tak sądzę. Dobrą pozycję wyjściową PiS potwierdzają wnioski z niejawnego badania, którego wyniki widziałem. Otóż w obozie rządzącym Polacy dostrzegają trzy ważne postacie: Jarosława Kaczyńskiego, prezydenta Andrzeja Dudę i premiera Mateusza Morawieckiego. To ścisła czołówka, a później długo, długo nic. Wyborcy mają więc jasność, kto ich prowadzi, kto rządzi.

Dlatego sprawna współpraca między nimi jest tak ważna?

Tak. Wiemy, że na linii prezydent – PiS różnie bywa. Moim zdaniem Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki chcieliby coś zrobić w tej sprawie, a nawet zrobiliby dużo, gdyby widzieli szansę. W tym momencie brak jednak odzewu. I teraz, nawet w najważniejszych sprawach, nie wiedzą, co jutro zrobi prezydent. I choć liczni analitycy głoszą, że prezydent chce zwycięstwa PiS, to my chcielibyśmy, by zostało to jakoś pokazane, uwidocznione. To bardzo upewniłoby wyborców prawicy, bo Polacy lubią zgodę. To wzmocniłoby także państwowy wymiar obecnej polityki.

Co jeszcze wynika z tych niejawnych badań?

Każda ze stron – rządzący i opozycja – ma swoją grupę niezdecydowanych, wahających się wyborców, stanowiącą kilkanaście, a nawet 20 proc. potencjału maksymalnego. Te grupy jednak różnią się dość mocno. Przede wszystkim w obozie rządzącym ci wyborcy nie wskazują żadnej partii drugiego wyboru. Czyli albo zagłosują na PiS, albo nie pójdą do wyborów, albo oddadzą głos nieważny.

W każdym razie opozycji nie wesprą?

Otóż to. Po stronie opozycji jest inaczej, tam jest ciągły ruch w różne strony, mnóstwo dylematów i wahań. A więc jeśli kampania będzie się opierała na mobilizacji własnej bazy i demobilizacji przeciwnika, a tak będzie, to PiS uzyska ostatecznie lepszy rezultat.

Bo to nie będzie kampania, w której duże grupy wyborców zmieniają swoje sympatie. Te pociągi jadą zbyt długo po tych samych torach?

Ten podział został wyrąbany w 2005 r. i przez PO, i przez PiS, ale później pogłębiła go przede wszystkim Platforma. Zrobiła to ze względów ideologicznych i manipulacyjnych. Dowodem jest atak na Jana Pawła II, oznaczający uderzenie w ostatni tożsamościowy, wspólnotowy i moralny fundament. Oni naprawdę chcą nas rozbić na dwa narody. Jeśli jednak – to paradoks – zrobią to do końca, to przegrają.

Ale jednak uderzyli w papieża Polaka. Czyli robią duże błędy.

To był samobój, ale pytanie, przez kogo strzelony. Główną rolę odegrały media opozycyjne, ale przecież Tusk też idzie w stronę wręcz lewacką w swoim stosunku do religii i Kościoła. Moim zdaniem atak na Jana Pawła II był przynajmniej uzgodniony z przywódcami PO. I to jest trzeci punkt dla PiS: są ludzie, którzy nie wiedzą, czy wolą Tuska, czy Kaczyńskiego, ale na pewno wolą Jana Pawła II niż pustkę w sferze autorytetów.

Jak mogli zrobić taką polityczną głupotę? Marzenie o zniszczeniu Kościoła okazało się ważniejsze?

Część tego środowiska naprawdę odegrała się od polskiej rzeczywistości. To jest dramatyczna sytuacja: mamy polityków, którzy uderzają z całej siły w tożsamość narodową. Krótkoterminowo możemy z tego korzystać, ale w dalszej perspektywie to tragedia.

To jest ostatni bój Donalda Tuska?

Tak mi się wydaje. No i wreszcie czwarty wniosek: według tego badania PiS bez Solidarnej Polski zyskuje, a nie traci, a ugrupowanie Ziobry ma od 0,5 do 1,5 proc. Na co zresztą ziobryści natychmiast odpowiedzieli sondażem, w którym mają 4 proc.

No dobrze, to są różne gry, także sondażowe, także w sferze badań. Rozbicie tej konstrukcji, którą jest Zjednoczona Prawica, na pewno przyniesie z sobą sporo kosztów. Poza tym mówimy o silnym środowisku, które ma wielki dynamiczny polityków. Nie jest tak, że oni znikną w nicości.

Na pewno obecność ziobrystów w Zjednoczonej Prawicy jest elementem równowagi, są oni bowiem antytezą Morawieckiego. Arbitrem jest oczywiście Kaczyński. Zgodzę się z jednym: dziś partia Ziobry odgrywa rolę twardego, prawicowego fundamentu, który jest potrzebny prawicy. Tak wielki obóz musi mieć rdzeń, który mówi, że jesteśmy w Unii Europejskiej, ale też patrzymy realnie, co się dzieje, w którą stronę idziemy, policzmy, ile zyskujemy, ile tracimy. Gdyby nie było Ziobry przy PiS, musiałby to mówić ktoś inny.



UE da nam pieniądze, jeśli przyjmimy ustawę o Sądzie Najwyższym?

Według mnie nie da. Sama logika działania Unii jest jasna: chcemy zmienić władzę w Polsce, bo rozwija się ona, i to samodzielnie, w sposób nieuzgodniony z Berlinem, zbyt szybko. Do tego budujemy podmiotowość, i to w każdym obszarze, także w sferze zbrojeń.

O tym nie możemy zapomnieć: polskie wybory wypadają w czasie, gdy decyduje się los Europy na długie dekady. Może na stulecie.

Decyduje się los całego świata. Zanim rozstrzygnie się los Ukrainy, Chiny i Ameryka muszą rozstrzygnąć, o jakim porządku świata będą decydowały. Bez tego ani Ukraina, ani Rosja nie będą wiedziały, co mówią im patronujące im – odpowiednio – Waszyngton i Pekin. W geopolitycznym sensie jest to zastępcza wojna Chin i Ameryki.

Mogła wybuchnąć o Tajwan, wybuchła o Ukrainę. Gdyby było odwrotnie zapewne Amerykanie płaciliby Rosji za niezaangażowanie tu, w tej części Europy.

Tak by było. Oczywiście w tym wszystkim nie możemy zapomnieć o postawie Ukraińców – chcą walczyć, chcą mieć

niepodległe państwo. Zachowują się tak jak Polacy między 1918 a 1920 r. Ale ich walka jest też częścią wielkiego starcia.

Kto wygra?

Jedna z agencji ratingowych podała, że na ponad 40 kluczowych obszarów technologicznych, w 7 prowadzi Amerykanie, a w ponad 30 Chiny. To bardzo zły prognostyk. Atutem USA jest z kolei armia, bardziej doświadczona, lepiej zorganizowana, próbowana w boju co pokolenie. Każda ze stron ma swoje ograniczenia. Chiny to kraj autorytarnej, może nawet totalitarnej kontroli społecznej. To wcześniej czy później musi wpłynąć na innowacyjność.

Ostrzeżeniem jest błąd w sferze COVID-19. Brnęli w pełną izolację wielkich miast, mimo że było jasne, iż należy luzować regulacje.

Za ten błąd miliony Chińczyków zapłaciło życiem, bo zderzyli się z wirusem bez przygotowania. Z kolei Amerykanie ulegają ideologii genderyzmu, który też zmierza w stronę na razie miękkiego ograniczania wolności słowa i dyskusji, także naukowych. To też może zaszkodzić Ameryce. W każdym razie dopóki Chiny i USA nie znajdą albo balansu, albo porozumienia, o pokój będzie trudno. Musimy się przyzwyczajać, że wojna może długo trwać, że Ukraina

potrzebuje pomocy w dłuższym czasie, że takie będzie nasze sąsiedztwo.

W czasie I i II wojny światowej, do momentu wejścia Ameryki do gry, też finał wydawał się niepewny, wielu uważało, że świat znalazł się w kłinczu. W końcu jednak alianci zwyciężali, w 1945 r. niestety w sojuszu z Sowietami.

Bardzo wiele zależy od determinacji i mobilizacji zasobów. Rosja jest wciąż groźna, ma olbrzymie zasoby, a skuteczność sankcji jest ograniczona. Słyszymy, że rosyjskie PKB może nawet wzrosnąć w tym roku, a rezerwy finansowe wciąż są duże. Rosja i Chiny grają na wycieńczenie Zachodu, także psychiczne. My także musimy się mobilizować i musimy o tym mówić Polakom także w czasie kampanii.

To naprawdę jest wojna o nas. Czy bez Ameryki w Europie nasza niepodległość jest do utrzymania?

Raczej nie, podobnie zresztą jak autonomiczność całej Europy. Papież Franciszek mówi, że mamy III wojnę światową w kawałkach. W tym przypadku ujął to bardzo celnie, to jest prawda. Pytanie, kto te kawałki lepiej rozegra. Czy po amerykańskich wyborach demokraci – jeśli to oni znów wygrają – będą równie zdeterminowani, by pomagać Ukrainie, czyli również sobie? Co najmniej połowa amerykańskich geopolityków uważa, że wszystkie siły trzeba rzucić na Pacyfik.

Naprawdę tak niewiele rozumieją? Naprawdę. A przecież to wojna o świat. A skoro tak, to trzeba wygrać w każdym miejscu, nie można oddać Europy. W tej wojnie nie można się zmęczyć! Ale też trzeba myśleć perspektywicznie. Ze wsparciem amerykańskim, brytyjskim, kanadyjskim, Polska i Ukraina mogą wspólnie stworzyć siłę odstraszającą Rosję. Amerykanie muszą się jednak w to zaangażować na poważnie. Nie może być tak, jak w przypadku Trójomorza; USA dużo o tym mówiły, ale niewiele zrobiły, a nawet wpuściły Niemcy do środka w roli obserwatora. I dziś ta idea jest już passé. Między-

morze (wschodnia flanką UE i NATO, kraje sąsiadujące z Rosją) nie może podzielić tego losu.

Co, jeśli Zachód jednak się zmęczy, odpuści?

Wówczas Putin dość szybko uzyska pozycję, o którą walczył, a którą wyłożył w ultimatum z grudnia 2021 r. A więc wycofanie Amerykanów z Europy, najlepiej z całej, i oddanie wschodniej flanki pod faktyczną kontrolę Moskwy.

Moim zdaniem atak na Jana Pawła II był przynajmniej uzgodniony z przywódcami PO. I to jest trzeci punkt dla PiS: są ludzie, którzy nie wiedzą, czy wolą Tuska, czy Kaczyńskiego, ale na pewno wolą Jana Pawła II niż pustkę w sferze autorytetów

I dopiero wówczas Niemcy się dowiedzą, że ich interesy nie zawsze są zbieżne z rosyjskimi i że za Rosją idą Chiny ze swoją masą coraz lepszych towarów, z rosnącą przewagą technologiczną. I tak zakończy się marzenie Macrona i innych o strategicznej autonomii Europy.

W tym kontekście budowa armii, która ma Polskę obronić samodzielnie, bez oglądania się na pomoc sojuszniczą, jest sprawą pierwszej wagi. To decyzja, która może wpłynąć na globalną rozgrywkę?

Oczywiście. Dlatego z nami dziś wszyscy roznawiają. Niemal co tydzień gości u nas ważny polityk amerykański. Ale naszą siłę militarną musimy też jakoś skoordynować z siłą ukraińską. Także na poziomie politycznym. Jak będzie wyglądał nasz sojusz w przyszłości? W czasie wizyty prezydenta Zelenskiego w Warszawie niewiele się dowiedzieliśmy. Widzimy dużo emocji, przyjaźń, serdeczność, ale nie konkrety.

Ale prawdziwy sojusz to właśnie lojalna współpraca konkretnych ekip politycznych.

Tak, te relacje są ogromnie ważne. Czy jednak ten sojusz wytrzyma próbę czasu, jeśli wsparcie Ameryki okaże się niewystarczające? Co zrobimy, jeśli po wojnie odbudową Ukrainy zajmą się Niemcy i Chińczycy? Jest dużo znaków zapytania. Ważne jest to, że współczesna tożsamość ukraińska wykuwa się w konfrontacji i ta pozorna negatywność buduje coś bardzo pozytywnego. Polska i Ukraina są w podobnej sytuacji, z tym że to Ukraińcy będą musieli odbudować kraj, a nie my. My teoretycznie możemy rozwijać się nawet bez pieniędzy brukselskich. Ukraina bez pieniędzy z zewnątrz nie ruszy do przodu. Ale jeśli wygra wojnę, to wygra także odbudowę.

Kwestia ukraińskiego zboża, które zalało Polskę i całą Europę, pokazała jednak, jak trudna będzie droga do integracji naszego sąsiada. Ukraina ma tak żyzne ziemie, że może wyżywić 400 mln ludzi.

W wielu miejscach nie stosuje się nawozów sztucznych, bo ziemia sama z siebie jest wystarczająco żyzna i nie jałowije.

Do tego dochodzą wielkie arealy i zachodnie technologie wielkich spółek rolnych, także zachodnich. Musimy się na to przygotować, szukać szansy w specjalizacji, w produkcji żywności wysokiej jakości, także ekologicznej.

To jednak złudzenie, to nigdzie na świecie nie zastąpiło przemysłowego rolnictwa.

Rynek na taką żywność będzie jednak rósł. Ale teraz, w tym konkretnym momencie, słusznie szukamy innych rozwiązań: kontrola kontenerów za pomocą systemów satelitarnych, plombowanie transportów, nakaz wywiezienia tego, co wjeżdża jako tranzyt. Jestem optymistą, mamy narzędzia, by ten problem rozwiązać. Rząd ma spore pole manewru, bo zrobił tyle dla Ukrainy, że dziś nikt poważny nie zarzuci nam, że gramy przeciwko niej.

Tusk na ulicy

*Jeśli nie udaje się wygrywać wyborów, to trzeba
wykorzystać ulicę i dokonać zamachu stanu*



STANISŁAW JANECKI

Podwójna porażka w demokratycznych wyborach w 2015 r. (prezydenckich i parlamentarnych) była wielką traumą dla Platformy Obywatelskiej i Donalda Tuska. Dla byłego premiera była zgryzotą niewiele mniejszą od jego przegranej z Lechem Kaczyńskim w wyborach prezyden-

kich w 2005 r. Mimo że w 2015 r. już nie był szefem partii i jako przewodniczący Rady Europejskiej powinien się zajmować innymi sprawami.

To po wyborach w 2015 r. Tusk i PO uznali ulicę za równoprawne z wyborami narzędzie polityki. Faktycznym realizatorem walki o władzę na ulicy był nowy wtedy przewodniczący PO Grzegorz Schetyna, ale Donald Tusk pozostawił dla siebie rolę pomysłodawcy i rewizora. Uznanie ulicy za normalny środek polityki (choć w demokracji to przecież naciągane mimo prawa do demonstrowania) wynikało z przekonania, że to narzędzie skuteczne, na co dowodem miał być kijowski Majdan, rozpoczęty 21 listopada 2013 r. Ulica najpierw miała być formą nacisku na władzę i narzędziem mobilizacji każdego, kto wspierał opozycję lub był przeciwny rządowi Zjednoczonej Prawicy, a potem wprost narzędziem rewolty, puczu, zamachu stanu czy rewolucji zmieniającej władzę przy użyciu różnych form przemocy, na którą było coraz większe przyzwolenie, a wręcz zamówienie.

PUCZ GRUDNIOWY

W pierwszych działaniach ulicznych w Polsce Tusk nie brał bezpośredniego udziału, a tylko je wspierał z Brukseli. Tak było podczas manifestacji zorganizowanej 7 maja 2016 r., formalnie przez Komitet Obrony Demokracji, nazwanej Marszem Wolności. Podobne wydarzenie powtórzone 6 maja 2017 r. – znowu jako Marsz Wolności. PO rządzona wtedy przez Grzegorza Schetynę, który chciał neutralizować wpływy Tuska, więc się radykalizował, wydała na te dwa marsze kilka milionów złotych. Wydarzenie było szeroko reklamowane w mediach oraz w sferach komunikacji miejskiej w Warszawie (prezydentem stolicy była wiceprzewodnicząca PO Hanna Gronkiewicz-Waltz). Dwa Marsze Wolności nie przyniosły żadnych wymiernych rezultatów, nawet gdy chodzi o spadek notowań Zjednoczonej Prawicy.

Marsz jako formę organizacyjną zastąpiono więc puczem. Próbę obalenia rządu przez ulicę i pucz w Sejmie podjęto w grudniu 2016 r. I w tej próbie Tusk brał już czynny udział, choć nie dotarł wtedy do Warszawy. TVN24 prowadziła relację na żywo, w tej samej stacji poseł PO Cezary

Tomczyk wzywał ludzi do wyjścia na ulicę, do przyjsia pod Sejm, gdzie już była przygotowana odpowiednia infrastruktura. Tomczyk twierdził, że pod parlamentem zgromadziło się już 20 tys. osób. Podkreślał: „Tak, to jest ten moment”. Wtedy też Adam Szostkiewicz, publicysta „Polityki”, w TVN24 ogłosił, że rozpoczyna się polski Majdan. Podgrzewano atmosferę, blokując wyjazd posłów PiS oraz ministrów rządu Beaty Szydło i jej samej. 17 grudnia najwięksi zadymiarze przenieśli się pod Pałac Prezydencki, gdzie nie brakowało prowokatorów namawiających do ataku na siedzibę głowy państwa. W tłumie świetnie się czuli emerytowani funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa.

Jednym z ważnych elementów scenariusza obalenia rządu (a gdyby pucz miał odpowiednią skalę i poparcie, to także prezydenta) była obecność Donalda Tuska 17 grudnia 2016 r. we Wrocławiu. Formalnie przyleciał na zakończenie funkcjonowania Wrocławia w roli Europejskiej Stolicy Kultury. Tusk powiedział wtedy: „Przygotowałem sobie wystąpienie, ale nie pierwszy raz historia płata mi figla i muszę zmienić wystąpienie z oczywistych względów. [...] Po wczorajszych wydarzeniach w Sejmie i na ulicach Warszawy, mając w osobistej pamięci, co znaczą grudnie w naszej historii, apeluję do tych, którzy realnie sprawują władzę w naszym kraju, apeluję o respekt i szacunek wobec ludzi, wobec zasad i wartości konstytucyjnych, ustalonych procedur i dobrych obyczajów. A tym, którzy są gotowi, pokazują od wielu miesięcy, że chcą trwać przy europejskich standardach demokracji, tu w Polsce, chciałbym serdecznie podziękować i wyrazić najwyższe uznanie”.

Tusk wezwał rządzących właściwie do tego, żeby dali się usunąć, a ulicę otwarcie wsparł w jej planach puczu. 17 grudnia wydarzenia układały się w taki scenariusz, jakby Tusk był gotów stanąć na czele rewolty i doprowadzić puczystów nawet do ataku na najważniejsze instytucje państwa. Niektórzy twierdzili również, że Tusk dopuszczał przelew krwi, który mógłby być katalizatorem puczu i jego przejściem w rewolucję.

SZNUR I GAŁĄŻ

Gdy w lipcu 2017 r. opozycja w Polsce po raz kolejny zmobilizowała ulicę, Donald

Tusk zwrócił się do prezydenta Andrzeja Dudy z „propozycją pilnego spotkania w celu omówienia kryzysu politycznego w naszym kraju i jego groźnych konsekwencji dla międzynarodowej pozycji Polski”. 18 lipca 2017 r., zapewne po konsultacjach z Tuskiem, poseł Cezary Tomczyk wezwał ludzi do przyjsia pod Sejm, gdzie miało już być 30 tys. osób. W nocy z 18 na 19 lipca 2017 r. plan puczu był niemożliwy do zrealizowania z powodu działań prewencyjnych policji rozpoczętych w niedzielę 16 lipca. Tym razem skoncentrowano się więc na prowokowaniu „ludowych mścicieli”. Dawka nienawiści i agresji płynąca z sejmowej sali nocą z 18 na 19 lipca była tak wielka, że mogła sprowokować jakiegoś nowego Ryszarda Cybę, a potem nastąpiłby efekt śniegowej kuli. 19 listopada 2017 r. Tusk na Twitterze napisał: „Alarm! Ostry spór z Ukrainą, izolacja w Unii Europejskiej, odejście od rządów prawa i niezawisłości sądów, atak na sektor pozarządowy i wolne media – strategia PiS czy plan Kremla? Zbyt podobne, by spać spokojnie”.

Wtedy nie udało się jednak Tuskowi zamienić ulicy w narzędzie zamachu stanu, ale nie rezygnował. 10 listopada 2018 r. podczas Igrzysk Wolności w Łodzi mówił: „Listopad to dla Polaków niebezpieczna pora. Może dlatego warto, czcząc dzisiaj bohaterów naszej niepodległości, dziś i jutro, pomyśleć już o tym, co zdarzy się wiosną. Wszak maj to dla Polaków błogi raj. [...] Spróbujcie w maju, wiosną pokazać, że wiosna może być wasza, nasza, polska”. Wbrew nadziejom Tuska wiosna 2019 r. nie była przełomem: opozycja przegrała wybory europejskie (26 maja) z Prawem i Sprawiedliwością. Listopad także nie był „dla Polaków niebezpieczną porą”, a PiS pobilo swoim zwycięstwem wszelkie rekordy w historii wyborów parlamentarnych po 1989 r. (43,59 proc. głosów).

Kolejna próba wykorzystania ulicy miała się dokonać 3 maja 2019 r., gdy Tusk wygłaszał wykład na Uniwersytecie Warszawskim. Jego plany pokrzyżował jednak wyskok Leszka Jażdżewskiego, który skompromitował pomysł. 18 maja 2019 r. zorganizowano (w porozumieniu z Tuskiem) Marsz dla Europy w Warszawie. Tuska zapewniano o 100 tys. uczestników, żeby się włączył, ale było najwyżej 10 tys. Kolejna próba (znowu pod patrona-

tem Tuska) odbyła się 4 czerwca 2019 r. w Gdańsku, gdzie liczone na ogłoszenie nowego projektu politycznego z udziałem samorządowców. Skończyło się małym przemówieniem Donalda Tuska, które nie porwało tłumów. 17 stycznia 2020 r. Donald Tusk napisał na Twitterze: „Wyprowadzają Polskę z Unii, niszczą sądy, by bezkarnie kraść, szczują jednych Polaków przeciw drugim. Głosujesz na nich? Masz prawo. Ale nie masz prawa dłużej udawać, że tego nie widzisz. Bo widzisz”. Chodziło o mobilizowanie opozycji do kolejnych działań na ulicy.

Potem było już ostrzej, zapewne z powodu frustracji niepowodzeniami. 19 grudnia 2021 r., podczas wiecu na rzecz telewizji TVN, Donald Tusk przywołał wiersz noblisty Czesława Miłosza „Który skrzywdziłeś” i zaadresował go do prezydenta Andrzeja Dudy. Użył słów poety, żeby nie odpowiadać za podżeganie do przestępstwa: „Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy. I sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta”. To była i groźba, i propozycja klasycznego zamachu stanu, czyli usunięcia głowy państwa wszelkimi środkami.

REWOLUCJA ZAMIAST WYBORÓW

W październiku 2021 r. Tusk wezwał do protestów w całym kraju przeciwko „możliwemu polexitowi” i pod hasłem „Zostaję w Unii”. Apelowal wtedy: „Wzywam wszystkich, którzy chcą bronić Polski europejskiej, w niedzielę na pl. Zamkowy w Warszawie, godz. 18.00. Tylko razem możemy ich zatrzymać”. Efekt był mizerny, ale Tusk planów wykorzystania ulicy nie porzucił.

15 kwietnia 2023 r. napisał na Twitterze: „Wzywam wszystkich na marsz w samo południe 4 czerwca w Warszawie. Przeciw drożyznie, złodziejstwu i kłamstwu, za wolnymi wyborami i demokratyczną, europejską Polską”. Po raz kolejny Tusk chce zastąpić wybory uliczną rewoltą. Masy miałyby podtrzymać rewolucyjny nastrój do wyborów i albo wpłynąć na ich wynik przez zastraszanie uczestników, albo już po wyborach nie uznać ich rezultatów w razie przegranej i wtedy rozpocząć uliczną rewolucję. Czy Tusk byłby wtedy nowym Leninem? Zważywszy na rolę Niemiec w obu przypadkach, analogia nie wydaje się wcale nieuzasadniona. 

Pokolenie bez jasnej wizji

Młodzi Polacy przed trzydziestką nie są wcale tak postępowi, jak zwykło się uważać. Nie oznacza to jednak, że powszechnie hołdują tradycyjnym wartościom. Oni dopiero szukają swojej drogi, a ich wizja świata jest bardzo niespójna



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Nie chcą liberalizacji aborcji, związków partnerskich i legalnej marihuany. Zaskakujące poglądy młodych wyborców – alarmuje „Gazeta Wyborcza”. Liberalne media z wyraźnym zaskoczeniem przyjęły wyniki najnowszego raportu Fundacji Konrada Adenauera zatytułowanego „Polityczny portret młodych Polaków 2023”, w którym przebadano poglądy polityczne, sytuację życiową i system wartości wyznawany przez Polaków od 18. do 30. roku życia, nazywanych przez mnie skrótoowo pokoleniem dwudziestolatków.

Badania sfinansowane i firmowane przez niemiecką fundację, zostały przeprowadzone przez zespół polskich socjologów już po raz drugi. Poprzednią edycję raportu opublikowano w 2019 r. i choć młodzi częściej niż cztery lata temu narzekają na sytuację materialną i podlegają cywilizacyjnym zmianom (czego przejawem jest m.in. stopniowy spadek religijności), to trudno mówić o powszechnym nawrocie generacji dwudziestolatków na liberalizm, czego oczekiwali komentatorzy „Wyborczej”.

NIECHĘĆ DO OBECNEJ POLITYKI

Tradycyjne wartości, które zgodnie z powszechną intuicją zostały niemalże wyrugowane z dużych miast, wcale nie muszą przekładać się na wzrost poparcia młodych wyborców dla takich partii

jak PO czy nawet Lewica. Okazuje się bowiem – i to jest pewna nowość – że wielkomiejski liberalizm młodych coraz częściej przybiera oblicze Konfederacji.

Wielu dwudziestolatków mieszkających w miastach – choć daleko im do PiS – ma już dość nieustannej wojny na górze i ideologicznych obsesji anty-PiS-owskiej opozycji. Być może dzięki temu Konfederacja, która jak na razie próbuje utrzymywać się nieco z boku, jawi się młodym wielkomiejskim liberałom jako niezuzyta i trzeźwiej myśląca od weteranów politycznych kłótni.

Podobny proces można zaobserwować także poza dużymi miastami, gdzie wśród młodszego pokolenia dominują postawy bardziej konserwatywne niż w metropoliach. Na prowincji rolę Konfederacji przejmuje z kolei partia Szymona Hołowni. Widać więc dość wyraźnie, że zaciekle spór, który od lat toczą między sobą główne polskie partie, mocno narusza ich wizerunek w oczach młodszych wyborców.

Tę hipotezę potwierdzają też badania, z których wynika, że pokolenie dwudziestolatków z dużym dystansem, wręcz z niechęcią podchodzi do całej obecnej klasy politycznej, co przekłada się na deklarowane przez nich poglądy polityczne. Jak czytamy w raporcie „aż 61,2 proc. młodych Polaków nie definiuje swoich poglądów politycznych na osi lewica – prawica i umieszcza je poza skalą lub deklaruje brak sprecyzowanych poglądów”. Niemal tyle samo ankietowanych (61,6 proc.) ocenia swoje zaangażowanie w sprawy polityczne jako małe lub bardzo małe.

Co więc mogłoby zachęcić młodych do zmiany tego podejścia? Wyniki badań wskazują na dużą niespójność ich postaw. Z jednej strony bowiem główną

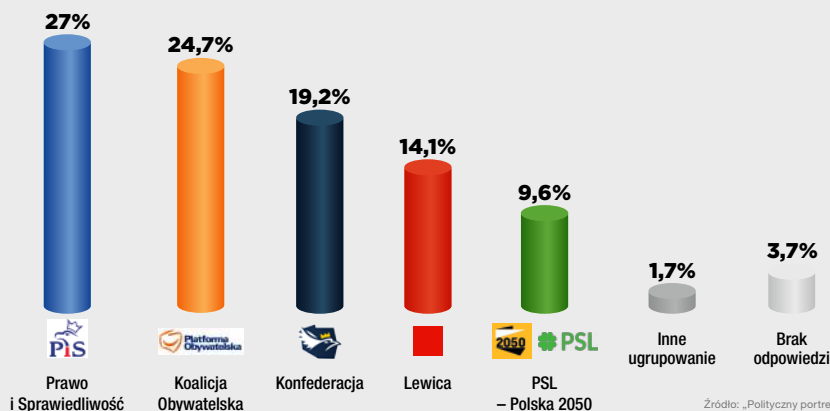
motywacją do ewentualnego uczestnictwa w polityce byłyby korzyści materialne (tę odpowiedź wybrała największa grupa, blisko 20 proc.), a z drugiej – chęć zmiany i realnego wpływu na rzeczywistość (19,1 proc.). Nieco mniej uznało, że polityka pomaga nabyć umiejętności zawodowe (19 proc.) albo nawiązać kontakty towarzyskie (16,7 proc.). Po ponad 10 proc. wskazało wyznawane wartości oraz frustrację spowodowaną obecną sytuacją.

KTO TRACI MŁODYCH?

Badania wskazują, że dwudziestolatkowie czerpią wiedzę o świecie – to zresztą nic zaskakującego – z mediów społecznościowych (29,3 proc.) i z portali internetowych (27,7 proc.). Całkiem spora grupa (19,4 proc.) kształtuje swoje poglądy na podstawie rozmów z rodziną lub znajomymi (co potwierdza tezę, że w wielu sprawach mamy do czynienia z presją środowiskową). Telewizja jest źródłem informacji dla jedynie 10,6 proc. ankietowanych, a do mediów drukowanych i książek sięga zaledwie niecałe 2 proc. dwudziestolatków. Młodzi Polacy wykazują przy tym umiarkowane zainteresowanie życiem publicznym w kraju, 38,8 proc. uważa, że trzeba mieć elementarną orientację w tym, co się dzieje, a 37,4 proc. interesuje się tylko tymi informacjami, które mogą ich dotyczyć osobiście.

Można tu dostrzec podobny mechanizm, z którym mamy do czynienia w przypadku stosunku młodych wyborców do sceny politycznej. Młodzi nie ufają tradycyjnym mediom – tak jak nie ufają politykom. Zamiast tego samodzielnie szukają, jak im się zdaje, niezależnych lub budzących ich zaufa-

Poparcie dla partii politycznych wśród wyborców w wieku 18-30 lat



nie źródeł. To powinno budzić zaniepokojenie, bo popularność informacji z internetu, niezawierających rzetelną wiedzę, może być doskonałą pożywką dla różnych manipulacji.

Ogólna niechęć do polityki i instytucji publicznych wśród większości młodych ankietowanych nie przekłada się jednak na rozczarowanie demokracją. Większość bowiem (ponad 72 proc.) deklaruje udział w wyborach i uważa, że ich głos jest brany pod uwagę przez władzę (59,4 proc.).

Według badań na największą uwagę mogą liczyć te ugrupowania, które są w stanie poprawić osobistą sytuację ekonomiczną młodego wyborcy (27,4 proc. wskazań) i te, które zapewniają bezpieczeństwo militarne Polski (14,9 proc.). Dopiero na trzeciej pozycji pojawiają się połączone z sobą polityka energetyczna i klimatyczna (14,3 proc.), co można uznać za błąd w badaniach, bo w jednej kategorii pomieszano z sobą tych, którzy przykładowo są zwolennikami energii atomowej, z klimatystami.

W przełożeniu na konkretne partie polityczne wyniki są dość rozczarowujące dla obecnej opozycji. Okazuje się bowiem, że wśród młodych wyborców największym poparciem cieszy się PiS (27 proc.), później jest Koalicja Obywatelska (24 proc.), Konfederacja (19,2 proc.), Lewica (14,1 proc.) oraz PSL w koalicji z partią Hołowni (9,6 proc.).

Badania pokazują także wyraźny podział młodego elektoratu według linii miasta – małe ośrodki i wieś. W miastach

zdecydowanie przeważają wyborcy KO, Lewicy i Konfederacji, a poza nimi – PiS i partii Hołowni. Co ciekawe, młody elektorat wielkomiejski, który zazwyczaj głosuje przeciwko PiS, jest zadowolony z życia i raczej nie narzeka na swoją sytuację materialną. Dla odmiany młodzi wyborcy PiS (w większości mieszkańcy wsi) i Hołowni (pochodzący najczęściej z małych miast powiatowych) czują się poszkodowani ekonomicznie. Przy czym ci, którzy deklarują głos na PiS, najwyraźniej wierzą, że partia rządząca poprawi ich standard życiowy, a zwolennicy Hołowni takich nadziei nie mają.

PiS może się pochwalić najbardziej lojalnym elektoratem wśród pokolenia dwudziestolatków. Aż 93,8 proc. młodych wyborców PiS z 2019 r. deklaruje bowiem, że odda głos ponownie na tę partię. Inni tracą, głównie na rzecz Konfederacji. I tak swój głos na tę formację chce oddać aż 36,8 proc. zwolenników PSL z 2019 roku, 16,9 proc. młodych wyborców PO oraz 10,3 proc. Lewicy. Jedynie na Lewicy ostateczny bilans się nie zmienia, bo choć młodych wyborców podbiera jej Konfederacja, to jednocześnie tyle samo (10,8 proc.) Lewica przejmuje od PO.

Z tych danych wynika więc, że największe straty wśród młodego pokolenia notują PO i PSL, a największe zyski – Konfederacja. I że do największych transferów elektoratu dochodzi w dużych miastach. Małe ośrodki, a zwłaszcza wieś są światopoglądowo bardziej stabilne.

KONGLOMERAT SPRZECZNOŚCI

To niezdecydowanie młodych wyborców w dużych miastach i zarazem większa stałość poglądów poza dużymi ośrodkami odbija się także do pewnego stopnia w dość zaskakujących i mocno niespójnych poglądach pokolenia dwudziestolatków na kwestie społeczne.

Bo z badań wynika, że mimo deklarowanych liberalnych sympatii politycznych w miastach młodzi Polacy wcale nie są aż tak postępowi, jakby z tych deklaracji mogło wynikać. Blisko 60 proc. wszystkich ankietowanych uważa np. że w Polsce nie należy liberalizować prawa aborcyjnego (najwięcej zwolenników aborcji jest wśród młodych wyborców Lewicy, PO i Konfederacji). 62,4 proc. nie chce związków partnerskich (ich zwolennicy to tak jak w przypadku aborcji głównie młody elektorat Lewicy, PO i Konfederacji), a prawie 90 proc. sprzeciwia się legalizacji rekreacyjnej marihuany. 82,6 proc. badanych nie chce też wprowadzenia euro w Polsce, a 74 proc. przywrócenia handlu w niedzielę.

Trzeba tu zwrócić uwagę, że choć w powyższych sprawach młodzi wyborcy Lewicy, PO i Konfederacji (czyli duże miasta) najczęściej opowiadają się za aborcją i związkami partnerskimi, to wcale nie stanowią w swoich grupach zdecydowanej większości. A to oznacza, że młode elektoraty tych partii są bardzo niejednorodne i niewykluczone, że popieranie tych postulatów bywa objawem mody lub presji środowiska.

Sprzeczność postaw jest zresztą szersza. Bo z jednej strony młodzi Polacy chcą według badań niskich podatków (aż 91 proc.), ale z drugiej chcieliby utrzymania programu 500+ (74 proc.), budowy mieszkań socjalnych (67 proc.), finansowania antykoncepcji (blisko 60 proc.) oraz zwiększenia wydatków na obronność (prawie 86 proc.). Przy czym aż 75 proc. z nich sprzeciwia się obowiązkowemu szkoleniu wojskowemu.

Trudno to wszystko połączyć w jedną spójną wizję. Są więc dwie możliwości: albo młodzi wyborcy dopiero krystalizują swoje poglądy i wszystko się ułoży, albo – gdy będą stanowić większość wyborców – polska polityka się mocno zmieni. Czy na lepsze? Tego jeszcze nie wiemy.

Przywróćmy powszechną służbę wojskową

Głównym powodem, dla którego jest przywracana powszechna służba wojskowa, są potrzeby armii na wypadek wojny. Musi mieć ona przeszkolone rezerwy, które w krótkim czasie będzie mogła powołać pod broń



MAREK BUDZISZ

Występując z pierwszym od czterech lat przemówieniem na temat kierunków polskiej polityki zagranicznej, minister Rau powiedział, że „Polska zaproponowała sojusznikom dostosowanie strategii odstraszania sojuszu na jego wschodniej flance i przejście od koncepcji odstraszania, przez nieuchronność kontrataku – zakładającą możliwość czasowego oddania terytorium pod okupację agresora – do koncepcji odstraszania opartej na gotowości obrony każdego fragmentu NATO-wskiego terytorium”. Po doświadczeniach Irpii i Buczy tego rodzaju podejście jest zrozumiałe i o niedopuszczalności wpuszczenia Rosjan na teren własnego kraju już w ub.r. mówiła premier Estonii Kaja Kallas, argumentując, że taka strategia może dla jej narodu oznaczać nawet ryzyko zagłady. Jej słowa potwierdziły późniejsze analizy ekspertów brytyjskiego think tanku strategicznego RUSI, którzy odbyli kilka misji badawczych na Ukrainie, rozmawiali z oficerami i żołnierzami, analizowali zdobyte dokumenty sztabowe Rosjan.

W raporcie, który jest wynikiem prac tego zespołu, znalazło się stwierdzenie, że to, co wydarzyło się w Buczy i Irpieniu, to nie „wypadek przy pracy”, niesubordynacja pijanego żołdactwa, ale element rosyjskiego planu, przygotowanego przez FSB jeszcze przed wojną i zakładającego wymordowanie aktywnej części społeczeństwa, która mogłaby przeciwstawić się wojskom okupacyjnym. Rosjanie po prostu tak wojują, przy użyciu tego rodzaju metod chcą ujarzmić opanowane przez siebie tereny. Tym bardziej nie należy ich wpuścić.

KŁOPOTY NATO

Pytaniem, które trzeba w tym kontekście postawić, jest kwestia tego,

jakich sił państwa NATO potrzebują na wschodniej flance, której granica z Federacją Rosyjską uległa wraz z wejściem Finlandii do paktu dwukrotnemu wydłużeniu, by myśleć o zablokowaniu rosyjskiej agresji? Analitycy CSBA, wielkiego amerykańskiego think tanku strategicznego, którzy jesienią ub.r. przygotowali specjalny raport, w którym szukali odpowiedzi na pytanie, co należy zrobić, by obrona państw bałtyckich była możliwa w nowej formule, stwierdzili, że znajdujące się tam siły muszą wzrosnąć znacząco. Przed szczytem w Madrycie we wspólnym oświadczeniu rządy tych państw apelowały o utworzenie wielonarodowych dywizji, po jednej w każdym z nich, by reagować na wzrost zagrożenia. Ostatecznie na ostatnim szczycie NATO podjęto decyzję, że będą to docelowo brygady, a zatem formacje czterokrotnie mniejsze, których główny trzon ma stacjonować w państwach ramowych, czyli tych, które odpowiadają za gros sił desygnowanych do tych formacji. O ile w przypadku Litwy, dla której taką rolę odgrywają Niemcy, to może nie być problem, o tyle jeśli chodzi o Łotwę z kluczową rolą Kanady, sprawa jest już bardziej skomplikowana. Tym bardziej że jak niedawno powiedziała Anita Anand, kanadyjska minister obrony, „nie mamy wystarczających sił”, by wysłać dodatkowy kontyngent na Łotwę. Jej słowa potwierdzają wypowiedzi publiczne gen. bryg. Kristy Brodie, która mówi wręcz o kryzysie rekrutacyjnym w kanadyjskich siłach zbrojnych, gdyż w ostatnich dwóch latach udało się pozyskać raptem połowę tych, którzy powinni zacząć służbę, by uzupełnić lukę po odchodzących na emeryturę i do cywila.

Niewiele lepiej jest w Niemczech. Wynika to choćby z ostatniej, ujawnionej przez „Bild”, notatki Alfonsa Maisa, niemieckiego generała, głównego inspektora sił zbrojnych, który tak oceniał zaawansowanie przyjętych przez Berlin zobowiązań w kwestii obronności. Chodzi o to, że na niedawnym szczycie NATO w Madrycie Niemcy zadeklarowały, iż do 2025 r. będą miały przynajmniej jedną zdolną do walki dywizję, kolejną w 2027 r., a trzecią w nieco późniejszym terminie.

Pierwotnie Niemcy planowali posiadać choć jedną w pełni wyekwipowaną dywizję w 2027 r. (przypominam, że my mamy cztery, choć kwestia ich gotowości bojowej pozostaje przedmiotem ożywionych debat wśród fachowców), ale na fali uniesienia związanej z deklaracjami o Zeitenwende termin ten skrócono i Berlin zadeklarował przyspieszenie wykonania planów o dwa lata. Dziś euforia wywietrzała i jak argumentuje Mais, „armia nie będzie w stanie utrzymać się w walce o dużej intensywności, a także będzie w stanie jedynie w ograniczonym stopniu wypełniać zobowiązania wobec NATO”. Ten ezopowy język ma skryć nieprzyjemną prawdę, iż Niemcy nie dadzą rady desygnować odpowiednich sił do NATO-wskiego kontyngentu o podwyższonej gotowości, który docelowo – jak zdecydowano w Madrycie – powinien liczyć 300 tys. żołnierzy. Wkład Berlina miał wynosić trzy dywizje, a jak widać, nawet z jedną będzie problem.

W brytyjskiej Izbie Gmin przedmiotem ożywionych debat był niedawny raport, z którego wynikało, że Londyn będzie musiał wręcz zredukować swój kontyngent wojskowy obecny w Estonii.

Dramatyczne kłopoty kadrowe mają dwa najlepiej do tej pory radzące sobie w obszarze wojskowym państwa – Stany Zjednoczone i Francja. W tym pierwszym przypadku liczba żołnierzy służących w siłach lądowych gwałtownie w ostatnich latach spada. Jak napisał w specjalistycznym portalu War on the Rocks gen. David Barno, amerykańska armia z powodu trudności z przyciągnięciem chętnych do służby w wojsku od lat zmniejsza swoje limity. Liczby są tutaj bezlitosne. Tylko w ciągu ostatnich dwóch lat musiała zredukować swoją liczebność z powodu trudności rekrutacyjnych o 7 proc. – z 475 do 445 tys. Nieco lepiej jest w lotnictwie i w piechocie morskiej, formacjach uznawanych za elitarne, ale są też takie, w których niedobór rekrutów, jak alarmował w ostatnim czasie dziennik „The Wall Street Journal”, sięga nawet 40 proc. Co gorsze, jak wynika z badań, na które powołuje się dziennik, tylko 25 proc. młodych Amerykanów spełnia fizyczne, psychiczne i moralne standardy, by

móc służyć w wojsku. W tej ostatniej kwestii chodzi o brak kontaktu z narkotykami. Ale tych, którzy myślą o karierze w siłach zbrojnych, jest jeszcze mniej – 9 proc.

Niedobór rekrutów oznacza, że siły zbrojne państw NATO, po pierwsze, się starzeją, w przypadku Niemiec średni wiek żołnierzy zbliża się do 30, ale po drugie – trudności kadrowe, niemożność utrzymania zakładanej obsady personalnej staje się problemem dnia powszedniego. Przy obecnym ochotniczym systemie rekrutacji będzie brakować ludzi nawet na utrzymanie dotychczasowego potencjału, nie mówiąc o jego zwiększeniu i zmianie taktyki obrony.

POBÓR, KADRY, PRZESZKOLONE REZERWY

Państwa z tymi problemami radzą sobie w różny sposób. Prezydent Macron zaakceptował właśnie podniesienie do 70. roku życia, a w niektórych specjalnościach nawet do 72. roku wieku, w którym rezerwista może zostać powołany do służby wojskowej. Inne – jak Łotwa – wracają do poboru powszechnego. Jak napisał Māris Andžāns, dyrektor Centrum Studiów Geopolitycznych z Rygi, przypadek Łotwy, kraju, który w 2006 r. zniósł powszechną obowiązkową służbę wojskową, obrazuje, jak w ciągu 17 lat zmieniła się sytuacja bezpieczeństwa w regionie. Już po rosyjskiej agresji z 2014 r. władze przywróciły przeszkolenie obronne w szkołach oraz zaczęły organizować letnie obozy wojskowe dla młodzieży. Jednak kroki te okazały się niewystarczające, by zapewnić stabilność kadrową niewielkich, bo liczących 6,7 tys. osób łotewskich sił samoobrony, które na początku 2022 r. miały 838 wakatów. W tej sytuacji, mimo że opinia publiczna była w tej kwestii podzielona (42 proc. ankietowanych było przeciwko przywróceniu poboru, 45 proc. za), Artis Pabriks, łotewski minister obrony, złożył projekt ustawy przywracający powszechną służbę wojskową, a parlament przyjął ustawę przewidującą 11-miesięczne obowiązkowe

przeszkolenie. Tym samym Łotwa jako ostatnie państwo nordyckie za wyjątkiem Islandii wróciła po latach do zarzuconego systemu. Dla nikogo w państwach bałtyckich, w Finlandii czy Szwecji nie jest bowiem tajemnicą, że jeśli chce się liczyć na pomoc sojuszników w ramach art. 5 traktatu północnoatlantyckiego, to najpierw trzeba zrealizować zapisy art. 3, o którym znacznie mniej się zazwyczaj mówi, nakazującego państwom członkowskim NATO rozwijanie samodzielnej i zbiorowej zdolności do odparcia ewentualnej napaści wroga. Bałtowie, przywracając powszechne przeszkolenie wojskowe (Estonia nigdy z niego nie zrezygnowała), robią to z jeszcze jednego powodu. Wielu ekspertów jest

Polska praktycznie bez aktywnej rezerwy, bo zaniechanie szkolenia do tego doprowadziło, nawet z silną i liczną armią będzie miała problem, dlatego że nie bylibyśmy w stanie szybko uzupełnić nieuchronnych w czasie wojny strat

zdania, że Rosjanie, ponosząc znaczące straty na Ukrainie, które powodują zmniejszenie ich potencjału konwencjonalnego, będą zmuszeni położyć w następnych latach większy nacisk na oddziaływanie przy użyciu swoich sił nuklearnych i środków sytuujących się poniżej progu wojny, asymetrycznych, niekonwencjonalnych. To dzieje się zresztą już obecnie, co potwierdzają choćby ostatnie deklaracje Putina o gotowości rozmieszczenia rosyjskiej taktycznej broni jądrowej na terenie Białorusi. Jeśli zaś chodzi o działania poniżej progu konfliktu kinetycznego, to duński portal DR nyheder właśnie opublikował raport będący wynikiem

śledztwa dziennikarskiego, którego autorzy piszą o narastającej aktywności Rosjan mapujących przebieg podwodnych gazociągów, kabli energetycznych i światłowodowych, położenie farm wiatrowych i innej infrastruktury krytycznej na Bałtyku. Zarówno ich okręty wojskowe, jak i cywilne „statki widma” bardzo nasiliły w ostatnich tygodniach swoją aktywność wywiadowczą, co zdaniem ekspertów może być wstępem do większej liczby akcji dywersyjnych, destabilizujących sytuację wewnętrzną w krajach poddawanych tej presji. A to oznacza, że skokowo wzrosnie znaczenie systemu odpornościowego państwa, tego, jak na pojawiające się zagrożenia będzie reagować społeczeństwo, czy będzie skłonne ulegać panice w trudnych czasach.

System obrony powszechnej, szkolenia i wiedza, jak się zachować w sytuacjach kryzysowych, jest jedną z najbardziej skutecznych odpowiedzi na tego rodzaju zagrożenia.

Jednak głównym powodem, dla którego jest przywracana powszechna służba wojskowa, są potrzeby armii na wypadek wojny. Musi mieć ona przeszkolone rezerwy, które w krótkim czasie będzie mogła powołać pod broń. Dobrym przykładem jest Finlandia. To państwo, którego siły zbrojne w czasie pokoju są niewiele większe od armii Łotwy, ale które może je rozbudować nawet do poziomu 280 tys. ludzi (na 5,5 mln obywateli), jeśli nastanie czas wojenny. Finowie mają na naszym kontynencie najwięcej prywatnej broni i zawsze zwyciężają w sondażach gotowości społeczeństwa do obrony ojczyzny w razie wojny.

Rozbudowa rezerw i przeszkolenego zaplecza armii jest też wynikiem analiz doświadczeń Ukrainy. Udało się jej szybko zmobilizować znaczącą siłę, dlatego że Kijów dysponował dużym zapleczem kadrowym. Jak napisała Hanna Shelest, autorka raportu na temat lekcji z ukraińskiej wojny dla obronności Europy, tak szybka mobilizacja była możliwa tylko dlatego, że po 2014 r., w ramach „specjalnej operacji” w Donbasie przez szeregi walczących oddziałów przewinęło się 400 tys. mężczyzn.



W efekcie Ukraina miała rezerwę i jej mobilizacja przebiegła lepiej, niż zakładano. Władze planowały np. powołanie pod broń 25 brygad obrony terytorialnej, ale już w maju 2022 r. miały ich 32.

WYZWANIA DLA POLSKI

NATO na szczycie w Madrycie podjęło decyzję o rozbudowie sił, które będą w stanie wejść szybko do działania w razie narastającego zagrożenia ze strony Rosji. Docelowo ma to być 300 tys. żołnierzy, z których jedna trzecia – jak powiedział portalowi Politico Heinrich Brauss, w przeszłości zastępca sekretarza generalnego NATO odpowiadający za planowanie – ma pochodzić z państw wschodniej flanki i być w stanie zmobilizować się w ciągu 10 dni. Pozostałe 200 tys. ma dotrzeć z Zachodu, nie później niż 30 dni od rozpoczęcia walk. Tylko że jak napisali dziennikarze po rozmowach z wieloma wojskowymi, utrzymywanie takich sił w gotowości kosztuje, i to dużo, i na razie niewiele się w Europie Zachodniej w tej kwestii dzieje. Dobrym przykładem są tutaj Niemcy, które zadeklarowały w Madrycie latem ub.r., że docelowo będą mieć trzy dywizje w stanie gotowości. Tylko że ta gotowość w sprzyjających okolicznościach oznacza koniec tego dziesięciolecia. A to zmusza państwa

najbardziej narażone na rosyjską agresję, by zaczęły myśleć o systemie obrony powszechnej i obraniu drogi, na którą ostatnio wkroczyła Łotwa.

Polska praktycznie bez aktywnej rezerwy, bo zaniechanie szkolenia do tego doprowadziło, nawet z silną i liczną armią będzie miała problem, dlatego że nie bylibyśmy w stanie szybko uzupełnić nieuchronnych w czasie wojny strat. Ale to nie jedyny problem. Znacznie większym wyzwaniem jest demografia. Andrew Michta, autor rozdziału poświęconego polskiej armii w zbiorczym opracowaniu US Army War College, opisującym aktualny potencjał wojskowy państw – sojuszników Stanów Zjednoczonych, zwracał uwagę, a pisał to jeszcze, zanim został ogłoszony obecny plan rozbudowy polskich sił zbrojnych, na demograficzne ograniczenia co do możliwości rozbudowy polskich sił zbrojnych. Według danych z 2018 r. mężczyźni w wieku 20–24 lata stanowili jedynie 3 proc. populacji Polski, a kobiety 2,8 proc. Ponad połowa Polaków to ludzie w wieku powyżej 30. roku życia, o ograniczonej przydatności do służby wojskowej (25,2 proc. mężczyzn, 25,7 proc. kobiety). Sytuacja wygląda jeszcze gorzej, jeśli brać pod uwagę liczebność grupy wiekowej 15–19 lat, z której mają się rekrutować w pierwszym rządzie kandydaci do do-

browolnej służby wojskowej. W przypadku mężczyzn jest to 2,5 proc. całej populacji, kobiet 2,4 proc. W ubiegłych latach systematycznie spadała i utrzymuje się na niewielkim poziomie liczba mężczyzn w wieku 19 lat, którzy muszą w świetle prawa stawić się do kwalifikacji wojskowej. W 2016 r. było to jedynie 204 tys. osób, w 2022 r. 230 tys., ale 15–16 proc. nie dopełnia tego obowiązku. A ilu z nich marzy o karierze zawodowego wojskowego, ilu się nadaje do tej służby?

Polska nie różni się pod tym względem od innych wysoko rozwiniętych państw świata, których armie mają narastające problemy ze znalezieniem odpowiedniej liczby chętnych. Wszystko to razem wzięte oznacza, że chcąc mieć silną armię, chcąc – jak powiedział minister Rau – bronić każdego fragmentu naszego terytorium, będziemy musieli prędzej czy później wrócić do systemu powszechnej obywatelskiej służby wojskowej. Inaczej się nie da. Nie oznacza to oczywiście powrotu do wzorów PRL-owskich, przykład brać trzeba ze Szwecji, gdzie po 2014 r. przywrócono pobór, ale co-rocennie do armii trafia tyłu rekrutów, ilu jest potrzebnych i ilu można prawidłowo przeszkolić. Ostatnio średnio w roku 6 tys. osób (na 10 mln obywateli). Im szybciej wejdziemy na tę drogę, tym lepiej dla naszego bezpieczeństwa. 

Jasno oświetlony

Książka Tomasza Lisa mogłaby być głosem formacji, która czuje się właścicielem Polski i od lat ponosi upokarzające klęski polityczne. Nie ma w niej żadnej głębszej refleksji, więc może jednak jest takim głosem



DARIUSZ MATUSZAK

Do wynurzeń Tomasza Lisa nie chciałem podchodzić z uprzedzeniem, więc na wszelki wypadek zrobiłem to z obrzydzeniem i uczciwie muszę przyznać, że się nie zawiodłem. Towarzyszyło mi ono bowiem niemal przez całą lekturę, aczkolwiek dla urozmaicenia dodałem sobie jeszcze poczucie narastającego zażenowania. Od razu pomyślałem, że facet przebija korpuskularno-falowy dualizm fizyki kwantowej, przełamuje bariery sztuki jak artysta, który jest twórcą i tworzywem. Coś jak w zamierzonych czasach malarz i performer Jerzy Bereś, który np. chodził na golasa i podpalał jakieś tam papierki, a wyrobieni krytycy i odbiorcy jego sztuki cmokali z zachwyty nad głębią i ekspresywnością przekazu. Bereś był więc artystą i sam w sobie częścią swojego dzieła. Tomasz Lis i to przebija, bo oto wydawnictwo Tomasz Lis opublikowało wywiad z Tomaszem Lisem spisany przez Beatę Grabarczyk, zatytułowany „Tomasz Lis na żywo” z Tomaszem Lisem na okładce. A jak ktoś podesłże Tomaszowi Lisowi trochę więcej pieniędzy, to nawet dostanie autograf Tomasza Lisa.



Fot. Mariusz Grzeliak/Reporter

OBSESJE

O czym jest ten cały Tomasz Lis? Ogólnie o Tomaszu Lisie i o tym, i owym, np. kto w redakcjach był z kim przeciwko komu i o rzyganiu, przy czym tego słowa nie używam przenośnie, tylko dosłownie, tak jak autor dzieła o Tomaszu Lisie. A ten to obrzygał tego, a tamten owego i jakoś leci. *Pojawiło się to, co miało się pojawić, żebym był obrzygany od stóp do głów* – zwierza się Lis.

Sporo jest też o różnych chorobach: a to noga, ręka, serce, mózg, paznokcie, nerki, no ogólnie encyklopedia różnych dolegliwości. A teraz bez ironii i szyderstwa – wynurzenia Tomasza Lisa o Tomaszu Lisie to niewymowna lichota, ale być może mają wartość dla ludzi, którzy jak on przeszli udary. Godna podziwu jest waleczność, determinacja w stawianiu na nogi i podejmowaniu kolejnych wyzwań, choć nie wiem, czy zdrowa i czy ona sama w sobie nie jest jednym ze źródeł wszelkich chorób. No i te różne... Albo nie, oddajmy głos autorowi. Po wstępnych wynurzeniach, m.in. na temat swoich grubych lydek, Tomasz Lis odpowiada na kolejne pytanie. Wyobraźmy sobie salę operacyjną, lekarzy nad stołem, na którym leży pacjent, a resztę niech nam opowie Tomasz Lis, na uzgodnione pytania pani Grabarczyk odpowiadając:

W sobotę, parę dni przed udarem, było wystąpienie noblowskie Olgi Tokarczuk, we wtorek, kiedy lekarze grzebali mi w mózgu, odbierała swojego Nobla. Po przebudzeniu zapytałam, czy odebrała. Ale wcześniej lekarze zadali mi kilka pytań.

Żeby sprawdzić, czy kumasz?

Chyba mieli pewne wątpliwości, bo na pierwsze pytanie, jak się nazywam, odpowiedziałem, że Jarosław Kaczyński.

To można powiedzieć: OK, żyję.

Czyli bez zmian [śmiech]. Bo spytałem też, czy odbierając Nobla, Tokarczuk powiedziała: »Jebać PiS«? Ku mojemu smutkowi, nie powiedziała.

Znać więc od razu, że mamy do czynienia z człowiekiem bardzo ciężko chorym i na tym można byłoby poprzestać, bo dalej będzie już tylko gorzej. Dlaczego więc przez wynurzenia brnąłem? Cóż, redakcja zamówiła czy

kazała, płaci, więc się utaplałem. I tu odpowiedź na ewentualne wątpliwości naszych drogich czytelników i podpowiedź. Czy warto przeczytać Tomasza Lisa? Ha, to zależy od indywidualnej sytuacji ekonomicznej. Jak wam ktoś zapłaci za to pięć, sześć stówek, to może się opłacić, bo to lektura na jakieś pięć godzin. Chyba że ktoś się lubuje w naturalistycznych opisach przypadłości, to może czytać wolniej, delektując się.

A może warto poczytać, traktując wynurzenia Tomasza Lisa jako głos pewnej formacji pokoleniowej i zawodowej? Chodzi o owych liberalnych/lewicowych polityków, dziennikarzy, ekspertów, których kariera wystrzeliła na początku lat 90. Ludzie całkowicie już w swoim myśleniu anachroniczni i w swoim zastygnięciu śmieszni. Nie da się mówić o formacji intelektualnej i duchowej, bo jej obraz świata jest całkowicie wypaczony poczuciem wyższości, samouwiebieniem, przekonaniem o własnej wyjątkowości i posłannictwie, a teraz, gdy rządzą ludzie nieprawdowi, to duszą żółć i zalewają frustrację, więc i ona powinna być leczona.

Tomasz Lis o Tomaszu Lisie: *Ale w czasach nihilizmu i autorytaryzmu istotny jest też silny moralny komponent, wierność dziennikarstwu, poczucie zobowiązania wobec wolności słowa, prawdy, odbiorców, demokracji, praworządności. To jest psi obowiązek stanąć po jednej ze stron... Wydaje mi się, że kiedy nasza demokracja się rodziła, była nas garstka, np. biegających po Sejmie czy polerujących tyłkami korytarze w siedzibach śmiesznych albo mniej śmiesznych partii politycznych, ale było w nas poczucie, że tu się dzieje coś ważnego, że wolne media mają do odegrania ważną rolę, współtworzymy nowe państwo. Było poczucie misji – brzmi patetycznie – i misją jest też obrona tego państwa, kiedy władza rozpieprza to wszystko, co najistotniejsze. Uderza w dorobek trzech lub czterech pokoleń. O swojej misji i uczestnictwie w budowaniu demokracji opowiada człowiek, który wybrał karierę dziennikarza i został nim w czasach junty Jaruzelskiego. Jak to jest paradne.*

Tomasz Lis o nieprawidłowych Polakach: *Jedna trzecia naszego wesołego narodu chce popierać durniów, złodziei, nieudaczników i kłamców.*

Tomasz Lis o nieprawidłowym znajomym, a tak naprawdę o sobie: *Niesamowite więc było, gdy mi zaczął opowiadać, jak wielkim upokorzeniem dla niego był każdy rok rządów Platformy, jak bardzo tamto państwo było nie jego i z jak wielką ulgą przyjął zdobycie władzy przez Prawo i Sprawiedliwość. Mówił o tym tak, jakby to było odzyskanie niepodległości. Byliśmy dokładnie z tego samego świata. Przez dziesiątki lat się świetnie rozumieliśmy, była między nami więź i została fundamentalnie zmasakrowana. [...] Ta rozmowa uświadomiła mi, jak bardzo realne uczucia, resentymenty, frustracje prezesa [Kaczyński – przyp. red.] zagospodarował. I nie mówię przecież o beneficjencie 500+, o robotniku ani o rolniku ze ściany wschodniej czy Podkarpacia. Mówił mi to wykładowca SGH, który był zawsze wybitnie zdolny i na tej uczelni sobie też świetnie radzi, może już jest profesorem. A jednocześnie ma w sobie ten resentyment antywarzawski, antyelitarny i antyplatformerski bardzo mocny. Co go tak upokarzał. Całkowite zwapnienie intelektu. Mimo dziesiątków badań obalających pielęgnowane przez takich jak Lis mity o elektoracie PiS ten nadal śni o jakiejś wyższości intelektualnej wyborców opozycji. Nie dopuszcza do siebie, że można widzieć świat inaczej niż on, mieć inne poglądy, dokonywać innych wyborów.*

Tomasz Lis o rządach Zjednoczonej Prawicy: *A ostatnio słyszymy, że w zasadzie wszystko jest OK, póki władza jest skuteczna. Bo to nie jest tyżwiarstwo figurowe. Noty za styl się nie przyznaje. Super. Z tego punktu widzenia należą się peany Hitlerowi, Stalinowi, Franco i Salazarowi, bo wszyscy oni zniszczyli wszystkie instytucje praworządnego państwa. Albo zabili lub pognębili swoich oponentów, więc wykazali się przynajmniej do pewnego momentu niewiarygodną zupełnie skutecznością.*

W zamierzonych czasach pracowałem jako sanitariusz w pogotowiu. Czasami ku uciesze załóg puszczałyśmy przez radio to, co wiezieni w ubrankach z długimi rękawami pacjenci paplają.

FASCYNACJE

Tomasz Lis opowiada o różnych osobach i łatwo się domyślić, jacy wstrętnei, kierujący się niskimi pobudkami są ci, którzy mają inne poglądy niż on, a jacy

wspaniali, odważni do wielkich poświęceń skłonni ci, którzy jak on, mają obsesję na tle rządów Zjednoczonej Prawicy. Szczególne pokrewieństwo umyslowo, jakieś tam odczuwa on z przybyłą z innego, wspanialszego świata – z Ameryki – Anne Applebaum: *Jest jedną z najwybitniejszych komentatorek politycznych, szczególnie w kontekście rosyjsko-ukraińskim, komentuje wspaniale, jest wybitnie błyskotliwa, pisze wspaniałe eseje, napisała kilka genialnych książek i do tego – mimo różnych ekscesów właściwych naszemu pierdziszewowi – ma ogromną sympatię dla Polski, czuje się Polką i zachowuje się jak prawdziwa polska gospodyni.*

„O szczęście niepojęte” – śpiewał Paweł Kukiz – wielka Anna w naszym pierdziszewie! Oddajmy więc na chwilę jej głos i zacytujmy krótki fragment jej książki „Matka Polka”: *Jeśli ludzie są w stanie oddać głos na kogoś takiego jak Trump, który jest ewidentnie debilem, który nic nie rozumie, mówi sloganami na zmianę z hasłami rasistowskimi, lub Duda, który bredzi o Unii Europejskiej, wtedy trzeba zapytać – po pierwsze – czy demokracja jest możliwa i – po drugie – czy jest potrzebna? Nie chodzi mi o politykę, chodzi mi o ich charakter i osobiste przymioty.*

ZABETONOWANY UMYŚŁ

Na swój sposób więc wynurzenia Lisa są wartościowe, bo kreślą obraz całej formacji. Dość już jednak o nim – potraktujmy go tylko jako platoński wzorec przedstawiciela elit. Tacy jak on czy Applebaum udowodniają coś, o czym niby wiadomo, a co jest mitem i urojeniem przekazywanym przez media i różnych kreatorów opinii. Jedną z największych, powiedzmy miejskich niczym niepopartych legend jest owo *urbi et orbi*, czyli głoszone mniemanie, jakoby ludzie reprezentujący liberalne poglądy, nowocześni postępowi itd., byli tolerancyjni, otwarci na argumenty, pozbawieni uprzedzeń, a ich dewizą było hasło: „Umiar, wdzięk, elegancja”.

Badania po badaniu, czy to w USA, w Wielkiej Brytanii, Polsce – jak Bilewicz czy Gduli – wykazują, że nie ma bardziej zakutych łbów niż liberalne

elity. Nie ma ludzi bardziej uprzedzonych, nietolerancyjnych, agresywnych w narzucaniu swoich opinii, zamkniętych na dyskusję i argumenty. W Polsce czy USA wśród zabetonowanych umysłów, a także „zniewolonych”, jak pisał Czesław Miłosz, królują przedstawiciele świata akademickiego i mediów. To oni pytani o to, czy chcieliby mieć za sąsiada republikanina, czy PiS-owca odpowiadają: „Nigdy!”. To oni nie tolerują żadnego odstępstwa od wiecznie zmieniającej się doktryny liberalnej. (Z określeniem „liberalizm” jest kłopot. Straciło ono całkowicie swoje znaczenie mówiące o poszanowaniu wolności i indywidualności. Tutaj używam go do opisu postępowych, nowoczesnych jak Lis jasno „oświeconych”).

Wydawnictwo Tomasz Lis opublikowało wywiad z Tomaszem Lisem zatytułowany „Tomasz Lis na żywo” z Tomaszem Lisem na okładce. A jak ktoś podeśle Tomaszowi Lisowi trochę więcej pieniędzy, to nawet dostanie autograf Tomasza Lisa

To pycha i arogancja powodują utratę zdolności do oceny rzeczywistości. Napędzona uprzedzeniami histeria. „Oświeceni” nie wyobrażają sobie, że można mieć inne poglądy niż oni. Że można nie zachwycać się czymś, co nazywa się demokracją liberalną, nie kochać Unii Europejskiej, nie wierzyć mediom i elitom jakoby intelektualnym, nie dąć w trąbę postępu i nie chcieć jakiegos unijnego czy globalnego porządku. Gniew na granicy hysterii sprawia, że trzeba znaleźć jakieś wytłumaczenie na tę niezgodę, bo przecież każdy normalny człowiek głosowałby na ich wybrańców.

Ten aspekt wiąże się z tak typowym u jasno „oświeconych” elit brakiem tolerancji. Skoro ktoś się nie zgadza z nami, postępująco postępowymi, to znaczy, że jest zły albo głupi, albo jedno i drugie. Wobec takich zaś osobników są dopuszczalne radykalne środki, bo przecież z takimi się nie negocjuje. Ich się niszczy. I dla wyższego dobra, które my, „oświeceni”, reprezentujemy, można poświęcić dobro niższe – np. zwykłą przyzwoitość czy zdrowy rozsądek.

Kolejna sprawa to sposób rozumienia demokracji, czyli władzy wywodzącej się z woli ludu, to, jak ją pojmują mniemane elity. Demokracja jest tylko wtedy, gdy one rządzą. Gdy tracą władzę, to nastają faszyzm, ciemnota, rządy motłochu i religijnych guślarzy. Kiedy my, liberalni, z nadania ludu rządzymy, to można jeszcze ową demokrację znieść, zwłaszcza że mamy ten głupi plebs pod kontrolą. Kiedy zaczyna się jej wymykać, to być może należy pomyśleć o zmianie reguł gry. Nie może być tak, żeby jakieś tam przypadkowe społeczeństwo wybierało kogoś przypadkowo spoza elit. Skoro lud wybiera debili, to być może trzeba go pozbawić prawa głosu. To się oczywiście już dzieje, choćby przez powszechne zaprowadzanie w Unii cenzury, ograniczanie wolności osobistych (dobrze się ma tylko ta od pasa w dół), pętanie tysiącami małych więzów.

Są jasno „oświeceni” władcy świata i jest motłoch, który należy mieć pod kontrolą czy to w Polsce, czy w USA, gdziekolwiek. Od tej zasady nie może być wyjątków, bo inaczej system się zawali. W Polsce na takie przekonanie nakłada się jeszcze kompleks niższości owych eliciarzy, którzy z zachwytem przyjmują największe idiotyzmy Zachodu, a z pogardą traktują własną nację – wesoły naród z pierdziszewa, który wybiera kłamców, złodziei, debili, a powinien Europejczyków czystej krwi czy też ich krajowe podróbki. W jakimś sensie sam Tomasz Lis – arystokrata dziennikarstwa, jak go nazywał Jaruzelski – z tym wszystkim, kim był, a jest teraz, z tym, co miał, a teraz ma, stał się symbolem owych elit.



PIENIĄDZE NIE KUPUJĄ RZECZY

Spraw radość sobie i bliskim dzięki pożyczce przez aplikację IKO:

- nawet do 24 rat
- dla tych, którzy nie skorzystali jeszcze z naszej pożyczki ani kredytu gotówkowego

RRSO 9,82%

RRSO – Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania dla przykładu reprezentatywnego. Udzielenie pożyczki zależy od posiadania zdolności kredytowej. Szczegóły, w tym Taryfa prowizji i opłat bankowych, dostępne są w placówkach banku i na pkobp.pl

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora



Bank Polski
dzień dobry

Najpierw NATO, potem pokój

Zelenski chce czytelnego zaproszenia Ukrainy do NATO, sformułowanego w lipcu w Wilnie, wraz ze ścieżką dojścia do członkostwa i kalendarzem. Większość adresatów tej klarownej idei na razie pozostaje głucha na te oczekiwania

Podczas niedawnej wizyty w Polsce prezydenta Zelenskiego mogliśmy być świadkami interesującego trójęgłosu, dobrze obrazującego impas, jeśli chodzi o koncept bezpieczeństwa naszego regionu Europy. Ów trójęgłos sprawiał takie wrażenie, jakby to ślepy i głuchy zabrali się za komentowanie klarownej już od pewnego czasu doktryny wypracowanej w Kijowie. Zelenski zaprezentował ją w Warszawie w formie niebudzącej wątpliwości: „Chciałbym powiedzieć wszystkim naszym partnerom, którzy nieustannie szukają kompromisów na drodze Ukrainy do NATO, że nasz kraj będzie w tej sprawie bezkompromisowy”. W ten sposób prezydent Ukrainy stawia przywódców państw paktu wobec wąskiego marginesu decyzyjnego na zbliżającym się wileńskim szczycie NATO. Mogą ową bezkompromisowość zaakceptować, ogłaszając wszczęcie klarownej procedury rozszerzenia sojuszu na wschód. Albo też mogą ją odrzucić, stawiając tak jak w 2008 r. w Bukareszcie na pełne patosu, choć najzupełniej puste obietnice bezpieczeństwa dla Europy Wschodniej.

PLAN ZEŁENSKIEGO

Warto pamiętać, że ta zerojedynkowość pozycji Zelenskiego jest fenomenem względnie nowym, który ukształtował się dopiero późną jesienią 2022 r. Do września ub.r., a więc do momentu prawnej aneksji dużych połaci ukraińskiego terytorium przez rosyjską Dumę, oficjalna linia Kijowa zakładała gotowość



JAN ROKITA

rezygnacji z aspiracji do członkostwa w NATO, tak by ta kwestia nie stanowiła pretekstu dla mnożenia przez rządy zachodnie przeszkód dla militarnej pomocy Ukrainie. Zelenski występował w tamtym czasie publicznie z jakimiś skomplikowanymi i mało czytelnymi ideami, według których przyszłe bezpieczeństwo Ukrainy miałoby zostać umocnione gwarancjami ze strony różnych krajów, nawet tak abstrakcyjnych w tym kontekście jak np. Izrael albo Turcja. Nad owymi alternatywnymi systemami bezpieczeństwa pracowała wówczas tzw. grupa Jermaka i McFauly, która jednak doszła do wniosku, że wszelkie koncepcje gwarancji albo okazują się nieefektywne, albo też sprowadzają się na końcu do tego, co zapisane w sławnym piątym artykule traktatu waszyngtońskiego. Czyli tzw. reguły muszkietierów, przez prawników zwanej starym terminem *casus foederis*.

Jeszcze wczesną jesienią można było odnosić wrażenie, że nawet wrześnieowy oficjalny wniosek rządu Ukrainy o przyjęcie do paktu pełnił bardziej funkcję manifestacji złości wobec aneksji dokonanej przez Dumę niż precyzyjnego planu prawnopolitycznego. Ale potem w Ki-

jowie wyraźnie przeważał punkt widzenia, wedle którego wszelkie polityczne deklaracje i zobowiązania Zachodu to potencjalnie słowa bez pokrycia, o ile nie pójdzie za nim twardy fakt formalnego zakontrawienia kraju w NATO, co wiąże się z konkretnymi planami obronnymi z udziałem armii sojuszników.

Taki punkt widzenia jest oznaką zdrowego geopolitycznego rozsądku ukraińskiego przywództwa. Zdaje się, że w Kijowie zdano sobie sprawę, iż skończenie wojny bez wszczęcia procedury rozszerzenia NATO na wschód nie będzie możliwe. Na jakikolwiek wariant rozejmu czy pokoju Ukraina by bowiem nie poszła, to i tak zawsze będzie on podszyty zdroworozsądkowym strachem przed kolejną próbą rosyjskiej inwazji, chyba że NATO trwale zmieni układ geopolityczny całej Europy Wschodniej. Taką właśnie ukraińską doktrynę bezpieczeństwa przedstawił Zelenski ostatnio w Warszawie.

REAKCJA POLSKI

No i tu właśnie pojawił się ów dziwny trójęgłos. W gruncie rzeczy wszyscy adresaci klarownej idei prezydenta Ukrainy próbowali, choć na różne sposoby, zachować się tak, jakby owej idei jednak wystarczająco jasno nie pojmowali. Stąd właśnie wrażenie, jakby to ślepiec z głuchym – albo raczej tacy, którzy z premedytacją udają ślepca i głuchego – odpowiadali na koncept Zelenskiego. W sposób najbardziej życzliwy i – chciałoby się rzec – najmniej celowo



20 kwietnia 2023 r. Sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg podczas swojej pierwszej wizyty na Ukrainie od czasu wybuchu wojny usłyszał od prezydenta Zelenskiego: „Nie ma żadnej obiektywnej przeszkody, by podjąć polityczną decyzję o zaproszeniu Ukrainy do Sojuszu”

zmącony, reagował prezydent Duda. Ujął to podczas spotkania z Zelenskim takimi oto słowami: „Dzisiaj staramy się uzyskać dla Ukrainy na przyszły szczyt NATO w Wilnie, który będzie latem tego roku, dodatkowe gwarancje bezpieczeństwa, wzmacniające potencjał militarny Ukrainy [...] jako wstęp do przyszłego członkostwa Ukrainy w pełni w sojuszu północnoatlantyckim, w czym Polska cały czas Ukrainę zdecydowanie wspiera”.

Widać, że polski prezydent intencjonalnie chciałby podzielić ideę swojego

ukraińskiego partnera, ale boi się nadmiernie wychylić poza obecny punkt ciężkości w pakcie, wyznaczany głównie przez Amerykanów. Duda gra tutaj politycznego realiste, który wyraźnie oddziela dalekosiężne cele – wspólne z Zelenskim – od tego, co uznaje za możliwe w krótkoterminowej perspektywie lipcowego szczytu w Wilnie. Ale w ten sposób rozmija się z klarowną intencją przywódcy Ukrainy, robiąc wrażenie, jakby w istocie rzeczy chodziło tutaj o coś trochę innego, niż naprawdę chodzi. Zelenski chce czytelnego zaprosze-

nia do NATO, sformułowanego w lipcu w Wilnie, wraz ze ścieżką dojścia do członkostwa i kalendarzem. Duda mówi mu w odpowiedzi, iż zabiega o jakieś niejasne dodatkowe gwarancje i wzmocnienie potencjału militarnego Ukrainy.

Lobbing w sprawie opornie idących zbrojeń armii ukraińskiej – to jedna rzecz i w perspektywie zamierzonej ukraińskiej kontrofensywy absolutnie kluczowa. Ale dla polityki wschodnioeuropejskiej ważniejsza nawet od losów owej przyszłej kontrofensywy

jest ostateczna likwidacja szarej strefy bezpieczeństwa na wschód od polskich granic. Napomykając coś o niejasnych gwarancjach, czyli kolejnych tak czy inaczej brzmiących politycznych frazesach formułowanych przez liderów NATO, Duda – niestety – ignoruje centralny polityczny problem.

REAKCJA USA I NATO

Ślepi i głusi, udający, że nic nie rozumieją ze słów Zelenskigo, odezwali się chwilę potem. Białe Dom ustami swojego najważniejszego rzecznika Johna Kirby'ego z premedytacją nie odniósł się wprost do Zelenskigo, ale pośrednio, nawiązując do słów Dudy. Komentując Dudę, łatwiej udawać, że się rozumie i podziela intencje ukraińskie, niż gdyby wprost odnosić się do Zelenskigo, mówiąc mu po prostu „nie!”. Pytany więc o warszawską konferencję dwóch prezydentów i kwestię dodatkowych gwarancji, Kirby odpowiada: „Tak, będziemy współpracować z Ukrainą w sprawie długoterminowych potrzeb obronnych”. Czyli bezceremonialnie udaje, że w ogóle nie wie, czego dotyczy pytanie.

Zaraz potem kropkę nad i stawia Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO. Do niego można zresztą mieć najmniej pretensji, bo jako urzędnik wynajęty do pracy przez 31 państw, w tym głównie przez USA, nie ma prawa mówić niczego we własnym imieniu. Jak zawsze zatem powtarza slogan, będący sojuszniczą nowomową od czasu nieszczęsnego szczytu NATO w Bukareszcie, gdzie Merkel z Sarkozym zablokowali Lecha Kaczyńskiego, któremu nawet udało się przekonać Busha do tzw. sojuszniczej mapy drogowej dla Kijowa. „Stanowisko NATO jest takie – mówi Stoltenberg – że Ukraina zostanie członkiem paktu”. Kiedy? Na jakich warunkach? Może za 100 lat, po ostatecznym rozpadzie rosyjskiej despotii?

Im bliżej do lipcowego szczytu NATO, tym częściej mnożą się publicznie formułowane opinie polityków i ekspertów z różnych zachodnich think tanków, według których „pakt nie może już dłużej kluczyć, nie może powtarzać

Bukaresztu 2008, gdy powiedział, że jest miejsce w NATO dla Ukrainy, ale nie zrobił nic w tym kierunku”. To akurat typowa tego rodzaju opinia, wyrażona przez Francuza, do ub.r. zastępcy Stoltenberga, a teraz eksperta z Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych – Camille'a Granda (w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”). Trudno jednak nie zauważyć, że tego rodzaju deklaracje w gruncie rzeczy próbują ukryć i zakłajstrować realny problem, którym jest ciągły brak chęci ekipy Bidena do otwarcia NATO dla Ukrainy.

Owszem, jeszcze gorsi są inni sojusznicy, tacy choćby jak Francja (której prezydent domaga się gwarancji bezpieczeństwa, ale dla Moskwy!), nie wspominając już o Węgrzech, przez długi czas blokujących swoim wetem nawet zebra-

To nie koniec wojny umożliwi rozpoczęcie rozmowy na temat rozszerzenia NATO o Ukrainę, ale owo rozszerzenie da dopiero szanse na trwały pokój

nie komitetu konsultacyjnego Ukrainy i NATO. Ale nie zmienia to faktu, że pierwszym warunkiem otwarcia paktu dla Ukrainy jest zmiana postawy rządu USA. Dla Polski nie ma dziś ważniejszego narodowego celu niż rozciągnięcie strefy trwałego bezpieczeństwa poza naszą wschodnią granicę. Jeśli nie nastąpi to w efekcie trwającej wojny, to ta wojna przynajmniej dla Polski będzie politycznie przegrana. Polscy przywódcy są więc dziś skazani na to, by skończyć z kunktorstwem pod dyktando ekipy Bidena, a zacząć cisnąć i gnębić Amerykanów, by ci zmienili swoją dotychczasową pozycję. W 2008 r. już raz udało się ich nagiąć w dobrą stronę Lechowi Kaczyńskiemu, za prezydentury Busha. Czas najwyższy, by taki sam wysiłek podjął teraz prezydent Duda, w znacznie bardziej korzystnych dzisiejszych politycznych okolicznościach.

POMYSŁ LITWY

Na dobrą sprawę klarownie zachowuje się tu jedynie Litwa, czyli gospodarz przyszłego szczytu. Litewski sejm podjął uchwałę wzywającą NATO, by podczas wileńskiego szczytu zaprosiło Ukrainę do pełnego członkostwa. Litewska dyplomacja wymyśliła tu bardzo zręczny koncept, likwidujący trudność, podnoszoną przez wszystkich faktycznych przeciwników rozszerzenia paktu (a udających zwykle zwolenników, tylko kiedyś, jak nadejdzie właściwy czas): trwającą wojnę, której stroną jest państwo ukraińskie. Według tego konceptu traktat o przystąpieniu Ukrainy powinien zostać zawarty niezwłocznie, a jego ratyfikacja przez 31 (a wkrótce pewnie przez 32, ze Szwecją) sojuszników nastąpiłaby w chwili zakończenia działań wojennych.

Wielką zaletą litewskiego projektu jest nie tylko to, że umożliwiałby on szybkie dokonanie przełomu geopolitycznego w Europie Wschodniej z odłożeniem jego formalnoprawnych skutków na dzień zakończenia wojny. Okolicznością równie doniosłą byłoby to, iż podpisanie traktatu o przyjęciu Ukrainy do NATO znacząco ułatwiłoby realne zakończenie wojny, zagrażającej na dłuższą metę samej egzystencji niepodległego państwa ukraińskiego. Żeby mógł nastać po-

kój na wschodzie Europy, Ukraińcom jest potrzebna pewność, iż mogą na ów pokój przystać bez obawy, że chodzi tylko o tak dobrze znaną z dziejów Rosji (także sowieckiej) „pieriedyszkę”.

Dlaczego Zelenski tak bardzo boi się teraz pokoju? Bo słusznie zakłada, że po służby on odpoczynkowi i odbudowie siły militarnej Moskwy, która w lepszym dla siebie momencie zaatakuje ponownie. Aż dziw czasem bierze, jak rozliczni i – wydawałoby się – przenikliwi politycy i eksperci od stosunków międzynarodowych nie są skłonni uznać w tej mierze logicznej oczywistości. To nie koniec wojny umożliwi rozpoczęcie rozmowy na temat rozszerzenia NATO o Ukrainę, ale owo rozszerzenie da dopiero szanse na trwały pokój. Odwrotna kolejność rzeczy musi upodobić Europę Wschodnią do Bliskiego Wschodu, o którym wszyscy wiedzą, iż wojna będzie tam trwać aż do końca świata.

Zwroty, które ciesza

**Dzięki rządowej obniżce PIT
miliony Polaków otrzymało zwrot**

12%

Niższy
PIT
z **17%** na **12%**

10x

Wyższa
kwota wolna
30 000 zł

Wyższy
próg podatkowy
120 000 zł

Dowiedz się więcej na **podatki.gov.pl/niskiepodatki/**

Kim są prorosyjscy Ukraińcy w Donbasie?

Rzecz o „żdunach”

Pocisk z rosyjskiego moździerza uderza w dom w przyfrontowej wiosce w Donbasie. Gospodyni jest akurat u sąsiadów, teraz wszyscy zlatują się na podwórze z porozrzucanymi gruzami. Ale zaraz, zaraz – co u diabła robią takie tłumy w ostrzeliwanej wiosce niedaleko rosyjskiego frontu?



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Czarny był moim przewodnikiem po piekle Donbasu, a zwłaszcza po tamtejszych ludziach. Gdy nie wierzyłem mu w niektóre opowieści, rozszerzał swoje oczy, przyglądał mi się, czy szczerze wątpię w jego relacje, a potem z ironicznym uśmiechem podawał adres, zapowiadał spotkanie lub zapraszał na wyprawę z nutą ironii: „Śmiało, Jakub. Sam się przekonaj”. Jest Ormianinem z pochodzenia, ma ciemną skórę, czarne włosy, brodę, brwi, gdy przesłuchuje ludzi nocą, wygląda jak diabeł, który wyciągnie z człowieka każdą informację samym tylko spojrzeniem i spokojnie wycelowanym pytaniem. To on mi opowiadał ciągle, wskazując na ludzi w Donbasie, że „oni wszyscy są separami” [separ, separatysta, zwolennik dołączenia do Rosji – przyp. red.]. Byłem pewien, że przesadza, gdy wskazywałem na staruszkę karmiącą psy, a on patrzył na mnie, niedowiarła, i kiwając powoli głową mówił: „Separ”. Miejscowi, którzy naprawdę są związani z Ukrainą, używają innego określenia niż „separ”. Mówią: „żduny”, od rosyjskiego słowa „żdat”, czekać, czyli są to „czeka-



cze” na Rosjan, na „ruski mir”. Czarny mi ich pokazywał – to mniszki z klasztoru Adamiwka, które przyjęły przebranych za mnichów żołnierzy rosyjskich służb, to proboszcz z Łymanu, który po wejściu agresora ogłosił, że Rosja będzie tu już na zawsze, to żyjący w piwnicach Siewierska, Bachmutu i Czaśiw Jaru nieufni wobec obcokrajowców miejscowi.

NIE PROROSYJSKOŚĆ, ALE...

Problem polega na tym, że nie są to – jak głosi rosyjska propaganda – Rosjanie czy prorosyjscy Ukraińcy, którzy czekają na powrót swojej sowieckiej ojczyzny. Mentalność „żdunów” i „separów” jest inna. Nałożenie na nich naszego wyobrażenia

Europejczyka o po prostu prorosyjskich poglądach mija się z rzeczywistością. „Żdunami” są ludzie, którzy – przegrani życiowo, często biedni, mający problem z alkoholem, niekiedy porzuceni przez rodziny – są zubożnięci na politykę, ojczyznę, wspólnotę. Zamknięci w celebrowaniu swojej beznadziei obwiniają za swoje niepowodzenia państwo – nieważne, czy Ukrainę, czy Łotwę, czy Kazachstan, po prostu nie przyznają się do własnych zaniedbań, braku kompetencji, wskazują władze i polityków jako winnych ich biedy, grzyba w łazience, pluskiew na ścianie i schorowanych nóg.

W Donbasie przybierało to instytucjonalne formy: partyjne instytucje organizowały pracę w kopalni, mieszkanie w bloku, stołówkę w zakładzie, a latem wyjazd na

Krym lub do Soczi. Gdy ZSRS upadł, w ukraińskich obwodach donieckim i ługańskim do władzy doszli ludzie partii (Donieck) albo Komsomolu (Ługańsk) i ten system podtrzymywali, za wszystko, co złe, obwiniając Kijów. Tak wyrosła cała klasa roszczeniowych nedorajdów o wybujałych fantazjach – wierzą oni dzisiaj w najróżniejsze teorie spiskowe, spośród których najbardziej urzekło mnie podejrzenie, że amerykańscy oligarchowie chcą tą wojną zająć ich domy. Grzyb w łazience, pluskwy na ścianie w podziurawionym bloku z wielkiej płyty – marzenie Billa Gatesa i Elona Muska...

Do tego doszła wieloletnia propaganda rosyjskich mediów, które na wschodzie Ukrainy miały przez lata mocniejsze zasięgi niż nadajniki ukraińskiej telewizji. Cała ta mieszanka wpływów, dezinformacji, zdemoralizowanej władzy (stąd wywodził się były prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz).

Na koniec ta nienawiść do świata została wzmocniona przez jeszcze jeden proces. Gdy w 2014 r. „zielone ludziki” Putina napadły na Donbas, przez kolejne lata normalni ludzie coraz częściej uznawali, że tutaj nie ma już czego szukać, że wojna, korupcja i poczucie tymczasowości zabijają tu resztkę inicjatywy, swobody i zaradności. – Normalni już dawno wyjechali – wbijał mi do głowy Czarny, a ja nie wierzyłem od razu. Osiem lat tej negatywnej selekcji naturalnej i tak już przeoranego sowieckim i rosyjskim losem społeczeństwa sprawiło, że ci, którzy zostali, faktycznie zaczęli czekać, żdat’. Na co? Właściwie na cokolwiek nowego, innego, bo czyż może być coś gorszego niż samotność w brudnym mieszkaniu w skorumpowanym postkomunistycznymi układami miasteczku o dziurawych drogach i obdrapanych domach?

WYMÓWKI I BAJECZKI

Wydobyć tę prawdziwą nadzieję, że okupacja coś zmieni w ich życiu, chciałem już w maju ub.r. Nieufna społeczność, przez lata straszona spiskami ludzi z Zachodu, przybrała wiele barw ochronnych, serwując wyuczone kłamstewka i gładkie wymówki. – Dlaczego nie chcecie wyjechać? – pytałem ludzi w Łymanie, Soledarze czy

Rajhorodku, gdy do miejscowości zbliżali się Rosjanie. I starzy, i młodszy, i kobiety, i mężczyźni, ze wsi czy z miast odpowiadali tak samo, jakby z jednej broszurki zaczerpnęli instrukcję: „A dokąd mamy jechać?”, „Co los przyniesie, to przyniesie?”, „Komu my tam jesteśmy potrzebni?”. Potrzebowałem tygodni, by otworzyli się nieco bardziej ze swoimi teoriami spiskowymi: „Na zachodzie Ukrainy są sekretne prawa, które zakazują dawać nam pracy”, „Moja znajoma tam wyjechała i umarła, dziwne, nie?” czy wspomniane wcześniej „Amerykanie chcą nas wysiedlić”. Na wspomnienie, że to Rosjanie wysiedlają Ukraińców setkami tysięcy, że wywożą ich w głąb Rosji, „żduny” milkły i nie odzywały się więcej. Niekiedy nawet rozpierz-

„Żdunami” są ludzie, którzy – przegrani życiowo, często biedni, mający problem z alkoholem, niekiedy porzuceni przez rodziny – są zubożniętymi politykę, ojczyznę, wspólnotę

chali się na widok aparatu fotograficznego czy naszywki „prasa” na ubraniu.

Dopiero po kilku miesiącach jeżdżenia do Donbasu umiałem ich podejść lepiej, usiąść, powzdychać, ponarzekać na świat, poprzeklinać „tych złych polityków” i stać się im bliższy. Ale i wtedy zachowywali ostrożność. „Za Związku Sowieckiego to było wszystkim dobrze, było wszystko za darmo i spokój był”. „Zachód to zły jest, bo Boga się wyrzekł”. – A w Związku Sowieckim był Bóg? – wymknęło mi się, na co oczy starszego mężczyzny w Łymanie zwięźliły się nieufnie, po czym zamilkł i już się nie odezwał.

Więcej powiedziała krzepka kobieta ok. 55 lat, która w Siwiersku trzy miesiące temu w gniewie na cały świat zarzekała się, że wraz ze swoją lokalną wspólnotą pozostanie w mieście. Siwiersk – nie było kwadransa, by nie usłyszeć eksplozji, bo miasto znajdowało się wówczas pięć ki-

lometrów od rosyjskich pozycji, a w niektórych budynkach stacjonowały siły ukraińskie gotowe bronić się do upadłego. Tymczasem z ust kobiety słyszeliśmy: – Ja nie wiem, czyja to rakietka uderzyła w nasz blok – mówiła, pokazując wielką wyrwę pod dachem. – Jak to nie wiecie? Przecież Ukraińcy nie strzelaliby do miasta, gdzie stoją ich własne wojska! – kobieta tylko wzruszyła ramionami. – A kto jest winny tej wojny? – pytałem. – Politycy – odpowiadała. – Jacy? – Ogólnie tak. Światowi. – Rosjanie nie? Milczała. Nasza rozmowa zamieniła się w zwarcie niechęci – mojej do Rosji oraz jej niechęci do Zachodu. Wreszcie w podenerwowaniu mieszkanka Siwierska odkryła się nieco: – Nie przekazujcie broni Ukrainie, wy,

tam w Polsce, dawajcie pieniądze, jedzenie, generatory, ale broni nie! To szybciej będzie pokój. – Ale to będzie rosyjski pokój! – odpowiadałem nie mniej zdenerwowany, bo wielu Polaków narażało życie, by tu dojechać i zawieźć pomoc humanitarną. – Niech będzie jakikolwiek! – zawołała. Rozeszliśmy się przed nadchodzącym ostrzałem miasta.

Najbardziej otwarty okazał się „żdun” z Czaśiw Jaru – miejscowości, która zostanie zaatakowana, gdy tylko padnie Bachmut. Mężczyźni jednak w szczerości dopomógł alkohol, bo był pod lekkim wpływem miejscowego samogonu. To on nas

zaczepił na ulicy, pogardliwie pytając, czy jesteśmy z Polski, czy jesteśmy za demokracją. Klepał mnie po ramieniu z politowaniem, uśmiechał się szyderczo, wreszcie z poczuciem wyższości w głosie oznajmił: – Pamiętaj, chłopcze, Rosji nikt nigdy nie zwyciężył. Powtórzył to kilkakrotnie, odszedłszy wesołym krokiem między zniszczone ostrzałem miejskie budynki.

Nieszczęśliwi ludzie z radością patrzą, jak tragedie rozlewają się dalej, głębiej, pograżając też prawdziwych i wymyślonych winowajców ich niedoli. Rosja idealnie wypełnia te cele – eksportuje zbrodnie, grabieże i ludzkie dramaty, zrównując wszystkich przed losem w tej samej beznadziei. Szkoda tylko tych wolontariuszy z Polski, którzy wożą im żywność, odcież i generatory prądu. Narażać życie dla cichych czekaczy putinowskiego wyzwolenia? Trudno o bardziej zbyteczne poświęcenie.

Skandal w Axel Springer

Jak to jest, że kraje, które mają kłopoty z niezależnością dziennikarstwa, chcą ciągle wszystkich pouczać o wolności i pluralizmie mediów?



GÓRAN ANDRIJANIĆ

To był poważny skandal, który wstrząsnął sceną medialną w Niemczech.

OHYDNI OSSİ

Tygodnik „Die Zeit” opublikował serię prywatnych wiadomości, które Mathias Doepfner, szef potężnej korporacji medialnej Axel Springer, wysłał do swoich współpracowników. Niektóre z nich głęboko kompromitują i jego, i jego korporację, a także dużą część sceny medialnej nad Odrą.

Człowiek, który (przynajmniej od kilku lat) jest alfą i omegą jednego z największych koncernów medialnych na świecie (posiadający również własne media w Polsce), dopuszczał się w tych wiadomościach obrażania wielu osób: swoich rodaków mieszkających niegdyś w NRD, jak np. Angeli Merkel, imigrantów, w tym muzułmanów, itd.

Większość wiadomości zawiera jego obserwacje na temat rzeczywistości politycznej w Niemczech i na świecie. Pochodzą z lat 2016–2021. Po zapoznaniu się z ich treścią czytelnik może sobie wyobrazić Doepfnera jako potężnego, aroganckiego człowieka, świadomego swoich wpływów społecznych i politycznych, który nie waha się ich użyć.

Przesłaniem, którego treść odbiła się największym echem w Niemczech, jest obraza Doepfnera wobec jego rodaków ze wschodu. „Ossi nigdy nie zostaną demokratami. Moja mama zawsze to powtarzała” – czytamy w jednej z wia-

domości szefa Springera. „Ossi” to nieco pejoratywne określenie używane wobec Niemców ze wschodnich landów. „To albo komuniści, albo faszyci. Nie ma niczego pośrodku. Ohyda. Być może była NRD należy przekształcić w strefę rolniczo-produkcyjną ze standardową płacą” – napisał biznesmen.

Jest to więc dość typowa narracja przeciętnego, niemieckiego, liberalnego intelektualisty, który okazuje poczucie wyższości w stosunku do innych. Kiedy odnosi się ono do – powiedzmy – ludów słowiańskich, nie stanowi to większego problemu (swoją drogą teza o strefie rolniczo-produkcyjnej ze standardową płacą jest nam dobrze znana, bo tak się nieoficjalnie mówi o całej Europie Środkowo-Wschodniej). Jednak kiedy takie rzeczy mówi się o Niemcach – to jest już problem.

„To pokazuje, że nie ma on moralnej uczciwości, która jest konieczna do pełnienia ważnej funkcji szefa największej prywatnej grupy medialnej w Niemczech. Pod tym względem stanowi on obciążenie dla społeczeństwa” – powiedział o Doepfnerze Carsten Schneider (SPD), pełnomocnik rządu ds. Wschodu, i apelował o odwołanie CEO Axel Springer z jego funkcji.

POLITYCZNE INSTRUKCJE

Uwagi Niemca na temat jego rodaków są naprawdę obrzydliwe i niesprawiedliwe. Jednak historię o konflikcie między Wessi i Ossi wydaje się nieco przyćmiewać inny szczegół z kontrowersyjnych wiadomości Doepfnera. Mianowicie w jednej wiadomości z 2021 r., napisanej na kilka dni przed wyborami do Bundestagu, magnat medialny instruował jednego ze swoich redaktorów, by faworyzował Wolną Partię Demokratyczną (FDP).

Do redaktora naczelnego „Bilda” (główny tytuł Axel Springer w Niemczech) napisał o potrzebie „wzmocnienia FDP przed wyborami federalnymi”. „Oni

są naszą ostatnią nadzieją. Tylko wtedy, gdy staną się bardzo silni – a tak może być – unikniemy zielono-czerwonej katastrofy [koalicji Zielonych i SPD – przyp. red.]”.

Właśnie ten polityczny rozkaz od dyrektora korporacji medialnej do jednego z jej redaktorów był najbardziej żenującą częścią korespondencji Doepfnera z jego podwładnymi. Dobrze zrozumiała to obecna redaktor naczelna „Bilda” Marion Horn, która opublikowała w gazecie komentarz, żądając od szefa przeprosin za wszystko, co napisał. Co więcej, napisała, że nie pozwala nikomu mówić jej, co „Bild” ma publikować. Jej zapewnienie o dziennikarskiej niezależności wydawało się raczej niewiarygodne. Podobnie jak przeprosiny szefa Axel Springer, które pojawiły się na portalu „Bilda”.

„Były to teksty i fragmenty rozmów, wyrwane z kontekstu. Nie mam żadnych uprzedzeń wobec ludzi z Niemiec Wschodnich” – napisał Doepfner, odnosząc się do zarzutu jego pogardy w stosunku do Ossi. Skomentował też fakt, że politycznie wpływał na dziennikarzy: „Na tym polega praca dyrektora generalnego i współwłaściciela. Podstawą jest niezależność redaktorów”. W jaki sposób redaktor ma być niezależny, kiedy właściciel mówi mu, o kim ma dobrze pisać, a o kim nie – Niemiec nie wyjaśnił.

Przykładów interwencji szefa grupy medialnej w pracę redakcji było zresztą znacznie więcej. Gdy na początku pandemii Adidas przestał płacić czynsz za wynajmowany przez siebie budynek w Berlinie, „Bild” opublikował serię artykułów krytykujących tę decyzję. Piętnował w szczególności Adidasa, chociaż wiele innych firm robiło to samo. „Bild” nie poinformował, że jednym z właścicieli budynku, który nie otrzymywał czynszu, był Doepfner, co postawiło go w niebezpiecznym konflikcie interesów.

DLA WŁASNYCH INTERESÓW

Cała ta historia dobrze ilustruje sposób, w jaki działa scena medialna w Niemczech. Jest to metoda, która nie jest obca także innym krajom zachodnim, często lubiącym występować jako promotorzy wolnych i niezależnych mediów. A wygląda to następująco: media, a raczej sto-

jący za nimi ludzie, mają w swoich rękach wielką władzę. Nie wykorzystują jednak tej władzy dla ogólnego dobra społeczeństwa i korygowania skorumpowanej polityki, ale do realizacji własnych interesów.

„Kiedy Doepfner przemawia, słuchają go zarówno Bruksela, jak i Berlin” – pisał „New York Magazine” o Niemcu, po tym jak Axel Springer kupił w ub.r. portal Politico.

„Wielu przypisuje mu pomoc w wymienieniu przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana-Claude’a Junckera (którego kadencja zakończyła się w 2019 r.). Doepfner w 2014 r. opublikował artykuł wstępny w magazynie »Bild«, który wydawał się popierać Junckera, po czym

Wiadomości, które szef potężnej korporacji medialnej Axel Springer wysłał do swoich współpracowników, kompromitują i jego, i jego korporację, a także dużą część sceny medialnej nad Odrą

Angela Merkel zmieniła kurs i również poparła Junckera” – czytamy w tekście „New York Magazine”.

W tym samym tekście Niemiec chwali się, jak dobrze układały mu się stosunki z kanclerz Merkel (choć przyznał, że nieco się pogorszyły w ostatniej fazie jej rządów) oraz że regularnie się z nią spotykał. Nawiasem mówiąc, w ujawnionych wiadomościach szef Axel Springer krytykował Merkel. Byłoby interesujące dowiedzieć się, czy był tak krytyczny w swoich spotkaniach z nią.

POLSKA PERSPEKTYWA

Jak to wszystko wygląda z perspektywy Polski?

Główny problem w tym wszystkim polega na tym, że takie społeczeństwa i takie sceny medialne chcą ciągle nas uczyć o wolności i pluralizmie mediów. Jedną

z metod takich nacisków są różnego rodzaju rankingi stanu mediów w Europie Środkowej, które są sporządzane według niejasnych kryteriów i całkowicie upolitycznione. W jednym z takich badań – o nazwie Freedom Media Index – Polska w 2022 r. miała gorszy stan wolności mediów niż Bośnia i Hercegowina czy Chorwacja. Każdy, kto choć trochę orientuje się w sytuacji medialnej w tych trzech krajach (a ja się do nich zaliczam), może się tylko gorzko śmiać z tych wyników. Właściwie, gdyby to nie było tragiczne, byłoby zabawne. W Bośni i Hercegowinie wszystkie główne media są w większości kontrolowane przez skorumpowane struktury polityczne (korupcja w BiH

jest dużym problemem, jak mówią wszystkie międzynarodowe raporty), a w Chorwacji mainstream medialny jest lewicowo-liberalny, bez żadnego większego medium, które prezentowałoby konserwatywne poglądy polityczne.

Właśnie jako polsko-chorwacki dziennikarz, który ma doświadczenie w pisaniu zarówno w Chorwacji, jak i w Polsce, muszę zwrócić uwagę, że jedna rzecz nigdy nie przestanie mnie tutaj cieszyć: pluralizm mediów. Wydaje mi się, że Polacy czasami nie są świadomi, jak bardzo pluralistyczną scenę medialną mają w ostatnich latach. Polska stanowi wyjątek w gronie państw powstałych po wyzwoleniu z represji komunistycznych. Jest ona bowiem naprawdę jednym z nielicznych krajów, w którym można usłyszeć różne punkty widzenia na ważne kwestie społeczne.

Sytuacja oczywiście nie jest idealna. Polski rynek medialny jest nadal zdominowany przez media prywatne, w większości lewicowo-liberalne, które mają pełne poparcie wielkiego biznesu i jego marketingu. Jednak w przeciwieństwie do Chorwacji czy Słowenii lewica nie dominuje całkowicie na rynku mediów. Jednocześnie dwa główne obozy medialne, tj. ten bliski partii rządzącej i ten bliski opozycji, odgrywają wobec siebie rolę korektorów. Każdy pomysł, który pojawi się publicznie, zostanie zrecenzowany przez drugą stronę. Każdy, komu zależy na stanie demokracji w Polsce, powinien być zadowolony z takiej kondycji sceny medialnej.

Na bakier z historią polsko-węgierską

Trudno uwierzyć, że tak poważny dziennik, jakim niewątpliwie jest „Dziennik Gazeta Prawna”, w dniu 23 marca br. opublikował na swoich łamach artykuł „Koniec polsko-węgierskich bratanków i morza fikcji” autorstwa Dominika Héjja



Tytuł tekstu nie tylko szokuje, lecz także bardzo mijają się z prawdą historyczną. A tymczasem lekceważące użycie w tytule słowa „bratankowie” ma swoje uzasadnienie nie w „morzu fikcji”, lecz w niezwykle bogato udokumentowanych wielowiekowych dziejach przyjaźni i braterstwa obu naszych narodów! Nie jest bowiem przesadnym twierdzenie, że my, Polacy, z żadnym innym królestwem-państwem w Europie nie mamy równie dobrych relacji na przestrzeni wielu stuleci i *vice versa*.

To więcej niż dziwne, że autor, Dominik Héjja, tę prawdę podaje w wątpliwość, co wybrzmiewa nie tylko w cytowanym powyżej artykule. Czyżby chciał być jednym z autorów (niestety, są tacy zarówno po polskiej, jak i węgierskiej stronie), którzy zaprzeczają prawdzie, starając się odheroizować i pogrzebać niemal 1000-letnie wyjątkowe relacje Polaków z Węgrami?

Ponadto zaprezentowana przez niego retoryka mocno godzi w działalność bardzo wielu osób z obu naszych krajów, które niemal całe swoje życie poświęciły na pielęgnowanie tych braterskich relacji i upowszechnianie o nich wiedzy.

Nie fikcją, ale rzeczywistością były przecież związki dynastyczne rodów królewskich, poczynając od Piastów i Arpadów. Wyjątkowo dobrze zapisali się Węgrzy na polskim tronie, że przywołamy królową Jadwigę czy króla Batorego, który zreformował nie tylko nasze wojsko. W realu walczyliśmy mężnie i razem pod Mohaczem, i Warną... Szczerym zatroskaniem o los bratanków były podyktowane petycje większości węgierskich komitetów do cesarza w Wiedniu, by ułatwić życie Polakom pod austriackim zaborem. Nie słownymi deklaracjami, ale aktywnym udziałem – ramię w ramię, o wolność naszą i waszą – ponad 5 tys. Pola-

ków (realnych, udokumentowanych) pod wodzą generałów Bema i Wysokiego wsparło Węgrów w ich Wiośnie Ludów 1848–1849, a potem w powstaniu styczniowym z naszymi rodakami na dobre i złe walczyło kilkuset Madziarów (nazwiska udokumentowane). Nie sposób nie wspomnieć o 1920 r. Lepiej nie myśleć, jaki mógł być finał Bitwy Warszawskiej, gdyby na kilka dni przed decydującym starciem z bolszewikami nie dotarł do Skierniewic zbawienny transport amunicji i broni z zakładów Weissa na budapeszteńskim Csepelu?!

Objętość tej polemiki nie pozwala przedstawić nader obszernego wykazu bogatych wzajemnych relacji politycznych, społecznych, kulturalnych, literackich, naukowych czy kościelnych, i to na przestrzeni wieków! One nie zasługują, by je bagatelizować i ignorować, zwłaszcza że to prawda (fakty), nie fikcja. A skoro to fakty, to w tej pub-

likacji należy przypomnieć o jednym z najbardziej niezwykłych okresów w naszych dziejach: II wojna światowa. W tragicznym wrześniu 1939 r. nikt nie zachował się wobec Polaków równie przyzwoicie i odważnie, jak uczynili to Węgrzy! I choć tamtejsze władze, licząc na pomoc Niemiec w rewizji granic swojego królestwa po Trianon, zawarły polityczny sojusz z Berlinem, to mimo to uniemożliwiły Hitlerowi zaatakowanie Polski od południa, a premier Teleki twardo powiedział: „Jeśli wojska Wehrmachtu bez naszej zgody zechcą wkroczyć przez nasze terytorium, by uderzyć na Polskę, wydám rozkaz zburzenia mostów na trasie ich przejazdu”. To wtedy po raz pierwszy Horthy i Teleki utracili zaufanie hitlerowskich Niemiec, a decyzja Budapesztu o otwarciu 18 września granicy przed ponad 100 tys. polskich uchodźców wojskowych i cywilnych po napaści zbrojnej Stalina na wschodnią Rzeczpospolitą (17 września 1939 r.) wręcz zaszkodziła Hitlera. Małe Węgry miały odwagę powiedzieć „nie” największej wówczas potęgze militarnej świata i to zrobiły! To fikcja?

A stworzenie warunków do życia tylu tysiącom ludzi, a umożliwienie wbrew donosom niemieckiego wywiadu przeprowadzenia akcji przerzutowej ok. 40 tys. polskich żołnierzy do tworzonej we Francji armii przez gen. Sikorskiego czy stworzenie możliwości nauki tysiącom nastoletnich Polaków i tym podobne decyzje – to fikcja? Nie, to są fakty, które potwierdzają liczne publikacje historyków i dokumentalistów wzajemnych relacji – Węgrów (m.in. I. Lagzi, T. Csorba, K. Kápronczay, I. Kovács, E. Varga, A. Szalai, M. Mitrovits) i Polaków (m.in. W. Felczak, A. Przewoźnik, S. Piekarski, T. Olszański – uchodźca, M. Ostoja-Mitkiewicz – uchodźca, F. Budziński – uchodźca, K. Stasiński – uchodźca, W. Frazik, T. Kurpierz).

Pragnącym poznać bliżej fenomen wojennego uchodźstwa polskiego na Węgrzech polecamy m.in. unikatowy zbiór relacji kilkudziesięciu świadków-uchodźców z pobytu nad

Cisą i Dunajem, wojskowych i cywilów, pod redakcją uchodźcy Jana Stolarskiego „Wspomnienia polskich uchodźców na Węgrzech 1939–1945” (1999), czterotomową, dwujęzyczną historię pobytu u bratanków, autorstwa K. i G. Łubczyków „Pamięć. Polscy uchodźcy na Węgrzech 1939–1946” (2009, 2012, 2015 i 2019), ilustrowaną ponad 2 tys. unikatowych zdjęć, które – jak wiadomo – nie kłamią, czy też F. Budzińskiego „Szkoly polskie nad Balatonem w okresie II wojny światowej” (1988), w tym o najsłynniejszej polskiej szkole czasów wojny w Balatonboglár. To Henryk Sławik i József Antall senior jako wzorowi opiekuno-

Nie jest przesadnym twierdzenie, że my, Polacy, z żadnym innym królestwem-państwem w Europie nie mamy równie dobrych relacji na przestrzeni wielu stuleci jak z Węgrami. To więcej niż dziwne, że Héjji tę prawdę podaje w wątpliwość

wie tysięcy uchodźców stali się niezwykłymi symbolami tego braterstwa okresu upadku wszelkich wartości, a dzień 23 marca jako dzień przyjaźni polsko-węgierskiej to dobra okazja, by tego dnia położyć kwiaty i pokłonić się przed pomnikami tych prawdziwych, a nie fikcyjnych bohaterów, również wielkich „Sprawiedliwych”, w Katowicach oraz w Warszawie (Dolinka Szwajcarska) i w Budapeszcie (na brzeżu Dunaju).

Jakże pięknym podziękowaniem nie tylko za lata wojny była postawa i nasza niefikcyjna pomoc walczącemu Budapesztowi ze zmasowaną agresją sowiecką w 1956 r. I znów, choć Zachód obiecywał wsparcie, to obywatele zniszczonej wojną Polski udzielili bra-

tankom największej pomocy moralnej i materialnej. A w latach komunizmu to właśnie byli uchodźcy wojenni bez budżetowego wsparcia przeprowadzili przyjaźń polsko-węgierską z lat 50. XX w. w XXI w., zakładając i upowszechniając wiedzę o fenomenie polsko-węgierskiej przyjaźni i braterstwie w ponad 30 społecznych towarzystwach w całej Polsce, zrzeszonych w Federacji Stowarzyszeń Polsko-Węgierskich RP.

Piszemy to również w imieniu tych, których już nie ma wśród nas, ale z pewnością byliby oburzeni artykułem o... „końcu bratanków i morzu fikcji”. Dodajmy, że ta przyjaźń ma charakter ponadpartyjny. Np. w 1999 r. w 60. rocznicę udzielenia naszym rodakom gościny uroczystym obchodom, którym patronowali Sławik z Antalem, a które odbyły się na Węgrzech pod hasłem: „Pamiętamy i dziękujemy” w 15 miejscowościach, uczestniczyli prezydenci (A. Kwaśniewski i Á. Göncz), premierzy (J. Buzek i V. Orbán), parlamentarysty i liczna grupa uchodźców.

Co prawda agresja zbrojna Putina na Ukrainę sprawiła, że nasze władze przyjęły różne postawy wobec tej wojny, co – niestety – rzuciło cień na oficjalne relacje Warszawy z Budapesztem, ale nieprawdą jest, że Polska i Węgry stanęły po dwóch stronach barykady. Węgry też przyjęły kilkaset

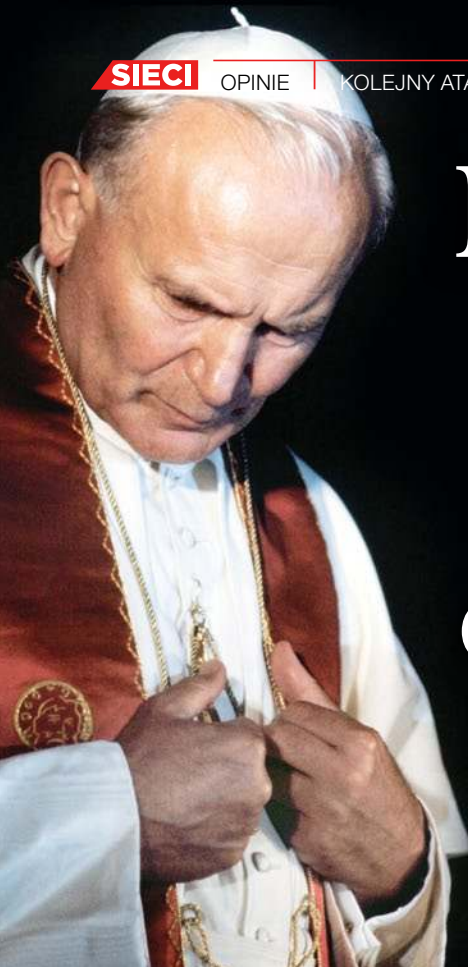
tysięcy uchodźców z Ukrainy, organizując największą w swojej historii operację pomocy humanitarnej, by w ten sposób wspierać Ukraińców broniących własnej niepodległości. Ta wojna nie może jednak przekreślić wielowiekowych wspólnych dziejów polsko-węgierskiej przyjaźni i braterstwa, nie fikcyjnego – prawdziwego. W przeszłości nigdy się na sobie nie zawiedliśmy i miejmy nadzieję, że tak będzie w przyszłości.

Grzegorz Łubczyk

*były ambasador RP w Budapeszcie,
autor książek i filmów o tematyce
polsko-węgierskiej*

Imre Molnár

*były dyplomata węgierski w Polsce,
historyk relacji polsko-węgierskich*



Prawdziwa tragedia, fałszywe oskarżenia

Dlaczego brat porwanej Emanueli Orlandi zarzuca Watykanowi i Janowi Pawłowi II udział w uprowadzeniu jego siostry?

EMANUELA ORLANDI



31 ANNI DI OMERTÀ

VERITÀ E' TANTO PIU' DIFFICILE DA DIRE
TANTO PIU' A LUNGO SI E' TACIUTA MA E'
SACRA E VA ONORATA. QUALUNQUE ESSA SIA
OSTACOLARE LA GIUSTIZIA ED OCCULTARE LA
VERITÀ PER 31 ANNI E' VERGOGNOSO!!!

22 GIUGNO 2014

PIAZZA SAN PIETRO ANGELUS ORE 12.00

SPERANZA CHE PAPA FRANCESCO POSSA PORTARE
QUESTO DOLOROSO CAMMINO VERSO LA
RICONCILIANDO LE COSCIENZE DI CHI SA



GRZEGORZ GÓRNY

12 marca w popularnym talk-show „DiMartedì” na antenie włoskiej telewizji LA7 padło pod adresem Jana Pawła II oskarżenie, które wstrząsnęło całą Italią. Wygłosił je Paolo Orlandi, brat zaginionej bez śladu w 1983 r. Emanueli, powołując się na człowieka związanego z rzymskim światem przestępczym. Gość audycji puścił w studiu nagranie wypowiedzi mężczyzny mającego kontakty z gangiem Banda della Magliana. Głos z taśmy mówił, że ponad 40 lat temu do Watykanu miały być przewożone dziewczęta w celu molestowania seksualnego, o czym Jan Paweł II doskonale wiedział. Jedną z ofiar tego procederu miała paść zaginiona 15-latk.

W dalszej części wypowiedzi padło stwierdzenie, że polski papież wymykał się nocami ze swoich apartamentów

wspólnie z dwoma wysoko postawionymi duchownymi i jeździł po mieście bynajmniej nie po to, by błogosławić domy.

Chociaż Laura Sgrò, prawniczka reprezentująca Orlandiego, zaznaczyła, że jego celem nie było stawianie komukolwiek zarzutów, telewizyjne wystąpienie jej klienta zostało odebrane powszechnie – nie tylko we Włoszech – jako poważne oskarżenie Jana Pawła II.

Wspomniana insynuacja doskonale wpisuje się w rzymską legendę miejską, zgodnie z którą wszyscy papieże mieliby nocą opuszczać *incognito* mury watykańskie, by w cywilnym ubraniu upijać się w tawernach dzielnicy Zatybrze. Ta opowieść nie jest jednak zabawna, ponieważ została wypowiedziana w kontekście niewyjaśnionego do dziś zaginięcia nastolatki oraz oskarżenia o tuszowanie pedofilii.

Z tego samego źródła pochodzi kolejny zarzut, jakoby dziewczyna została zamordowana przez gangstera Enrico De Pedisa na polecenie ówczesnego sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej kard. Agostino Casarolego za pośrednictwem dwóch kapelanów więziennych. Według tej wersji chodziło o zamaskowanie niecnych postępów Jana Pawła II.

MILCZENIE I OBRONA

Przez trzy dni, kiedy zarzuty pod adresem Karola Wojtyły były tematem numer jeden we włoskich mediach, Watykan zachowywał milczenie. Jako pierwszy z dostojników katolickich publicznie zabrał głos w obronie papieża kard. Stanisław Dziwisz. W opublikowanym oświadczeniu nazwał oskarżenia szalonymi i opartymi na niesprawdzonych informacjach pochodzących z niepewnych źródeł. Dopiero po interwencji byłego sekretarza Jana Pawła II nastąpiła reakcja Stolicy Apostolskiej. Dyrektor watykańskiej dykasterii ds. komunikacji Andrea Tornielli opublikował na łamach „L'Osservatore Romano” tekst dyskredytujący wartość rewelacji przedstawionych na antenie LA7.

Nazajutrz, 16 kwietnia, podczas niedzielnej modlitwy Regina Coeli w Rzymie w obronie Jana Pawła II wypowiedział się sam Franciszek, mówiąc: „Mając pewność, że wyrażam odczucia wiernych z całego świata, kieruję wdzięczną myśl ku pamięci św. Jana Pawła II, który w tych dniach stał się celem obraźliwych i bezpodstawnych domysłów”.

Nie był to bynajmniej głos odosobniony. Wielu włoskich publicystów także wyraziło swoje oburzenie bezpodstawnymi atakami na Karola Wojtyłę. W tej sytuacji 18 kwietnia Paolo Orlandi podczas kolejnego wystąpienia w LA7 wyjaśnił, że nie miał zamiaru oskarżać papieża, lecz jedynie odtworzył nagranie stanowiące część śledztwa w sprawie zaginięcia jego siostry.

Dla wszystkich uważnych obserwatorów we Włoszech nie ulega wątpliwości, że zarzuty pod adresem Jana Pawła II są nieprawdziwe. Rodzi się jednak pytanie, dlaczego rozpowszechnia je brat porwanej dziewczyny – Paolo Orlandi. Najlepszą odpowiedź na to pytanie daje wyprodukowany w 2022 r. serial Netfliksa pt. „Dziewczyna z Watykanu. Zaginięcie Emanueli Orlandi”.

W SIECI FAŁSZYWYCH TROPÓW

Głównym narratorem filmu jest Paolo Orlandi, którego oczami rekonstruujemy okoliczności porwania i śledztwa w sprawie jego siostry. Widzimy człowieka zdruzgotanego tym, że od 40 lat nie ma żadnych wieści o bliskiej mu osobie. Równie zrozpaczona jest jego rodzina, jednak on sam ma szczególne powody do zgrzyoty. Owego feralnego dnia, 22 czerwca 1983 r., Emanuela, wychodząc z domu, poprosiła brata, by zawiózł ją do szkoły muzycznej. On jednak odmówił, mówiąc, że mu się nie chce. Ona rzuciła pod jego adresem ciętą uwagę i trzasnęła drzwiami. To było ich ostatnie spotkanie. Dziś Paolo sam przyznaje, że dręczy go z tego powodu poczucie winy. Być może właśnie dlatego najmocniej z całej rodziny angażuje się w poszukiwania siostry.

Serial składa się z czterech odcinków, które są pełne sprzecznych wątków, fałszywych tropów, nieustannych powtórzeń, błędów faktograficznych oraz nic niewnoszących dygresji. Gdyby oddzielić fantazje i spekulacje od faktów, pozostałoby z tego niecała godzina. Np. trzeci odcinek opiera się niemal w całości na opowieściach niejakiego Marco Accetiego, który okazuje się na końcu narcyzem i mitomanem, zdiagnozowanym przez psychiatrów jako osobowość psychopatyczna. Jest w stanie posunąć się nawet do

fałszywego samooskarżenia, twierdząc, że to on uprowadził Emanułę Orlandi, byle znaleźć się w świetle reflektorów.

FALSYFIKAT WIODĄCY NA MANOWCE

Inny wątek ciągnący się długo w serialu został zbudowany na rezultatach śledztwa prowadzonego przez dziennikarza Emiliano Fittipaldiego. Utrzymuje on, że od anonimowego informatora dostał pięciostronicowy dokument z archiwów watykańskich dotyczący zaginionej nastolatki. Wynika z niego, że Emanuela została porwana na polecenie urzędników watykańskich, wywieziona do Londynu i przetrzymywana w katolickim pensjonacie dla dziewcząt. Zmarła tam w 1997 r., a jej ciało

Papież Franciszek: „Mając pewność, że wyrażam odczucia wiernych z całego świata, kieruję wdzięczną myśl ku pamięci św. Jana Pawła II, który w tych dniach stał się celem obraźliwych i bezpodstawnych domysłów”

przewieziono do Rzymu i potajemnie pochowano na cmentarzu Teutońskim na terenie Watykanu.

Problem polega na tym, że wspomniany dokument nie został napisany na papierze firmowym, nie jest opatrzony żadną numeracją, nie posiada pieczętki ani podpisu. Właściwie każdy mógłby wystukać taki tekst na maszynie do pisania. O fałszerstwie pisma świadczy drobny, lecz znamienity szczegół – rzekomy autor dokumentu, kard. Lorenzo Antonetti, nigdy nie zwróciłby się do adresatów, czyli biskupów Giovanniego Battisty Re i Jeana-Louisa Taurana, korzystając z nie spotykanej formuły „Wasza Czcigodna Ekscelencjo”. Wszyscy w kurii wiedzą, że używa się tam zwyczajowego zwrotu „Jego Ekscelencja”.

Ulegając presji mediów, Watykan zgodził się jednak na otwarcie wskazanego grobowca na cmentarzu Teutońskim. Okazało się, że w środku nie było ciała Emanueli Orlandi. Stolica Apostolska wydała taką zgodę, by uciąć wszelkie domysły i pokazać, że nie ma nic do ukrycia. Dla autorów filmu był to jednak dowód, że Watykan przyznaje, iż może być zamieszany w tę sprawę.

SOLIDARNOŚĆ I MAFIJNE PIENIĄDZE

Kolejny wątek wielokrotnie powracający w serialu przedstawia jeszcze inną hipotezę: otóż powiązany z Watykanem Bank Ambrosiano miał pracować brudne pieniądze włoskiej mafii. Jan Paweł II sięgnął jednak po mafijne pieniądze i przekazał potajemnie 200 mln dol. dla podziemnej Solidarności. W odpowiedzi gangsterzy porwali córkę watykańskiego urzędnika Emanułę Orlandi, by wymusić na papieżu zwrot środków. Cała ta teoria rozpada się jednak w zetknięciu z faktami. Gdyby była prawdziwa, to któryś z licznych historyków dawno wpadłby na ślad tak ogromnych pieniędzy wypompowanych w Solidarność. Poza tym, gdyby mafia chciała wymusić na Janie Pawle II ustępstwa, porwałaby raczej któregoś ze znaczących kardynałów lub innych osobistości z Watykanu. Realizatorzy filmu powołują się też na abp. Carla Marię Viganò, który miał stwierdzić, iż porywacze skontaktowali się z dyrektorem biura prasowego Stolicy Apostolskiej, ks. Romeo Pancirolim, już w dniu uprowadzenia Emanueli, co Watykan zataił jednak przed śledczymi. Problem polega na tym, że tego dnia wspomniany ks. Pancirolini przebywał nie w Rzymie, lecz razem z Janem Pawłem II w Polsce.

Tego typu fałszywych teorii jest w serialu mnóstwo. Właściwie brakuje tylko wątku, że dziewczynę porwał UFO. Byłoby to być może zabawne, gdyby nie że rowało na autentycznej ludzkiej tragedii. Paolo Orlandi w swojej rozpaczli chwytając się bowiem każdej najbardziej nawet nieprawdopodobnej hipotezy, pragnąc odnaleźć siostrę. Są jednak ludzie, którzy pasywnie na tym nieszczęściu, wykorzystując je do swoich celów. Najważniejszym jest uderzyć w Jana Pawła II.

Komunista, peronista czy syn swojej ziemi?

Z perspektywy polskiej pontyfikat papieża Franciszka najlepiej podsumowuje chyba aforyzm Sławomira Mrożka: „Niespodziankom nie ma końca. I to właśnie zaczyna być nudne”



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Rzeczywiście, papież zadziwia nas nieustrudzenie od wielu już lat, a wraz z wybuchem wojny na Ukrainie wprawia nas okresowo także w stan osłupienia. W 10. roku jego pontyfikatu warto spróbować podjąć wysiłek zrozumienia następcy św. Piotra obdarzonego włoską i latynoską krwią, a do tego specyficzną mentalnością i duchowością stamtąd, które często czynią go tak niepojętym w naszych oczach. Świat uczył się rozumieć „papę Wojtyła z dalekiego kraju”, spróbujmy więc i my zrozumieć papieża z Argentyny, by przestał być dla nas tak wielką zagadką.

RESENTYMENTY WOBEC HISPANII

Pociesmy się, że w naszym wyzwaniu nie jesteśmy odosobnieni, bo nawet Hiszpanie, dla których Argentyńczycy, Latynosi stanowią narody bratnie, kulturowo ukształtowane „na ich obraz i podobieństwo”, nie potrafią pojąć motywów wielu decyzji Franciszka. Paradoksalnie to dzięki Hiszpanii, a raczej reprimendam, które słyszy ten kraj z ust papieskich, można zrozumieć, jak wiele z lewicowej, iberoamerykańskiej wrażliwości musiał wchłonąć młody Jorge Mario Bergoglio. Tym bardziej

że wychowywał się w rodzinie, która aktywnie działała w antyfaszystowskim ruchu UCR (Radykalna Unia Obywatelska), czyli partii należącej do Międzynarodówki Socjalistycznej.

Mimo dekady pontyfikatu Franciszek nigdy nie przybył z pielgrzymką do Hiszpanii, choć zapraszano go wielokrotnie, a nawet wabiono na różne sposoby, m.in. obchodami rocznicy 500-lecia nawrócenia św. Ignacego Loyoli, założyciela zakonu jezuitów. Zdaniem wielu Hiszpanów papież wydaje się obrażony na ich naród, ale bynajmniej nie za to, że wojowniczy katolicyzm porzucili na rzecz wojowniczego progresywizmu. Franciszek nie interweniował, kiedy w szczycie pandemii uchwalono tam ustawę o ekspresowej eutanazji lub aborcję dla 16-letnich dziewczyn bez zgody rodziców. W głośnym wywiadzie dla skrajnie lewicowej telewizji wybrzmiały raczej jego wyrzuty dotyczące nierozliczenia się z własną historią, budowania zasieków na przejściu granicznym z Marokiem i nieprzyjmowania nielegalnych imigrantów. Okresowo powraca też do grzechów konkwisty hiszpańskiej, czyli *de facto* misji chrystianizacyjnej w Nowym Świecie podjętej przez królów katolickich. Nic dziwnego, że Franciszek jest uwielbiany przez ruchy indygenistów i Latynosów idealizujących przeszłość plemion prekolumbijskich i jednocześnie surowo krytykowany przez katolików z Półwyspu Iberyjskiego.

Jeśli przy tym nadmienić, że Jan Paweł II w ciągu zaledwie sześciu lat zdążył odwiedzić dwukrotnie Hiszpanię, błogosławiąc tłumom w 11 miastach od Ávili po Santiago de Compostela, nie

dziwi wcale, że kult dla św. Jana Pawła II ma się tam wciąż doskonale, a atak na jego osobę i dziedzictwo w rodzimym kraju został przyjęty przez Hiszpanów z mieszkanką niedowierzania i złości. Uwielbiany „papa polaco Wojtyła”, który z zamilowania do dzieł św. Jana od Krzyża nauczył się władać językiem hiszpańskim, zapewnił sobie wdzięczną pamięć w przeciwieństwie do papy Bergoglio, który łaskawym okiem patrzy na inkaską boginię Pachamamę, usuwaną z ołtarzy przez misjonarzy hiszpańskich i portugalskich z poświęceniem życia.

FRANCISZEK A TEOLOGIA WYZWOLENIA

Papież Bergoglio został ukształtowany przez specyficzną latynoską, lewicową wrażliwość, która niestety przyczynia się znacznie do ruiny i przewrotów politycznych w krajach Iberosfery. Ogromne różnice klasowe, obszary skrajnej nędzy powodują, że widmo komunizmu, o którym pisał Marks, krąży ochoczo od Kuby po Chile po dziś dzień, i to nawet w wariantach katolickim, czyli w postaci teologii wyzwolenia. My, Polacy, znamy ten nurt raczej tylko z haseł, podczas gdy rozgościł się on trwale w krajach Ameryki Łacińskiej. Parafianie Pana Boga niezależnie od szerokości geograficznej powinni być niejako z definicji odporni na przejawy myślenia utopijnego, niestety Kościół powszechny okazał się bezradny wobec odłamów teologii wyzwolenia.

Zapewne większość z nas pamięta jeszcze ową migawkę telewizyjną



z wizyty papieża w Nikaragui w 1983 r., a raczej dziwny dysonans, wywołany w nas przez widok rozeźlonego Jana Pawła II, który każącym palcem wymachiwał nad klęczącym ks. Ernesto Cardenalem i jednocześnie ministrem kultury w socjalistycznym rządzie Nikaragui. Obrazek z płyty lotniska obiegił cały świat i stał się ikoną walki papieża Wojtyły z lewicowymi ideami. Rok później suspendował ks. Cardenala i paru innych czołowych krzewicieli tego nurtu. Papież Polak już wtedy wiedział, że w rzeczywistości ów wykwit intelektualny nie jest teologią ani tym bardziej nie jest w stanie nikogo wyzwolić. Była to próba zbliżenia katolicyzmu (zwłaszcza w materialnych aspektach uczynków miłosierdzia) do marksizmu. Na sztandarach miała chlubne hasła pomocy ludziom zepchniętym na margines społeczeństwa, ale dopiero potem ujawniała, że jedynym sposobem, by to zrobić, jest rewolucja, podczas gdy liturgia katolicka miała niepotrzebnie oddalać prostych ludzi od Boga.

Teologia wyzwolenia wzięła w nawias autentyczną teologię, by stać się praktyką polityczną. Jej hasła po dziś dzień to: „królestwo Boże jest w nas”, „musimy walczyć z uciskiem”, „Jezus szedł z mniejszościami swoich czasów” itp. Bóg stał się tu tylko pretekstem i narzędziem rewolucji społecznej. Jakoś nie dziwi, że to właśnie Franciszek zdjął suspensę z ks. Cardenala w 2019 r.

Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że papież ten przyjął wykładnię teologii wyzwolenia i stanowi ona podstawę jego magisterium. Od pierwszych lat kapłaństwa dystansował się wobec jej marksistowskiego odłamu, choć jednocześnie z uporem realizował jej pierwotną intuicję, wybierając opcję na rzecz wspierania ubogich i walki o sprawiedliwość społeczną. Owszem, Bergoglio dość szybko wydobyl z cienia peruwiańskiego ks. Gustavo Gutiérreza, którego „Teologia wyzwolenia”, opublikowana w 1971 r., wstrząsnęła Kościołem katolickim i rozpoczęła zwycięski marsz przez umysły katolików

ku zaskoczeniu Watykanu. Franciszek widzi w niej raczej niekwestionowany wkład Kościoła latynoamerykańskiego w katolicką naukę społeczną.

IBEROSFERA PATRZY TĘSKNIE NA ZSRS

Z owej nieco naiwnej wiary papieża Franciszka w hasła sprawiedliwości społecznej i socjalizmu biorą początek jego egzotyczne sojusze towarzyskie i spotkania z przywódcami lewicy iberoamerykańskiej, która jest odpowiedzialna za przemianę krajów Ameryki Łacińskiej w tzw. narkodyktatury wspierane przez Kreml. Od początku XXI w. Rosja, chcąc rozszerzyć swoją strefę wpływów geopolitycznych, podpisała ok. 200 umów o współpracy strategicznej, technologicznej, wojskowej z przywódcami i dyktatorami Iberosfery. W tej grupie są: Brazylia, Chile, Peru, Argentyna, Wenezuela i Boliwia. Jeśli chodzi o Kubę, poza umorzeniem 90 proc. z 35 mld dol. długu z czasów sowieckich, otrzymuje ona wciąż wsparcie i dostawy pojazdów wojskowych.

Jeśli nas, Polaków, zabolala wieść o eskapadzie papieża do ambasady agresora rosyjskiego w dzień po wybuchu wojny, to trzeba przyznać, że to samo czują wszyscy katolicy hiszpańscy oglądający Franciszka w serdecznym uścisku z liderami komunistycznymi: Fidelem Castro, Nicolásem Maduro czy Evo Moralem. Nie przypadkiem ten ostatni wręczył papieżowi tzw. krucyfiks komunisty z Chrystusem ukrzyżowanym na sierpie i młocie – symbolu, jakby nie było, 100 mln pomordowanych ofiar. „Rozumiem to dzieło sztuki, dla mnie nie stanowi obrazu” – powiedział papież, gdy dziennikarze świadomi znaczenia tego bluźnierczego gestu Moralesa usiłowali wydobyć z ojca św. jakiś komentarz do sprawy.

Nie wiadomo też, co skłania liderów Partii Komunistycznej Hiszpanii i najbardziej progresywnych polityków lewicy do odwiedzania Watykanu i sesji zdjęciowych z papieżem. Wiadomo za to, że w 2015 r. w wywiadzie dla „La Repubblica” Franciszek przyznał: „To komuniści są tymi, którzy myślą jak chrześcijanie”. Trzeba nam bowiem pamiętać, że choć w naszym

mniemaniu komunizm został pokonany w 1989 r. i szczył wraz z rozpadem ZSRS, to jednocześnie kraje takie jak Kuba czy Brazylia, zwane „sierotami po komunizmie”, szybko zbudowały nowy „sojuz”, czyli Foro de São Paulo, wspierany przez Kreml od początku. Forum powstało w szoku po upadku muru berlińskiego i jako strategia przetrwania Partii Robotniczej w Brazylii (PT) oraz jej lidera, prezydenta także dziś – Luli da Silvy. To on w porozumieniu z kubańskim rządem Castro wypromował ową platformę państw-sierot po komunizmie.

Opisując fenomen przetrwania komunizmu w Iberosferze, należy zapomnieć o wszystkim, co my sami wiemy na jego temat. Dla Latynosów socjalizm i komunizm wydają się idealnym rozwiązaniem do walki z biedą, wykluczeniem i społeczeństwem klasowym. Innym z dogmatów myślenia w zdominowanej przez lewicę Iberosferze jest utożsamianie kapitalizmu z najgorszym złem, za które oczywiście odpowiedzialne jest „imperium zła” – czyli (uwaga, tu drobna zmiana) – USA. Przegrane konflikty Latynosów z „imperium jankesów” w ciągu krótkiej historii tych kontynentów przyczyniły się do wrogiego nastawienia wobec Amerykanów z północy. Nic dziwnego, że wróg mojego wroga, czyli Rosja, jawi się w tej układance sympatii politycznych jako sojusznik w walce z odwiecznym przeciwnikiem. Wszyscy ci, których cokolwiek dziwi wypowiedzi Franciszka o Rosji tudzież jego komentarz o „szczekaniu NATO u drzwi Rosji”, po prostu nie rozumieją duszy latynoskiej, która ze swej natury jest skłonna oskarżać USA o każdy konflikt zbrojny i najgorsze intencje. Federacja Rosyjska, znając tę słabość Ameryki Łacińskiej, od dawna i z powodzeniem rozgrywa tam swoje interesy. Lata temu zdobyła milionowe rzesze zwolenników, instalując propagandowe kanały telewizyjne (HispanTV, Russia Today po hiszpańsku) i nawet przywłaszczanie sobie kopalni złota w upadłej Wenezueli czy przeżywających turbulencje Chile nie przydaje Putinowi wrogu.

PRAWICA, PAPIEŻ I PANIKA

Dziwi nieco, że wywiad Franciszka z Gustavo Sylvestre z 31 marca w argentyńskiej telewizji C5N nie wywołał większego odzewu w Polsce. Może dlatego, by oszczędzić nam i Ukraińcom kolejnych zdziwień, które trawić jest coraz trudniej.

„Kiedy imperium poczuje się słabe, rozpoczyna wojnę, by móc sprzedać uzbrojenie” – mówi papież o przyczynie wojny na Ukrainie. Nietrudno zgadnąć, które imperium konkretnie ma na myśli. W odczuciu Latynosów

Wszyscy ci, których cokolwiek dziwi wypowiedzi Franciszka o Rosji tudzież jego komentarz o „szczekaniu NATO u drzwi Rosji”, po prostu nie rozumieją duszy latynoskiej, która ze swej natury jest skłonna oskarżać USA o każdy konflikt zbrojny i najgorsze intencje

to USA prowadzi od zawsze krwawy biznes, wszczyna wojny, by testować nowy sprzęt i podtrzymywać swoją pozycję światowego strażnika. Przez ponad rok nikt z papieskiego otoczenia nie zdążył – jak widać – zapoznać Franciszka z historią naszego regionu i podbojów imperium Moskwitów. Jeszcze bardziej zdumiewa obawa papieża o wzrost popularności partii prawicy. Sam przyznaje, że odczuwa panikę, a rosnące poparcie dla prawicy podsuwa mu obawy, że oto może się pojawić nowy „Adolfito”.

A jednak próba sklasyfikowania papieża po lewej stronie, i to przez wielu komentatorów, jest błędem mimo zbieżności pewnych jego przekonań z klasycznym repertuarem kodeksu lewicowca: wszak Franciszkowi miła jest obrona

praw socjalnych ubogich (imigrantów, ludności rdzennej i mniejszości), zaangażowanie w ekologię, otwartość na dialog międzyreligijny, potępienie klerykalizmu i władzy w Kościele, wizja Kościoła otwartego na osoby wykluczone (rozwodników i homoseksualistów). Z kolei lewica – początkowo entuzjastycznie nastawiona do papieża, który łamał schematy – poczuła się zdruzgotana jego obroną nauki o małżeństwie, odrzuceniem aborcji i eutanazji, potępieniem radykalnego sekularyzmu i krytyką ideologii gender. Franciszek potępił też wokizm z jego kulturą anulowania, więc zawiódł mocno swój jakże otwarty, lewicowy „elektorat”.

Skoro więc argentyński papież, rozpolitykowany jak chyba żaden z jego poprzedników, wymyka się etykietkom, wielu publicystów przykłaśnie w tym momencie i uzna to za dowód tego, że Franciszek po prostu jest... peronistą. Dziennikarz Ignacio Zuleta napisał nawet książkę pt. „Papież peronista. Historia sekretna, jak Franciszek działa w polityce”. Zdaniem autora ideologiczne powiązania papieża z peronizmem są aż nadto widoczne, tym bardziej że Kościół argentyński był historycznie jego sojusznikiem. Peronizm to populistyczny, nacjonalistyczny ruch oparty na idei sprawiedliwości społecznej oraz dążeniu do zbudowania „wielkiej Argentyny” przez zajęcie „trzeciej pozycji” między kapitalizmem i komunizmem. Autor książki twierdzi, że nawet jako biskup Buenos Aires Bergoglio podpowiadał kandydaturę dla partii, z którą sympatyzował, uczestniczył w tworzeniu list, ale nie jest to chyba czymś wyjątkowym w Ameryce Łacińskiej.

Czy papież z dalekiego kraju ma szansę odbudować nasze zaufanie przed końcem swojego pontyfikatu? Niekoniecznie. Nie ma w tym jednak niczyjej winy. Katolik z każdej parafii na świecie marzy po prostu o tym, by następca św. Piotra oprócz wyjątkowych cech miał też parę takich, które przypomniałyby mu jego ulubionego proboszcza. Papież Latynos, tak ekstrawagancko inny od naszych przyzwyczajęń, wciąż stanowi dla nas wyzwanie. 

SIECI

Na majórkę

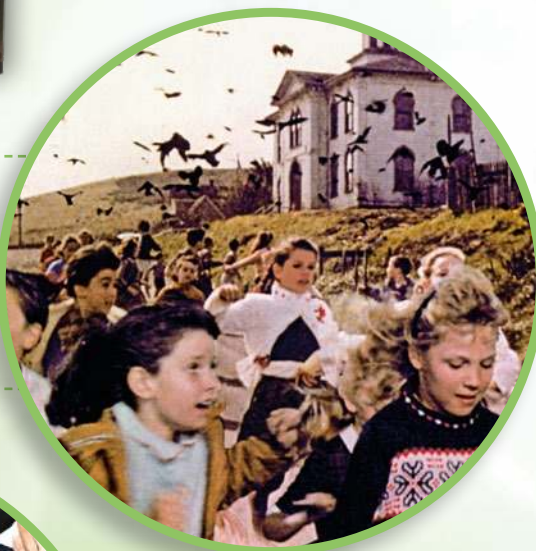


***Polska
droga
przez
konstytucję***

str. 56

***Hitchcock tego
nie zmyślił***

str. 72



***Ja wam
wszystko
wyśpiewam
– zapowiada
minister
Michał Wójcik***
str. 62



***Koronacja
i największy
brylant świata***
str. 66

PARTNER DODATKU



ORLEN



Droga przez konstytucje

Konstytucja 3 maja nie zdążyła niczego zmienić. Pozornie. Uruchomiła bowiem ciąg zdarzeń, które podczas zaborów przemodelowały mentalność Polaków, dopiero u ich schyłku tworząc nowoczesny i świadomy naród. Paradoksalnie, zaborcy bardzo w tym pomogli



WOJCIECH LADA

Szlachta bez sprzeciwu składała hołd nowym monarchom i witała na bankietach ku czci gubernatorów cudzoziemców. Literaci drukowali na ich cześć panegiriki i ody, biskupi w listach pasterskich zalecali swoim owieczkom posłuszeństwo wobec nowej władzy, niektórzy magnaci szukali w Petersburgu, Berlinie

i Wiedniu kariery politycznej. Większość szlachty rezygnowała z nadziei na odmianę losu i przepuszczała w hulanek łatwo napływające dochody – tak komentował postawę Polaków po trzecim rozbiore prof. Stefan Kieniewicz.

Klasyk polskiej historiografii zupełnie nie przesadzał. Dla większej części arystokracji i bogatszej szlachty rozpad Polski oznaczał właściwie tylko zmianę na tronie, co było tym łatwiejsze do przelknięcia, że przez ostatnie prawie 300 lat Polską bardzo rzadko władali Polacy. Z 11 królów elekcyjnych, aż siedmiu było cudzoziemcami – bardzo często nieznających nawet słowa po polsku i niemających żadnego pojęcia o stosunkach tu panujących. Po rozbio-

rach posiadłości magnatów pozostały zasadniczo nienaruszone, oni sami byli mile widziani na monarszych dworach, większość z nich nie widziała więc powodów do narzekań – tym bardziej że koniec XVIII w. był okresem niezłej koniunktury gospodarczej. Pieniądze i zakres władzy nawet wzrosły. „Każdy magnat jest despotą i daje to odczuć dookoła siebie wszystkim, że jest w istocie panem nieograniczonym, nad którego wyższego być nie może” – komentował niemiecki botanik i etnolog, uczestnik słynnej wprawy Jamesa Cooka Georg Foster, który w 1784 r. objął katedrę na Uniwersytecie Wileńskim. 10 lat później zupełnie nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Jeszcze mniej, choć z zupełnie innych powodów, mieli przeciwko rozbiorom chłopci. Głównie dlatego, że nawet ich nie zauważyli, a jeśli odczuli później jakąś zmianę, to niemal wyłącznie na lepsze. W szlacheckiej Polsce byli co najwyżej wymiennym elementem wyposażenia folwarku – w państwach bądź co bądź nowoczesniejszych też nie mieli lekko, tu jednak przynajmniej według prawa uznano ich za ludzi. Co szlachta przyjęła ze szczerym zdumieniem. Chłopi chyba zresztą też. „Lud tutejszy, tj. te miliony zwierząt pociągowych w postaci ludzkiej, wykluczony od praw ludzkich i naliczający się dla narodu pomimo swej liczby, ten lud w skutek długiego niewolnictwa spadł do poziomu zwierzęcości i braku czucia, nieopisanego lenistwa i zupełnej głupoty, z którego może zaledwie za 100 lat podniesie się do poziomu gminu europejskiego” – zauważał dalej Foster.

Z uogólnieniami trzeba oczywiście zachować ostrożność. Całkiem sporo arystokratów pozostało wiernych dorobkowi Sejmu Czteroletniego, a i niemało chłopów wykazało się postawą zaskakująco patriotyczną, w ten czy inny sposób angażując się w wojnę polsko-rosyjską 1792 r. „Włościanie z Pawłowa ks. Brzostkowskiego ofiarowali dwie armaty, chłopci z Załucza pod Kamieńcem – 100 korców zboża o wartości 1 tys. zł” – wyliczał autor „Ludowej historii Polski”, Adam Leszczyński. Było to może nawet ważniejsze niż ich udział w insurekcji kościuszkowskiej – wówczas bowiem postavili kosy na sztorc dla wymiernych korzyści, tym razem zaś zrobili to bezinteresownie.

Ogólnie jednak w 1795 r. świadomie dramat rozbiorów przeżyła jedynie garstka oświeceniowych myślicieli, w tym mieszczańskiego pochodzenia, i część lepiej wykształconych oficerów. Ci drudzy wkrótce zaczęli ostrzyć szable do kolejnego powstania. Ci pierwsi wyżej cenili pracę oświatową, do której zabrali się z zaskakującym impetem i nie mniejszą skutecznością. To właśnie oni – zasadniczo związani z reformami Sejmu Czteroletniego i Konstytucji 3 maja – z archaicznego zlepku feudalnych re-

lacji społecznych ukształtowali na ziemiach polskich coś na kształt nowoczesnego społeczeństwa obywatelskiego. Przed rozbiorami i przez sporą ich część między Polakami – jak pisał Tadeusz Łepkowski – „brakowało niemal zupełnie silniejszych więzów ekonomicznych, rynkowych, komunikacyjnych, a także

Dwie konstytucje, które obowiązywały na terenach polskich po trzecim rozbiore, były w każdym razie tak bardzo nowoczesne, że ustawa z 3 maja 1791 r. wypadła przy nich dość zachowawczo. Sam Hugo Kołłątaj nigdy nie ukrywał, że traktuje swoje dzieło za ledwie jako przygrywkę do dalszych reform

kulturowo-świadomościowo-ideologicznych”. Trzy pierwsze elementy zaczęły scalać Polskę dopiero po odzyskaniu niepodległości – o trzy ostatnie zadbają jednak skutecznie oświeceniowi reformatorzy bezpośrednio po 1795 r. Foster okazał się przy tym prawdziwym wizjonerem. Potrzebowali na to właśnie mniej więcej 100 lat.

I trzeba przyznać, że wbrew swoim intencjom zaborcy ostatecznie bardzo im w tym pomogli. Przede wszystkim dlatego, że Polacy, stając się obywatelami zaborczych imperiów, stali się jednocześnie obywatelami Europy. Wyjeżdżali na zagraniczne uniwersytety, stykali się z nowymi myślami i inną mentalnością, normą stała się znajomość obcych języków. To właśnie wtedy zaczęło powoli zanikać zjawisko przysłowiowego zaścianka z jego ksenofobią i klaustrofobicznym zamknięciem na wszelkie zmiany. Nawet służba w obcych armiach pozwalała niektórym otworzyć szerzej oczy

– choćby chłopom, którzy do tej pory praktycznie przez całe życie nie opuszczali rodzinnej zagrody. I nie chodziło o to, że Polacy zaczęli nagle rozpylić się w morzu europejskim kultury. Przeciwnie – to dopiero kontakt z obcymi, pozwalał znacznie silniej poczuć więź ze swoimi. Dopiero służąc w armii austriackiej, chłop spod Krosna uświadamiał sobie, że tak właściwie to jest Polakiem. Wcześniej zdawał sobie z tego sprawę bardzo mgliście, bo po prostu nie myślał w takich kategoriach.

W KSIĘSTWIE I KRÓLESTWIE

Ale nie tylko w tym tkwiły korzyści z zaistniałej sytuacji. Państwa zaborcze były – może poza Rosją – zasadniczo państwami nowoczesnymi. Zachowywały co prawda fasadę feudalnego blichtru, ale oświecenie i rewolucja francuska zrobiły swoje – procesu oddolnej demokratyzacji nie dało się już odwrócić. Dwie pierwsze konstytucje, które obowiązywały na terenach polskich po trzecim rozbiore, były w każdym razie tak bardzo nowoczesne, że ustawa z 3 maja 1791 r. wypadła przy nich dość zachowawczo. Sam Hugo Kołłątaj nigdy nie ukrywał, że traktuje swoje dzieło za ledwie jako przygrywkę do dalszych reform.

Pierwszą, w 1807 r. podyktował Księstwu Warszawskiemu Napoleon Bonaparte. Podyktował całkiem dosłownie. „Dyktował ją prędko, chodząc po pokoju, a książę Bassano ledwo ją zdążył pisać przez abrewiacje i to prawie na kolanie... Do nas tylko się obracał niekiedy i pytał, czyśmy kontenci, mogąc być pewnym stosownej dla jego woli odpowiedzi” – zanotował w swoim pamiętniku Józef Wybicki, który odwiedził cesarza wraz z polską delegacją w Dreźnie. Kiedy było już po wszystkim, Napoleon zakrzyknął podobno: „Zniosłem poddaństwo w Polsce i to mych zwycięstw laur dla mnie najmiłszy”. Cesarz nieco się mylił – poddaństwo w praktyce utrzymało się na ziemiach polskich jeszcze długo. Faktycznie jednak po raz pierwszy w dziejach Polski pojawiło się sformułowanie, że wszyscy obywatele

są wolni i równi wobec prawa. Dzień 22 lipca 1807 r. powinien być obchodzony jako święto.

To prawda, że konstytucja napoleońska obowiązywała zbyt krótko, by realnie wprowadzić poważniejsze zmiany w życie, ale jej wpływ na kształtowanie się nowej mentalności Polaków był jednak duży. Choćby za sprawą Legionów Dąbrowskiego, których żołnierze rekrutowali się z wszystkich stanów społecznych, a wracali do domów całkowicie przesiąknięci rewolucyjnymi ideami równości i wolności, które później w naturalny sposób przekazywali dalej w swoich rodzinnych środowiskach.

Zresztą tak naprawdę założenia konstytucji Księstwa Warszawskiego obowiązywały jeszcze wiele lat po upadku Napoleona. Większość z nich przeszła mianowicie do kolejnej konstytucji, nadanej już Królestwu Polskiemu przez cara Aleksandra I w 1815 r. Ustawa była zresztą zdumiewającym posunięciem monarchii i jej ogłoszenia nie da się chyba wytłumaczyć bardzo racjonalnymi względami. W Rosji rządził w sposób absolutny i jego słowo miało wagę prawa. W Polsce tymczasem sam z siebie ograniczył bardzo poważnie swoją władzę. „Liberalna konstytucja gwarantowała cały wiele praw obywatelskich o charakterze wolnościowym, jak wolność wyznania, równość wobec prawa, wolność słowa i druku, nietykalność osoby i majątku. Prawo wyborcze, przysługujące stosunkowo szerszym kręgom społecznym, zapewniało arystokracji i ziemiaństwu, a także bogatemu mieszczaństwu i inteligencji daleko większy wpływ na rządy, niż miało to miejsce na Zachodzie, o absolutnej monarchii w Rosji nie wspominając” – pisali historycy prawa Artur Korbowicz i Wojciech Witkowski.

Wszystko to oczywiście znów nie trwało długo i tak naprawdę nigdy nie zostało zrealizowane do końca. Szacuje się, że ta rosyjska sielanka rozbiorowa trwała mniej więcej przez pięć pierwszych lat, a więc gdzieś do 1820 r. – później zaś policyjno-cenzorski ucisk zaczął wyraźnie narastać. Tak naprawdę

jednak to wcale nie było mało. Licząc od ogłoszenia Konstytucji 3 maja, w atmosferze oświeceniowych haseł równości i wolności wychowało się na niej 30 roczników – w tamtych czasach dawało to jakieś dwa pokolenia Polaków, ukształtowanych w świecie zupełnie innych pojęć i myślących innymi już kategoriami niż ich ojcowie czy dziadowie. Nawet więcej, bo okres ten należałoby właściwie

Człowiekiem, który pod względem edukacyjnym stworzył nowego Polaka był Stanisław Kostka Potocki. Ten wybitny reformator był np. zwolennikiem równego dostępu do edukacji dziewcząt. Robił też, co mógł, by rozbudować sieć szkół elementarnych tak, by mogli kształcić się w nich miejska biedota i chłopci



wydłużyć o kolejnych kilkanaście lat, od momentu powołania Komisji Edukacji Narodowej – dzięki której, jak się szacuje, w oświeceniowym duchu wychowało się kilkadziesiąt tysięcy osób, tworząc świetną bazę pedagogiczną i ideową dla rozbiorowych już pokoleń.

OŚWIECENIE I OŚWIECANIE

I właśnie to edukacja w większym nawet stopniu niż ustawodawstwo przyczyniła się do powstania embrionu nowoczesnego społeczeństwa polskiego. A było to tym łatwiejsze, że ani Napoleon, ani Aleksander I nie tylko nie ograniczali w najmniejszym stopniu reform w tej

kwestii, ale wręcz bardzo aktywnie je wspierali. Napoleon, bo było mu zapewne wszystko jedno – i tak myślał głównie o wojnach. Aleksander zaś był człowiekiem nawet jak na te czasy

wyjątkowo wszechstronnie wykształconym i chyba po prostu podobał mu się demokratyczny eksperyment z małym Królestwem Polskim, na który zapewne nie odważyłby się w monstrualnej Rosji.

Człowiekiem, który pod względem edukacyjnym stworzył nowego Polaka był Stanisław Kostka Potocki. Ten wybitny reformator wyraźnie wyrastał

ponad swoje czasy. Był np. zwolennikiem równego dostępu do edukacji dziewcząt – co wówczas musiało wydawać się pomysłem wręcz szalonym. Robił też, co mógł, by rozbudować sieć świeckich szkół elementarnych tak, by mogli się w nich kształcić biedota miejska i chłopci. Słowo „świeckich” jest tu zresztą kluczowe. Trzeba pamiętać, że w początkowym okresie Kościół nie występował przeciwko rozbiorom, nauka w szkołach zakonnych odbywała się wciąż po łacinie, a ich program niewiele zmienił się od średniowiecza. W tych

zakładanych przez Kostkę Potockiego uczono już obowiązkowo po polsku, a w programie uwzględniano również najnowsze zdobycze nauki i kultury polskiej.

W jego osobie Polacy wygrali los na loterii. Był nie tylko wybitnym reformatorem, lecz także chyba niezłym politykiem, skoro w Księstwie Warszawskim stanął na czele Izby Edukacji Publicznej, a w Królestwie Polskim został ministrem wyznań i oświecenia. Symbolem jego bardzo długiego urzędowania było powołanie przez Aleksandra I Uniwersytetu Warszawskiego już w 1816 r. – uczelni czysto polskiej, na której panowały zasady „zupełnej wol-

ności wykładania prawd wszelkich” oraz „wszelka teoria, ile to być może, stosowaną będzie do praktyki, a mianowicie do użytku potrzeb krajowych”. Jeśli doliczyć do tego podniesienie w tym okresie Akademii Wileńskiej do rangi uniwersytetu, dorobek edukacyjny i kulturowy w pierwszym okresie zaborów był więc imponujący.

A jak wiele zmienił w mentalności Polaków, najwięcej mówią dwa fakty. Z jednej strony – po upadku powstania listopadowego i ostrych carskich restrykcjach obejmujących także edukację – natychmiast zaczęły mnożyć się oddolne inicjatywy w tym obszarze. Wyraźnie rosła liczba ludzi rozumiejących, że aby Polska mogła przetrwać choćby jako idea albo przynajmniej obszar kulturowy – trzeba uświadomić całe społeczeństwo, również chłopów. Nazwano to pracą organiczną, bo cały naród zaczęto wreszcie postrzegać jako jeden organizm. Z drugiej – właśnie po 1831 r. zaczęły mnożyć się na potęgę bunty chłopskie. Niezależnie, jak je ocenić, świadczą one wyraźnie, że i ta grupa stawała się coraz bardziej świadoma swoich praw obywatelskich. Kluczem do stworzenia nowoczesnego narodu było to, by poczuli się jeszcze Polakami.

SZABLĄ I CEPEM

Ale mimo edukacyjnych sukcesów i rosnącej świadomości większość szlachty wciąż nie potrafiła tego zrozumieć. „Ziemiańskie elity nigdy nie mogły się zresztą w praktyce pogodzić z konsekwencjami zmian prawnych, które zrównywały obywatelski status chłopów, mieszczań i szlachty. Kontestowały te zmiany na każdym kroku” – potwierdzał Leszczyński. I właśnie tym momencie wszystko mogło skończyć się katastrofą. Brutalność szlachty narastała wprost proporcjonalnie do wprowadzanych przez zaborców reform. Reform często bardzo pozytywnych: świat się zmieniał, kapitalizm ostatecznie wypierał ostatnie przeżytki feudalizmu...

Mniej więcej w połowie stulecia likwidowano wszędzie pańszczyznę, chłopów uwłaszczano na korzystnych dla nich warunkach, tymczasem polscy panowie trwali przy swoim, a w dodatku coraz bardziej twardo i – co tu dużo

mówić – tępo. „Przemoc była fundamentem tego systemu: ludzie ze społecznych nizin doświadczała jej na każdym kroku i w niemal każdej sytuacji swojego niezbyt długiego życia” – dodawał Leszczyński.

Mieli jednak kłopot, bo właśnie w okresie międzypowstaniowym chłopci zaczęli oddawać tym samym. O buntach, z których słynna rabacja galicyjska z 1846 r. była tylko największym, była już mowa. Ale inne sytuacje świadczą o tym, że w połowie XIX w. polski chłop w nawet najbardziej zacofanej i najmniej wyedukowanej Galicji byłobywatelem. Choćby sam Jakub Szela, który zanim stał się symbolem rzezi szlachty, zajmował się reprezentowaniem swoich sąsiadów przed austriackimi urzędnikami – jeździł nawet do Wiednia. Chłopi rozumieli więc swój status prawny i znali administracyjno-sądowe sposoby poruszania się w nowoczesnym państwie. Również z Galicji, zaledwie dwa lata po rabacji, chłopci wystosowali list do parlamentu w Wiedniu, w którym domagali się zlikwidowania autonomii regionu i ściślejszego zespolenia z cesarstwem. „Obawiamy się rządów polskich, boby nic dobrego nie było” – przekonywali, po raz kolejny dowodząc znajomości zasad gry.

I wciąż się buntując. Bo naprawdę mieli przeciwko czemu. O skali wzrostu Polaków przez Polaków wiele mówi choćby to, że w połowie lat 40. w Królestwie powstał nawet „Tajny komitet dla polepszenia bytu włościan” prowadzony przez... Iwana Paskiewicza, jak wiadomo niesłynącego raczej z propolskich sympatii. I jeśli ktoś pyta o przyczyny upadku powstania styczniowego – właśnie tu znajdzie nie jedyną, ale jedną z podstawowych odpowiedzi. Zresztą gdyby nawet powstanie wygrało, Polska nie mogłaby w tym momencie powstać. Zabrakłoby jej obywateli.



POŻYTKI Z PORĄŻKI

Ale to właśnie klęska powstania styczniowego okazała się ostatecznie przełomem. Doświadczeniem, z którego wreszcie wypłynęły wnioski. Traumą o pozytywnym finale. W 1864 r. walczących w powstaniu chłopów – czy ogólnie ludzi ze społecznych nizin – było niewielu. Znacznie więcej z nich walczyło przeciw powstaniu – w specjalnie formowanych strażach. Zaledwie 40 lat później, podczas rewolucji 1905 r., potomkowie tej samej grupy ludzi staną już do walki z caratem masowo. Nic chyba lepiej nie oddaje ducha wydarzeń z lat 1905–1907 niż tytuł klasycznej już książki Stanisława Kolabińskiego i Feliksa Tycha „Czwarte powstanie czy pierwsza rewolucja?” – były one i jednym, i drugim jednocześnie. Co wydarzyło się przez te cztery dekady?

Przedewszystkim w czasie, gdy szable na ścianach szlacheckich dworców spokojnie rdzewiały, powstała przestrzeń do niepodległościowej walki innego rodzaju. Przez kulturę. Ruch pracy organicznej z początku lat 30. w tym właśnie momencie zaczyna osiągać zasięg niemal masowy. Niemal nie da się znaleźć pamiątek z tego okresu, w których nie byłoby wzmianki o jakichś kółkach

samokształceniowych, nie wspominając o niezliczonych „silaczkach”, jak Faustyna Morzycka z noweli Stefana Żeromskiego. Nawet zrażona do powstań szlachta zaczyna mieć w tym wszystkim swój znaczniejszy udział. A zwłaszcza szlachcianki – zubożałe na skutek carskich represji, musiały zacząć aktywizować się zawodowo, a to pociągało za sobą większą świadomość społeczną.

Ważniejszą jednak cegielkę do powstania nowoczesnego społeczeństwa polskiego dołoży znów car. W październiku 1863 r. Nikołaj Milutin otrzymał od swojego władcy polecenie opracowania praw, mających ostatecznie odciągnąć polskich chłopów od powstania. Milutin przyjechał z towarzyszami do Warszawy i już w ciągu miesiąca opracowali oni projekty czterech ukazów, które weszły w życie w następnym roku. Adam Leszczyński nazywa je wprost ogromną społeczną rewolucją. „Ukazy z 1864 r. wprowadziły uwłaszczenie pełne i natychmiastowe [...]”. Zreformowano także urzędy wiejskie, wprowadzając także samorząd – zebranie wioskowe oraz obieralnych sołtysów i wójtów. W pierwszych wyborach aż 78 proc. wójtów stanowili włościanie, dokładnie tak, jak zaplanował rząd. Wiosną 1864 r. sprowadzeni z Petersburga urzędnicy komisarze wyruszyli w teren przy akompaniamencie skarg ziemiańskich” – pisał historyk.

W dziejach tworzenia polskiego społeczeństwa obywatelskiego ukazy uwłaszczeniowe okazały się dokumentem zupełnie przełomowym – być może jednym z najważniejszych w XIX w. Z założenia miały tylko uspokoić wieś i jeszcze mocniej skonfliktować ją ze szlachtą, w praktyce zadziałały zupełnie inaczej. Po 1864 r. uwolnieni chłopci szerokim strumieniem ruszyli do miast, tworząc szybko niemal zupełnie nową, ale od razu ogromną grupę społeczną – robotników. Liczby mówią wszystko. W 1845 r. liczyła ona zaledwie 46 tys. ludzi, a w 1865 – 70 tys. I rosła nieprzerwanie, osiągając w przededniu I wojny światowej ok. 400 tysięcy. W 1914 r., wraz z rodzinami, stanowili oni mniej więcej 60 proc. mieszkańców zaboru rosyjskiego. Ale nawet takie statystyki nie mó-



wią wszystkiego o potencjale tej grupy. Przemysł w ówczesnej Polsce rozwijał się – jak określił to Witold Kula – wyspowo. Koncentrował się w Warszawie, Zagłębiu Dąbrowskim i socjologicznym fenomenie, czyli Łodzi, która z małej osady, stała się nagle 0,5-mln metropolią. Na tych trzech obszarach zamieszkała więc ponad połowa Polaków.

Warunki było początkowo koszarne. Jak to we wczesnym kapitalizmie: praca po kilkanaście godzin, również dzieci, niemal zerowe zabezpieczenia, brak jakichkolwiek świadczeń (z czasem choćby łódzcy fabrykanci zaczęli wspierać swoich pracowników). Socjologicznie stworzyło to jednak sytuację zupełnie nową. Niemal wszyscy mieszkali w dużych skupiskach, mieli z sobą nieustający kontakt, wiązały ich te same interesy. Wcześniej chłop nie miał zazwyczaj pojęcia, jak wygląda życie w wiosce oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów – tutaj wszyscy mieszkali

drzwi w drzwi. Krąg znajomych przeciętnego Polaka rozszerzył się do niespotkanych wcześniej rozmiarów, a tym samym kanały rozprzestrzeniania informacji. To tak, jakby z czasów telegrafu nagle przeskoczyło do ery internetu. Dawni chłopci, dziś robotnicy poczuli też siłę grupy.

PPS I PIŁSUDSKI

I dokładnie w tym miejscu pojawia się Józef Piłsudski. Nie on jeden, nazwisk było bardzo wiele, on jednak stał się symbolem. To właśnie pod jego nieformalnym kierownictwem Polska Partia Socjalistyczna ze swoim odważnym, socjalno-patriotycznym programem potrafiła przebić się do niezliczonej masy dawnych chłopów, dziś robotników. Przekonać ich, że przyszła Polska nie musi oznaczać powrotu do pańszczyzny i że mogą być w niej pełnoprawnymi obywatelami. To niedoceniony okres w działalności przyszłego marszałka. W rzeczywistości pod względem społecznym odegrał nieporównywalnie większą rolę niż np. dość niszowe, niebysz popularne i nieodnotowane poważniejszych sukcesów Legiony Polskie.

Jak zwykle znów pomogli w tym zaborcy, którzy równie głupio jak dawniej rodzima szlachta zaczęli postępować z robotnikami bardzo brutalnie, a ich armie strzelały do tłumów, skutecznie rozbudzając nienawiść i skupiając na sobie całą ich wrogość. Wielkość PPS i samego Piłsudskiego polegała na tym, żeby uczucia te bardzo zgrabnie podsycać, skanalizować i wykorzystać. Polskie społeczeństwo, czy jak kto woli – naród, zyskało swoją współczesną postać właśnie w tym momencie. To zaś, jak demokratycznie widziano odradzającą się Polskę, najwięcej może mówić pierwsza od 130 lat, jednoznacznie polska konstytucja z marca 1921 r.

Nie przypadkiem w jej preambule jest nawiązanie do Konstytucji 3 maja. Co prawda jej litera została dość bezpośrednio zapożyczona z konstytucji francuskiej z 1875 r., ale nad całością unosi się wyraźnie duch ustawy z 1791 r., który przeprowadził Polaków przez ponad 100-lecie zaborów... Choć drogami bardzo mocno krętymi.

Nie przegap ważnej daty!

Złóż oświadczenie w ramach Rządowej Tarczy Solidarnościowej do 30 czerwca!

Ceny energii w 2023 r. wzrosły: napaść Rosji na Ukrainę wywołała kryzys energetyczny w całej Europie, skutkujący wysokimi cenami węgla, gazu, a co za tym idzie – energii elektrycznej. Jednocześnie na cenę energii wpływ mają koszty uprawnień do emisji CO₂ w unijnym systemie EU ETS, które rosną. Dzięki osłonie Rządowej Tarczy Solidarnościowej Polacy nie odczują tak silnie tych skoków cen w swoich budżetach

Dzięki Rządowej Tarczy Solidarnościowej każda rodzina zyska co najmniej 2 tys. zł, których nie będzie musiała wydać na rachunki za prąd. Szczególną troską zostały objęte osoby z niepełnosprawnościami, rodziny wielodzietne i rolnicy. Trzeba jednak pamiętać, by przed 30 czerwca osoby uprawnione do zwiększonych limitów złożyły oświadczenia wraz z wymaganymi dokumentami.

Gwarantowana cena energii w 2023 r. obowiązuje:

Limit ustawowy zużycia energii [kWh rocznie]	Wartość rocznego rachunku przed wprowadzeniem Tarczy Solidarnościowej	Wartość rocznego rachunku po wprowadzeniu Tarczy Solidarnościowej	Roczna oszczędność na rachunkach
2000 kWh dla odbiorców z grup taryfowych G	4 004,00 zł	2 003,00 zł	2 001,00 zł
2600 kWh dla gospodarstw domowych z osobami z niepełnosprawnościami	4 506,00 zł	2 125,00 zł	2 381,00 zł
3000 kWh dla gospodarstw domowych z Kartą Dużej Rodziny	7 071,00 zł	3 791,00 zł	3 280,00 zł
3000 kWh dla gospodarstw rolnych	10 416,00 zł	6 255,00 zł	4 161,00 zł

Oszczędni odbiorcy mogą zyskać jeszcze więcej. Konsument, którzy w okresie od 1 października 2022 r. do 31 grudnia 2023 r. zużyją nie więcej niż 90 proc. energii w porównaniu do okresu od 1 października 2021 r. do 31 grudnia 2022 r., w 2024 r. zapłacą aż o 10 proc. niższe rachunki.

Kryzys energetyczny prawdopodobnie zostanie z nami na dłużej. 2023 r. to czas ochrony Rządowej Tarczy Solidarnościowej, który warto wykorzystać na naukę nowych nawyków. Dzięki nim już zawsze będziemy oszczędniej gospodarować energią w naszych domach.

Pierwszym krokiem powinna być analiza faktycznego zużycia energii w gospodarstwie domowym. Możemy być zaskoczeni odkryciem, gdzie i jak „ucieka” energia. Na szczęście można temu zaradzić, ucząc się kilku trików na codzienne oszczędne korzystanie ze sprzętu AGD. Zapoznajmy się z parametrami technicznymi i programami pracy urządzeń, by wybrać opcje oszczędzające prąd, wodę, a nawet nasz czas. Wybierzmy ekoprogramy zmywarki czy pralki, a także termoobieg w piekarniku. Po skończonej pracy odłączamy sprzęt od prądu. Pralki i zmywarki nastawiamy w pełni załadowane. Nie otwieramy niepotrzebnie lodówki i piekarnika. Dbajmy o czystość urządzeń, a odpłacą się nam długowiecznością i niskimi rachunkami za energię.

Kiedy pojawi się konieczność wymiany sprzętu, kupujemy ten odpowiadający naszym rzeczywistym potrzebom. W wyborze pomoże nam zapoznanie się z etykietą klasy energetycznej urządzenia. Od dwóch lat obowiązuje nowy wzór etykiet. Znajdziemy tam informacje, który model jest przyjazny dla środowiska, a także dane o jego energooszczędności. Inwestując w dobry sprzęt, możemy zyskać na rachunkach za energię. **AR**

Ważna data: **30 czerwca**, czyli za niecałe trzy miesiące, upływa termin składania oświadczeń w sprawie gwarantowanej w 2023 r. ceny energii elektrycznej zgodnie z limitami przyjętymi w programie Rządowej Tarczy Solidarnościowej.

Ustawowo limit 2000 kWh w cenie obowiązującej w 2022 r. otrzymał każdy z nas.

Do swoich sprzedawców energii powinni się jednak zgłosić gospodarstwa domowe, w których zamieszkują osoby z niepełnosprawnościami i które mają limit zużycia podwyższony do 2600 kWh, oraz domy z Kartami Dużej Rodziny i rolnicy, którzy wnioskuje o limit do 3000 kWh rocznie.

Ludzie porzucają
swoje pasje,
a to najgorszy grzech.
Teraz myślę, że gdybym
nie zaczął śpiewać,
to bym zwariował.
Osiem lat jestem
ministrem, jakiś
czas nadzorowałem
więzienia, ratowałem
dzieci, naoglądałem się
różnych okropieństw.
A muzyka to inny świat.
Mój świat

Z Michałem Wójcikiem,
*ministrem w Kancelarii
Prezesa Rady Ministrów,
rozmawia
Dorota Łosiewicz*



Ja wam wszystko wyśpiewam

**Mówią o panu śpiewający minister.
Podoba się panu to określenie?**

Michał Wójcik: Nie jestem jedynym śpiewającym ministrem czy politykiem. Jest nas więcej. Po wywiadzie, którego udzieliłem pani w telewizji wPolsce.pl kilka tygodni temu, podszedł do mnie jeden z ministrów i powiedział, że on tańczy, i to profesjonalnie. Nazwiska nie zdradzę, może sam

się przyzna. Ludzie mają różne talenty, ale czasem boją się je ujawniać.

Ministrowi przystoi śpiewanie?

Też miałem taki dylemat. Kilkanaście miesięcy temu zapytałem ministra Zbigniewa Ziobrę, czy konstytucyjnemu ministrowi wypada publicznie śpiewać. Usłyszałem, że jak najbardziej, a minister Ziobro jest zwolennikiem tego,

żebym się nie krył. Często w mediach społecznościowych udostępnia moje występy. Raz nawet śpiewałem u niego kolędę. Zresztą 20 lat temu poznał mnie właśnie przy okazji śpiewania na jakiejś imprezie. Jarosław Kaczyński też mnie poznał w takich okolicznościach. 20 lat temu na lotnisku Muchowiec w Katowicach powiedział: „Śpiewał pan świetnie, ale lepiej pan przemawia. Lepiej



od pana śpiewa Jan Rokita, ale pan będzie miał swoje miejsce w polskiej polityce". Tym dwóm politykom zawdzięczam najwięcej. A tak w ogóle to politycy na Zachodzie często śpiewają, grają w filmach, na saksofonie, tańczą. Politycy też ludzie i mają swoje drugie, prywatne oblicze.

Teraz wydał pan płytę – hołd dla Krzysztofa Krawczyka w drugą rocznicę śmierci. Wcześniej były kolędy. W jakim repertuarze czuje się pan najlepiej?

Frank Sinatra, Elvis Presley. Mam barwę głosu zbliżoną do tych wielkich artystów. Teksty ich piosenek są niezwykłe. I to zresztą mój plan artystyczny na kolejne miesiące. Wydam płyty z ich piosenkami. A pani wie, że dotrzymuję słowa, bo wszystko, co zapowiadałem we wcześniejszych

Jarosław Kaczyński też mnie poznał przy okazji śpiewania na jakiejś imprezie. „Śpiewał pan świetnie, ale lepiej pan przemawia. Lepiej od pana śpiewa Jan Rokita, ale pan będzie miał swoje miejsce w polskiej polityce” – powiedział. Tym dwóm politykom zawdzięczam najwięcej

rozmowach z panią – zrealizowałem. Kiedyś śpiewałem na koncercie w Łędzinach. Jeden z artystów śpiewał tam fantastyczną piosenkę „The Girl From Ipanema”. Zapytałem go na scenie, przy ludziach, czy wie, jak powstała ta piosenka. Nie wiedział. A ona powstała tak, że 52-latek (a ja wczoraj skończyłem 52 lata)...

...najlepsze życzenia!

Dziękuję. Ale wróćmy do piosenki. 52-latek leżał na plaży i każdego dnia pewna dziewczyna szła do morza, a on czekał, aż ona na niego spojrzy. I nigdy nawet nie spojrzała. I o tym jest ta piosenka.

Zdradził pan właśnie, że zdarza się panu śpiewać z gwiazdami. Jak to wygląda?

Są i superty, i wspólne śpiewanie. Różnie bywa. Raz w restauracji spotkałem się z muzykami Czerwonych Gitar. To jeden z najlepszych zespołów w polskiej historii muzyki. Poznałem wtedy Jurka Skrzypczyka. W którymś momencie grała muzyka, a ja podszedłem do mikrofonu i zacząłem śpiewać piosenki Czerwonych Gitar, oni tańczyli. Wcześniej organizowałem ich koncert, choć oni o tym nie wiedzieli. Zresztą organizowałem wiele koncertów. W tym i Krawczyka, choć nigdy go nie poznałem. Ale to było na marginesie. Niedawno jeden z artystów wysłał mi SMS-a, że chciałby ze mną współpracować. Śpiewałem też z Big Silesian Band, który grał m.in. ze Zbigniewem Wodeckim. Śpiewałem ze śpiewakami z Operetki Śląskiej i byłem na scenie z Bogusławem Morką. Niestety, nie śpiewałem z nim, tylko po nim.

Czy ktoś odmówił występu z ministrem?

Nie. Jakoś udaje się oddzielić śpiewanie od polityki. Była taka historia... Miejsce akcji – Katowice, na sali ponad 1 tys. górników, karczma piwna. Na scenie pojawił się Krzysztof Respondek, którego bardzo cenię. On wcześ-

niej słyszał, jak śpiewam, bo mieliśmy okazję wystąpić wspólnie na imprezie charytatywnej. I on, będąc na scenie, wypatrzył mnie w tłumie i zaprosił przed mikrofon. Zaśpiewałem. Publiczność była zupełnie zaskoczona, ale skradłem jej serca. Na sali był też Paweł Kukiz, ale nie zdecydował się na występ.



Który z dotychczasowych występów uważa pan za najważniejszy?

W hospicjum Cordis w Katowicach. To był występ charytatywny dla ludzi, którzy są na ostatnim etapie swojego życia. Na salę przywieziono ciężko chorych ludzi, przykutych do łóżek i wózków. Okazało się, że ci chorzy ludzie mieli w sobie tyle radości i siły, żeby ruszyć do tańca. Ci, którzy mogli, wstali. Odżyły wspomnienia. Było dużo radości. Co ich ruszyło? Oczywiście Krawczyk! To było niesamowite przeżycie. Później zobaczyłem w mediach zdjęcie z tego występu. Podpisano, że Wójcik zajmuje się tylko śpiewaniem.

Kiedy w ogóle zaczął pan śpiewać?

Nie uwierzy pani, ale ja nawet chodziłem do szkoły muzycznej. Mama chciała, żebym grał na skrzypcach i żebym został drugim Paganinim.

Frank Sinatra, Elvis Presley – w takim repertuarze czuję się najlepiej. Mam barwę głosu zbliżoną do tych wielkich artystów. Teksty ich piosenek są niezwykle. I to zresztą mój plan artystyczny na kolejne miesiące. Wydam płyty z ich piosenkami

Igrałem. Także na fortepianie. Miałem wtedy długie włosy, mama upinała je spinką. Niestety, naukę musiałem przerwać z powodu stanu wojennego. Gdy otwieraliśmy sąd w Sosnowcu, a sala była wypełniona ludźmi z Ministerstwa Sprawiedliwości, przyznałem się

wtedy, że na tej zabytkowej sali dałem kiedyś koncert skrzypcowy, bodajże zagrałem Vivaldiego. Nie chcieli wierzyć. W ogóle wywodzę się z muzykującej rodziny. Mój śp. ojciec kapitalnie grał na akordeonie. Mama gra na fortepianie, brat na gitarze, córka na gitarze. Wcześniej, np. przy okazji urlopów, śpiewałem karaoke. Czekalem na wieczór, w dzień podśpiewując np. teksty włoskich piosenek. Oczywiście odpowiednio się maskowałem: czapka, okulary, żeby mnie nikt nie poznał. W Hiszpanii śpiewałem np. „Baila Morena”, nie znając języka, bisowałem nawet. Później zacząłem się uczyć hiszpańskiego. Zdarzało się, że poznawali mnie nawet ci,

których trudno nazwać moimi zwolennikami, ale muzyka łączy. A rozśpiewałem się na dobre, gdy córka kupiła mi na 50. urodziny głośnik. Wtedy już godzinami śpiewałem. Nie powiem, żeby to wywoływało euforię u sąsiadów. W KPRM też śpiewam. Jedna

Fot. Andrzej Wiktor

ze współpracownic, gdy to usłyszała, stwierdziła, że trzeba wyjść z tym do ludzi, i tak nagrałem pierwszą płytę. Zdarza się, że muzycy pytają mnie, gdzie się uczyłem śpiewać, to teraz powiem prawdę czytelnikom „Sieci”: pod prysznicem. I w samochodzie. Dziękuję kierowcom, że to znoszą, ale mogę sobie wtedy trenować.

Edukację muzyczną pan przerwał, wykształcił się pan na prawnika. Nie żałuje pan?

Ale nigdy nie ograniczałem się tylko do prawa. Na uczelni tańczyłem w zespole ludowym, potrafiłem skakać przez nogę. Poza tym zbierałem kalafiory. Do dziś ich nie jadam, ale rozróżniam odmiany bezbłędnie. Jeździłem wózkami widłowymi, myłem wagony. Byłem sprawozdawcą sportowym, sprzedawałem książki, pisałem artykuły. Świetnie jeżdżę na nartach, grałem w lidze w siatkówkę, pracując w jednej z organizacji gospodarczych, organizowałem pokazy mody (w Polsce i za granicą), imprezy dla muzyków. Chyba się starzeję, bo lubię programy kulinarne. A bycie prawnikiem tylko mi w życiu pomogło. Mam stopień doktora, wydałem za granicą kilka artykułów naukowych. Zajmuję się rynkiem pracy.

Kilkakrotnie poruszył pan wątek metryki. Może tu jeszcze wchodzi w grę kryzys wieku średniego?

Tak trudnego pytania jeszcze nikt mi nie zadał. Może coś jest na rzeczy. Zegar tyka, człowiek uświadamia sobie, że wielu rzeczy jeszcze nie zrobił, a chciałby. Ludzie porzucają swoje pasje, a to najgorszy grzech. Teraz myślę, że gdybym nie zaczął śpiewać, tobym zwariował. Osiem lat jestem ministrem, jakiś czas nadzorowałem więzienia, ratowałem dzieci, naoglądałem się różnych okropieństw. A muzyka to inny świat. Mój świat.

Może warto pomyśleć nad jakimś parlamentarnym, międzypolitycznym zespołem muzycznym?

Przy dzisiejszych podziałach to nie jest możliwe. Jest zbyt duży stan napięcia.

Może udałoby się zorganizować jakiś koncert charytatywny. Jest w polityce wiele muzykujących osób, np. poseł Michał Gramatyka z Polski 2050, jest poseł Michał Wypij, Beata Kempa śpiewa, Tadeusz Cymański, także Joanna Mucha. Marzę o stworzeniu fundacji, dzięki której moglibyśmy pomagać dzieciom. Może coś uda się w następnej kadencji, jak wygramy trzeci raz. Nie będzie już tej zapiekłej opozycji, wymienią się twarze i ludzie, może opadnie poziom emocji, skończą się uliczne krzyki. Może to zakończy też polsko-polską wojnę.

Nie uwierzy pani, ale ja nawet chodziłem do szkoły muzycznej. Mama chciała, żebym grał na skrzypcach i żebym został drugim Paganinim. I grałem. Także na fortepianie. Niestety, naukę musiałem przerwać z powodu stanu wojennego

Jak na to pana śpiewanie reagują Polacy, wyborcy?

Świetnie reagują. Często słyszę, że wyglądałem na bufona, a okazało się, że fajny ze mnie minister. Muzyka to sposób dotarcia do ludzi. Wszyscy nagle zaczynają inaczej na człowieka patrzeć. Po jednym z ostatnich programów telewizyjnych, w którym śpiewałem, zostałem poproszony o autograf na koszulce. Człowiek powiedział, że pięknie śpiewam. Tyle ustaw procedowałem, uratowałem setki dzieci, zablokowałem handel dziećmi w internecie, czyli nielegalne adopcje. Wyprowadziłem żyły w Ministerstwie Sprawiedliwości i nikt nie prosił o podpis na koszulce. Wczoraj byłem u fryzjera, do którego chodzę od lat, i nagle dostałem prośbę o wysłuchanie materiałów muzycznych jednej z osób, druga zdradziła, że

pisze książki i prosiła o recenzję. Nagle ludzie się otwierają ze swoimi pasjami. Nawet współpracownicy zaczęli mnie inaczej traktować, uważniej słuchają. A przecież ja mówię to samo co wcześniej. Przypomina mi się taki filmik z Ronaldo. Gdy podbił piłkę ubrany jak kłoszard, nikt nie zwracał na niego uwagi. Gdy wrócił do swojego wizerunku, natychmiast otoczył go tłum. Jak to moje śpiewanie stało się bardziej publiczne, to nagle okazało się, że może mam też coś do powiedzenia.

Śpiewanie może się przełożyć na wynik wyborczy?

Spora grupa wyborców podejmuje decyzję o tym, na kogo oddać głos pod wpływem emocji. Może będą tacy, którzy podejmą, gdy usłyszą, jak śpiewam. Ale 20 lat temu też śpiewałem przy okazji różnych imprez, a znalazłem się na politycznym dnie, dużo wyborów przegrałem, wiem, jak smakuje porażka. Więc niczego nie można być pewnym. Może to moje śpiewanie odczarowuje trochę prawicę. Wszyscy jesteście ludźmi, mamy swoje zainteresowania, życie, rodziny.

Czy w polityce jest miejsce na prawdziwe relacje, np. przyjaźń?

Nie, choć jest miejsce na szacunek, podziw, naukę. To bardzo trudny, brutalny świat. Im się jest wyżej, tym jest trudniej. Liczą się cele polityczne. Polityka to także duże emocje. Nigdy nie będzie tak, że wszyscy będą zadowoleni, zawsze jest się z kimś w kontrze. Te emocje sięgają teraz zenitu. Trzeba walczyć z kłamstwem i manipulacją. Wszedłem do polityki, żeby robić coś dla ludzi. Nawet jeśli to banał, to tak jest. Dużo się udało, porządkowałem temu życie.

Miała być lekka rozmowa, ale za pytam na koniec o najbliższe plany legislacyjne, żeby nikt już nie mówił, że Wójcik tylko śpiewa.

Robimy teraz z ministrem Marcinem Warcholem ustawę o patostreamingu. To trudne zjawisko. Ludzie zarabiają na propagowaniu brutalności, przemocy, znęcaniu się. To niszczy dzieci. To trzeba ukrócić.

Koronacja na miarę czasów

Oczekuje się, że zaproszeni na koronację króla Karola III goście, od zagranicznych członków arystokracji po liderów organizacji charytatywnych, będą odzwierciedlać nowoczesną i wielokulturową Wielką Brytanię



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Bób, ser cheddar, szpinak i estragon. A to wszystko w kształcie – nie, nie brytyjskiego – ale francuskiego dania quiche. Król Karol III i królowa Kamila postanowili, że popularny nad Sekwaną krążek z ciasta nadziewanego farszem z jajek i sera będzie oficjalnym daniem na obchody wielkiego lunchu koronacyjnego między 6 a 8 maja. Nie da się ukryć, że brytyjska kuchnia pozostawia czasami wiele do życzenia, a quiche jest łatwe do przyrządzenia.

Mimo to wybór dania wywołał zdumienie u części brytyjskiej prasy. „The Daily Telegraph” zauważył złośliwie, że koronacyjne quiche nie zawiera mięsa, jest więc „bezpiecznym wyborem, gdy nie chce się nikogo obrazić (w domyśle: wegan)”, i z tęsknotą wspominał danie przygotowane z okazji koronacji królowej Elżbiety II w 1953 r.: Poulet Reine Elizabeth, znane dziś jako „kurczak koronacyjny”. 70 lat temu luksusowy przysmak dla dygnitarzy (po wojnie mało kogo było stać na drób), do którego podawano szampana, a dziś popularne wypełnienie tanich kanapek w supermarketach. Wymyślone przez Rosemary Hume i jej studentów ze szkoły gotowania Le Cordon Bleu w Londynie danie zawierające pomidory, curry, purée brzoskwińowe, cytrynę, czerwone wino oraz bitą śmietanę, z dobrze przyprawioną sałatką z ryżu, zielonego groszku i mieszanki ziół, przetrwało do dziś w nieco zmienionej i uboższej formie. Teraz jest to kurczak w majonezie z dodatkiem curry,



ananasa i rodzynek. KFC wprowadziło go nawet na rynek w kształcie burgera.

MDŁE CZY NOWOCZESNE?

Takie zbrodnie kulinarne – jak twierdzi gazeta – były i są bardzo brytyjskie. A quiche? Uniwersalne, ale jakieś takie mdłe. Równie mdłe jak entuzjazm Brytyjczyków dla koronacji.

Według sondażu instytutu YouGov ponad 60 proc. Brytyjczyków nie obchodzi koronacja króla Karola III, w przypadku

osób w wieku 18–24 75 proc. nie wykazuje nią większego zainteresowania. Co zaskakujące, nawet wśród osób powyżej 65. roku życia – najbardziej pozytywnie do monarchii nastawionej grupy demograficznej – 53 proc. stwierdziło, że koronacja nie obchodzi ich „zbyttnio” lub „w ogóle”. Czyżby mdłe, beźmięsne, koronacyjne quiche (z dodatkiem ziemniaków i sałaty) miałyby się stać symbolem uroczystości 6 maja? Historycznie rzecz biorąc, Brytyjczycy traktowali widowiska z pewną podejrzliwością jako przykład

kontynentalnego ekscesu. Po wysłuchaniu przemówienia królowej Wiktorii w parlamencie w 1860 r. Robert Cecil, przyszły markiz Salisbury, zauważył: „Niektóre narody mają dar do ceremonii. Wielka Brytania nie jest jednym z nich”.

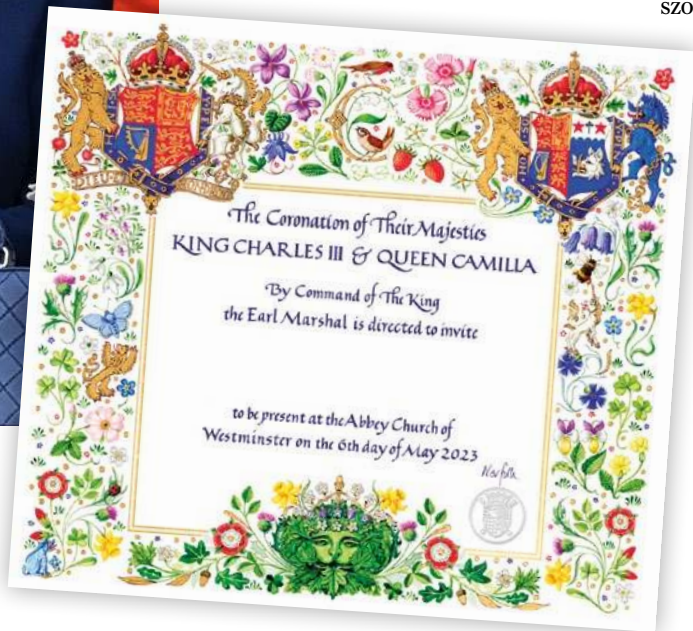
Faktem jest, że król Karol III świadomie zdecydował się na skromniejsze obchody niż w 1953 r. Ponad 8 tys. gości ze 129 krajów przybyło do opactwa westminsterskiego na koronację Elżbiety II,



w przypadku Karola liczba gości została ograniczona do 2 tys. Trasa przejazdu królewskiej pary przez Londyn także została skrócona – do 1,3 mili (2 km) w porównaniu z 5 milami (8 km) w 1953 r. Nie oznacza to oczywiście, że zabraknie atrybutów monarchii czy stosownej pompy. W uroczystej paradzie weźmie udział 6 tys. żołnierzy. W dniu koronacji zostaną także zorganizowane pokazy lotnicze z udziałem

60 jednostek należących do RAF i Royal Navy. W Hyde Parku i przy twierdzy Tower zostanie oddanych 21 salw armatnich. Król Karol wraz z małżonką Kamilią przejadą ulicami Londynu w dwóch karetach. Do opactwa westminsterskiego – w bardziej nowoczesnej, zbudowanej z fragmentów brytyjskich okrętów. Z kolei drogę powrotną do pałacu Buckingham koronowana para odbędzie w starszej pozłacanej karecie, po czym pojawi się na balkonie królewskiej rezydencji, by pozdrowić tłum poddanych.

Koronacja będzie krótsza od tej w 1953 r., która trwała ponad trzy godziny, za to festyn koronacyjny będzie trwał cały weekend. Muzyka obejmie nowy hymn autorstwa Andrew Lloyd Webbera oraz 11 innych utworów, zamówionych osobiście przez króla u światowej sławy brytyjskich kompozytorów, m.in. Patricka Doyle'a, który skomponował muzykę do filmów z Harrym Potterem. Wystąpią soliści, chóry i orkiestry, a nawet zespół gospel (po raz pierwszy w historii). Brytyjczycy mogą się także spodziewać plejady gwiazd – Elton John, autor piosenki o księżnej Dianie, nie będzie jednym



z nich, rzekomo źle znosi koronację Kamili. Na koncercie wystąpią za to m.in. Katy Perry, Lionel Richie, Andrea Bocelli, Freya Ridings oraz popularny w latach 90. boysband Take That. Możliwe, że pojawi się także Paul McCartney.

Jak pisze „The Guardian”, ma być radośnie, nowocześnie i różnorodnie, by odzwierciedlić niejednorodność Wielkiej Brytanii i jej mieszkańców. Stworzono nawet specjalny atrament pod nazwą New Royal Blue (Nowy Królewski Błękit), którego użyto do drukowania zaproszeń na koronację. Powstał także specjalny koronacyjny emoji. Koronacja królowej Elżbiety II była pierwszą transmitowaną w telewizji, koronacja Karola III jest pierwszą ery internetowej.

Wiele bezcennych regaliów używanych od stuleci będzie częścią koronacji, w tym pięć symbolicznych mieczy, dwa berła i szafirowy pierścion władcy z rubinowym krzyżem wysadzonym diamentami. Podczas uroczystej ceremonii prowadzonej przez Justina Welby'ego, arcybiskupa Canterbury, Karol zostanie ukoronowany koroną św. Edwarda, podziwianą co roku przez miliony ludzi w londyńskim Tower. Korona, która jest inspiracją dla emoji koronacyjnego, waży ponad 2 kg i jest wysadzana 400 klejnotami: rubinami, ametystami, szafirami, granatami, topazami i turmalinami, oraz posiada gronostajowy pasek. Była noszona przez Elżbietę II podczas jej koronacji i została przerobiona dla jej syna. Królowa małżonka założy na głowę platynowo-diaamentową koronę wykonaną na koronację królowej matki w 1937 r. W imię dekolonizacji usunięto z niej słynny diament Koh-i-Noor (Góra Światła), подарowany niegdyś królowej Wiktorii. Niektórzy twierdzą bowiem, że został skradziony Indiom i powinien tam wrócić, zamiast zdobić głowę kolejnego monarchy bądź jego małżonki. Koh-i-Noor został zastąpiony największym brylantem na świecie – południowoafrykańskim Cullinanem.

NICZYM BÓSTWA?

Król Karol, który uważa się za zaangażowanego aktywistę klimatycznego, zapewne nie chciałby nikogo urazić.

Wielokrotnie wyrażał żal z powodu ciemnych kart brytyjskiej, kolonialnej przeszłości. Ceremonia koronacyjna została zaplanowana z dbałością o wszelkie wrażliwości – kulturowe i religijne. Według brytyjskich mediów podczas

koronacji prawdopodobnie dojdzie w tym celu nawet do zmiany słów w przysiędze. Król zobowiąże się do bycia obrońcą wiary, ale według źródeł w pałacu Buckingham jest zaplanowane dodanie dalszych słów, które umożliwią królowi podkreślenie, że służy wszystkim religiom, których przedstawiciele będą zresztą obecni w opactwie westminsterskim. Ponadto wśród gości będą m.in. pierwsza dama USA Jill Biden, prezydent RP Andrzej Duda, szefowie Rady Europejskiej, Parlamentu Europejskiego oraz Komisji Europejskiej Charles Michel, Roberta Metsola i Ursula von der Leyen, przedstawiciele państw Wspólnoty Narodów, a także zagraniczni monarchowie: król Jordanii, sułtan Brunei, sułtan Omanu, książę Monako Albert wraz z małżonką oraz szwedzka rodzina królewska.

Tradycja nakazuje, by koronacja była świętą ceremonią między monarchą a jego ludem w obecności Boga. Tak było, jak podkreślają brytyjskie media, od zawsze. Dla Karola III nie jest to jednak najwyraźniej istotne. Mimo odejścia od tradycji i gotowości do „otwartości” – goście mają przyjąć w zwykłych garniturach, a setki dalekich krewnych nie otrzymało zaproszeń, by zrobić miejsce dla działaczy społecznych i wolontariuszy – liberalno-lewicowe media nie były w stanie wybaczyć nowemu monarsze religijnej ceremonii w chwili gdy, jak podkreślił „The Guardian”, większość obywateli to ateści. Papież Franciszek podarował na koronację Karola dwa małe fragmenty, które – jak się wierzy – pochodzą z krzyża, na którym umarł Jezus Chrystus. Zostały one umieszczone w nowym krzyżu Walii mającym prowadzić procesję koronacyjną. To dla niektórych zbyt duże nawiązanie do wiary i Boga. „Mamy się modlić, by kobieta, znana w przeszłości jako »Rottweiler«, stała się przykładem cnoty i pobożności. Skoro tak, to być może jest jeszcze nadzieja dla księcia Andrzeja” – czytamy na łamach gazety. Według „The Guardian” modlitwy przygotowane przez Kościół anglikański na koronację robią z Karola i Kamili niemalże bóstwa. „Tymczasem monarchia to dziś głównie przedsiębiorstwo rozrywkowe. A nie władza z Bożej łaski” – dodaje gazeta. Koronacja nie podoba się także

przeciwnikom monarchii, którzy chcą zakłócić ceremonię ubrani w żółte koszulki z napisem: „Nie mój król” (Not My King). Dołączy do nich premier Szkocji i lider Szkockiej Partii Narodowej Humza Yousaf, przekonany republikanin. Ale najpierw weźmie udział w koronacji, w końcu jako premierowi nie wypada mu odrzucić zaproszenia.

Obecna będzie także prawie cała rodzina królewska. Prawie, dwóch osób bowiem zabraknie: Meghan Markle, małżonka czarnej owcy rodu – księcia Harry’ego – zostanie w domu w Kalifornii z powodu czwartych urodzin ich syna Archiego. A Fergie, żona brata Karola, księcia Andrzeja, nie otrzymała zaproszenia, bo są

Król Karol III świadomie zdecydował się na skromniejsze obchody niż w 1953 r. Ponad 8 tys. gości ze 129 krajów przybyło do opactwa westminsterskiego na koronację Elżbiety II, w przypadku Karola liczba gości została ograniczona do 2 tys.

rozwiedzeni. Ceremonię będzie śledziła przed telewizorem, z – jak podkreśliła – filiżanką herbaty w ręku. Jej mąż, choć został pozbawiony wszelkich funkcji w rodzinie królewskiej po skandalu pedofilskim, wrócił co najmniej częściowo do łask. Książę Windsoru, wcześniej znany jako król Edward VIII, który abdykował w 1936 r. z powodu miłości do rozwódki Wallis Simpson, nie pojawił się na koronacji Elżbiety II po tym, jak premier Winston Churchill powiedział mu, że byłoby to niestosowne. Czasy się zdecydowanie zmieniły.

Brytyjskie media zresztą wolą spekulować na temat zbieżności urodzin dziecka Meghan i Harry’ego z datą koronacji. Czy dwór celowo zrobił na złość Meghan? Czy to ona robi mu ostatecznie na złość, hucznie obchodząc w ten dzień urodziny syna?

W końcu ma miliony followersów w mediach społecznościowych i może przyćmić Karola. W przeciągu kilku dni od ogłoszenia decyzji Meghan, że nie przybędzie na koronację do Londynu, w brytyjskiej prasie ukazało się na ten temat ponad 4 tys. artykułów. Może się wydawać, że gdyby nie scysje u Windsorów, między Williamem a Harrym czy skandal wokół kontaktów księcia Andrzeja z nieżyjącym już pedofilem Jeffreyem Epsteinem, zainteresowanie tą koronacją byłoby rzeczywiście słabe. A raczej mdłe, jak koronacyjne quiche.

MONARCHIA WIECZNIE ŻYWA

Ale może to niesprawiedliwe? Królowa Elżbieta II została koronowana 16 miesięcy po śmierci swojego ojca, Jerzego VI. To był moment, który dodał otuchy narodowi, tkwiącego wciąż w szponach powojennych oszczędności i racjonowania. Dawał nadzieję na lepsze jutro. Koronację śledziło wówczas w telewizji 27 mln widzów, a kolejne 11 mln słuchało jej w radiu. A na co daje nadzieję koronacja Karola III? Na „dobry deal”, jak określił to sam król, czyli koronację na miarę (kryzysowych) czasów oraz tańszą niż dotąd monarchię. Karol III nie ma dobrej prasy, konserwatywne media nie lubią go za jego lewicowe inklinacje, a te liberalne widzą w nim symbol skostniałej, zapyziałej instytucji, przeżytku, kojarzącego się z kolonializmem i imperializmem. Ale gdy koronacja w końcu się zacznie, miliony zapewne będą ją śledzić w telewizji czy internecie. Duże ekrany zostaną rozstawione w ponad 57 lokalizacjach w całej Wielkiej Brytanii, od Bournemouth po Belfast. Monarchia może traci na popularności, ale zdecydowanie nie tak szybko, jak chcieliby zwolennicy republiki. Pozostaje bowiem symbolem brytyjskości ze znaczącą miękką siłą na arenie międzynarodowej.

Po koronacji Elżbiety II brytyjski dziennikarz i polityk, członek Partii Pracy, minister w rządach Harolda Wilsona Richard Crossman zanotował w swoich pamiętnikach, że jedzenie było zimne i niedobre. Monarchia to jakoś wytrzymała. Wytrzyma także niedobry quiche oraz sygnalizację cnót (virtue signalling) nowego króla.

Tajwan

– wyspa ważniejsza niż inne

Wojna o Tajwan uruchomiłaby klocki niszczycielskiego domina na całym świecie: doprowadziłaby do przerwania najważniejszych szlaków handlowych łączących Azję z Europą i do globalnego kryzysu gospodarczego.

Ten, kto kontroluje sytuację w Azji Wschodniej, ma więc klucz do naszej przyszłości



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Prezydent Francji Emmanuel Macron podczas swojej kwietniowej wizyty w Pekinie ostrzegł przed wielkim ryzykiem, jakim jest według niego uwikłanie Europy w cudze kryzysy, które uniemożliwiają budowanie strategicznej autonomii naszego kontynentu. Chodziło mu oczywiście o coraz ostrzejszy spór chińsko-amerykański wokół Tajwanu.

Zdaniem Macrona Europa powinna trzymać się jak najdalej od tego sporu i rozwijać współpracę gospodarczą z Chinami, bo to pozwoli jej w przyszłości konkurować z Ameryką. Inaczej mówiąc, Macron, który deklaruje neutralność wobec ewentualnego konfliktu o Tajwan, staje w nim *de facto* po stronie Chin, bo podobnie jak Pekin

widzi głównego rywala w Ameryce. Nic dziwnego, że słowa Macrona, które zostały przyjęte z dużą satysfakcją przez chińskiego przywódcę Xi Jinpinga, wzbudziły zarazem ogromną irytację w Waszyngtonie.

Macron tragicznie się myli. Podporządkowanie Tajwanu to dla Pekinu coś więcej niż tylko władza nad niewielką wyspą, którą Chiny uważają za część swojego terytorium. Zmiana *status quo* na Tajwanie oznacza bowiem geopolityczną rewolucję nie tylko w Azji, lecz także na całym świecie. Tajwan leży na najważniejszym szlaku handlowym łączącym Daleki Wschód z Europą. Przerwanie tego szlaku lub przejście nad nim kontroli przez Chiny oznacza uzależnienie gospodarki japońskiej, południowokoreańskiej i europejskiej od kaprysów Pekinu. Umożliwia także Chinom szerokie wyjście na Pacyfik. W ten sposób Pekin uzyska dźwignię, dzięki której będzie mógł wpływać na procesy gospodarcze i polityczne na całym świecie.

W przeciwieństwie do Macrona, który najwyraźniej gotów jest sam so-

bie założyć chińską pętlę na szyi, doskonale rozumieją to Amerykanie oraz ich dalekowschodni sojusznicy: Korea Południowa i Japonia. Stawkę, o którą toczy się gra, świetnie zna także Pekin.

Spór o Tajwan to tak naprawdę kolejne – obok Ukrainy i Bliskiego Wschodu – starcie w globalnym konflikcie, od którego rezultatu będzie zależeć najbliższa przyszłość świata. W tym również Francji i całej Europy. I nie jest, niestety, wykluczone, że ten spór przekształci się w pewnego dnia w wojnę. Wypowiedzi Macrona, który szuka zagrożenia w Ameryce, jedynie przybliżają ten moment, bo zachęcają Pekin do eskalacji. „Dzisiejsza Ukraina może być jutrzejszą Azją Wschodnią” – ostrzegł niedawno premier Japonii Fumio Kishida. I nie są to ostrzeżenia na wyrost.

KONFLIKT O WSZYSTKO

W 2019 r., podczas obchodów 70-lecia Chińskiej Republiki Ludowej, Xi Jinping zapewnił, że setna rocznica rządów partii komunistycznej będzie już

obchodzona w całych, zjednoczonych Chinach. Oznaczało to, że strategicznym celem Pekinu jest przyłączenie Tajwanu najdalej do 2049 r. Ostatnio jednak ten termin został przyspieszony. Xi zażądał, by armia chińska była w pełni gotowa do inwazji na wyspę już w 2027 r.

W tej chwili trwają zakrojone na dużą skalę przygotowania do osiągnięcia przez armię stanu gotowości. Trwa rozbudowa floty, zwłaszcza desantowej, na chińskim wybrzeżu Cieśniny Tajwańskiej powstają stanowiska artylerii rakietowej i wyrzutnie pocisków, buduje się także schrony oraz gromadzi zapasy żywności i amunicji. Zdaniem niektórych amerykańskich dowódców Chiny będą gotowe do rozpoczęcia operacji znacznie wcześniej niż za cztery lata – mówi się nawet o 2025 r.

Oficjalnie Tajwan jest uważany przez Chiny za zbuntowaną prowincję, która podobnie jak wcześniej Hongkong i Makau musi wrócić pod władzę Pekinu. Jeśli nie dobrowolnie, to pod przymusem. Władze komunistyczne tyle razy zapowiadały zjednoczenie z wyspą, że dziś przejęcie kontroli nad Tajwanem jest już dla Pekinu sprawą prestiżu i wiarygodności w oczach własnego społeczeństwa.

To trochę tak jak z Rosją i Ukrainą, gdzie jakiegokolwiek ustępstwa Moskwy byłyby oznaką słabości Kremla grożącą upadkiem reżimu. Za dużo zostało bowiem powiedziane i nie sposób się z tego wycofać bez poważnych konsekwencji. Dlatego Pekin, który podobnie jak Moskwa na Ukrainie uruchomił nacjonalistyczne wrzenie we własnym kraju, nie zamierza robić żadnego kroku wstecz.

Podobieństw z Rosją jest zresztą więcej. Partnerstwo strategiczne Moskwy i Pekinu polega na tym, że oba reżimy rzuciły skoordynowane wyzwanie światu zachodniemu, nawet jeżeli niektórzy przedstawiciele Zachodu – czego przykładem jest choćby Macron – nie chcą tego przyjąć do wiadomości. Moskwa, uderzając na Ukrainę, oraz Pekin, szykując się do inwazji na Tajwan, chcą całkowitej przebudowy dotychczasowego porządku na świecie

i zmarginalizowania roli Stanów Zjednoczonych. To dlatego Xi nawołuje Europę do porzucenia Ameryki i do „strategicznej autonomii”, co tak chętnie podchwycił Macron. Tyle że Europa bez Ameryki jest wystawiona na łaskę i niełaskę autorytarnych reżimów, w pierwszej kolejności moskiewskiego (bo jest bliżej), a w drugiej – pekińskiego (bo mającego duży wpływ na światową gospodarkę).

Jeżeli więc Ameryka nie chce spaść do roli podrzędnego regionalnego mocarstwa, to musi stawić czoła zagrożeniu ze strony Chin i Rosji. Największy problem w tym, że to oznacza działanie na dwa fronty – w Azji i w Europie – co jest dużym wyzwaniem. Jednak wycofanie się z któregośkolwiek z nich prowadzi

Firma TSMC, która odpowiada za 90 proc. światowej produkcji zaawansowanych układów scalonych, jest strategicznym zasobem Tajwanu, dla którego Ameryka jest gotowa bronić wyspy

do porażki w całym konflikcie, bo nie da się odgrywać przywódczej roli, dzieląc się z rywalami kontrolą nad strategicznymi i najbardziej rozwiniętymi obszarami świata. Można to przyrównać do prowadzenia samochodu, nie wystarczy kierownica, by panować nad autem. Jeśli ktoś inny naciska gaz i hamulce, to nie zajedziemy do celu.

Dla Ameryki jest to więc również konflikt o wszystko.

WIECZNIE ZBUNTOWANA

Strategiczne znaczenie Tajwanu odkryli w XVII w. Holendrzy, którzy po nieudanych próbach zbudowania przyczółków handlowych na wybrzeżu Chin, założyli na wyspie bazę dla swojej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Dzięki temu kontrolowali główne szlaki morskie prowadzące do Chin, czerpiąc z tego duże zyski. Rozwinięty handel przyczynił się do imigracji na wyspę chińskich kupców, którzy zaczęli wypierać rdzenną ludność austronezyjską (spokrewnioną m.in. z mieszkańcami wysp na Pacyfiku, Filipin i Malajów).

W tym samym stuleciu Tajwan stał się schronieniem dla przeciwników mandzurskiej dynastii Qing, która właśnie objęła władzę na kontynencie. Niedobitki poprzedniej dynastii Ming pozbyli się z wyspy Holendrów i utworzyli na Tajwanie własne królestwo. Trudno nie dostrzec w tych wydarzeniach analogii do czasów współczesnych, gdy w 1949 r. na opuszczony przez Japończyków Tajwan ewakuowały się wojska Kuomintangu, tworząc na wyspie niezależne od komunistycznego Pekinu państwo.

W XVII w. cesarz – podobnie jak dzisiaj Xi – nie zamierzał tolerować zbuntowanego królestwa w pobliżu Chin. W 1683 r. wojska cesarskie dokonały udanej inwazji na Tajwan i przyłączyły wyspę do Chin. Wtedy też wyspę masowo zasiedliła ludność chińska.

Oslabienie cesarstwa w XIX w. doprowadziło do utraty Tajwanu – najpierw ponownie powstało tam autonomiczne państwo, a w 1895 r. – po zwycięskiej wojnie z Chinami – wyspę zajęli Japończycy, którzy utworzyli na niej prowincję znaną światu pod nazwą Formoza. Panowanie japońskie, które skończyło się wraz z klęską Tokio w II wojnie światowej, było brutalne, ale zarazem przyniosło Tajwanowi cywilizacyjny skok. Rozbudowano m.in. przemysł i transport oraz stworzono powszechny system szkolnictwa z obowiązkową dziewięcioletnią edukacją. To były atuty, które w późniejszym czasie ułatwiły technologiczną rewolucję na wyspie.

Zanim to tego doszło Tajwan, który w 1943 r. został formalnie uznany przez aliantów za część Chin, znów – tak jak w XVII w. – stał się schronem dla uciekinierów z kontynentu. Tym razem były to wojska nacjonalistycznego Kuomin-

tangu, które ewakuowały się na wyspę po klęsce zadanej im przez komunistów Mao Zedonga.

Stojący na czele Kuomintangu Czang Kaj-szek nigdy nie uznał odrębności Tajwanu i nigdy nie proklamował tu niezależnego państwa. Republika Chin – bo pod taką nazwą występują władze na Tajwanie – była ostatnim przyczółkiem dawnego reżimu, który nieustannie dążył do powrotu na kontynent. Przez wiele lat Czang snuł plany inwazji na Chiny. Nigdy do nich nie doszło, bo Amerykanie zobowiązali się jedynie do pomocy Czangowi w przypadku napaści komunistów na wyspę, a nie do rekonkwisty na kontynencie. Biały Dom uznał *status quo*, który zrodził się po zwycięstwie Mao Zedonga w 1949 r. i nie zamierzał iść dalej, zwłaszcza że od 1964 r. Pekin dysponował bronią nuklearną.

Po śmierci Czanga w 1975 r. Tajwan stopniowo przestawał być wojskową twierdzą, zamieniając się w wielki park technologiczny i centrum azjatyckiego biznesu. Ułatwiła to także polityka Pekinu, który po zliberalizowaniu gospodarki przez Deng Xiaopinga nawiązał ścisłą współpracę gospodarczą z wyspą i za jej pośrednictwem pozyskiwał zamówienia przemysłowe oraz nowoczesną technologię. W ten sposób Tajwan znów stał się handlową bramą do Chin i Azji Wschodniej.

Hossa zmieniła wyspę nie tylko gospodarczo, lecz także politycznie. Pochłonięci zarabianiem pieniędzy mieszkańcy Tajwanu stracili jakąkolwiek chęć do zjednoczenia z komunistycznymi Chinami, zwłaszcza po tym jak Pekin spacyfikował Hongkong. A rządy na wyspie objęła partia domagająca się ogłoszenia niepodległości, co wzbudziło trwającą do dziś wściekłość w Pekinie.

PÓŁPRZEWODNIKI

Główną specjalnością tajwańskiej gospodarki stał się w ostatnich dwóch dekadach XX w. przemysł elektroniczny. Tajwan potrafił wykorzystać boom technologiczny i zbudować sobie silną markę na dziewiczym wówczas rynku.

Globalizacja, która rozkwitła po końcu zimnej wojny, mocno wpięła tajwański przemysł w światowy łańcuch dostaw podzespołów niezbędnych w elektronice. Dzięki temu Tajwan stał się światowym liderem w produkcji półprzewodników. Według uproszczonego schematu półprzewodniki są projektowane w Stanach Zjednoczonych, produkowane w Azji (przede wszystkim na Tajwanie, a także w Chinach czy w Korei Południowej), a maszyny

Xi zażądał, by armia chińska była przygotowana do inwazji na wyspę w 2027 r. Zdaniem niektórych amerykańskich dowódców Chiny będą gotowe do ataku wcześniej – mówi się nawet o 2025 r.

do ich wytwarzania – w Holandii. Mamy tu więc wyraźny podział pracy, przy czym Chiny, które inwestują gigantyczne środki w rozwój branży własnych układów scalonych, są ciągle mocno zapóźnione technologicznie w stosunku do Stanów Zjednoczonych. Zdaniem niektórych ekspertów luka technologiczna może sięgać nawet 30 lat, ale w ostatnim czasie Chiny skracają dystans.

Półprzewodniki są sercem każdej elektroniki. Począwszy od tej mniej zaawansowanej, użytkowej, takiej jak smartfony, lodówki czy laptopy, kończąc na skomplikowanych superkomputerach, autonomicznych samochodach i nowoczesnej broni. Gdyby nagle ich zabrakło, świat mógłby stanąć w miejscu. I to niekiedy w dosłownym sensie. Dlatego ten, kto ma dostęp do tej technologii, ma również klucz do gospodarczej przewagi nad konkurencją.

Tajwańska firma TSMC, która według szacunków odpowiada za 90 proc. światowej produkcji zaawansowanych

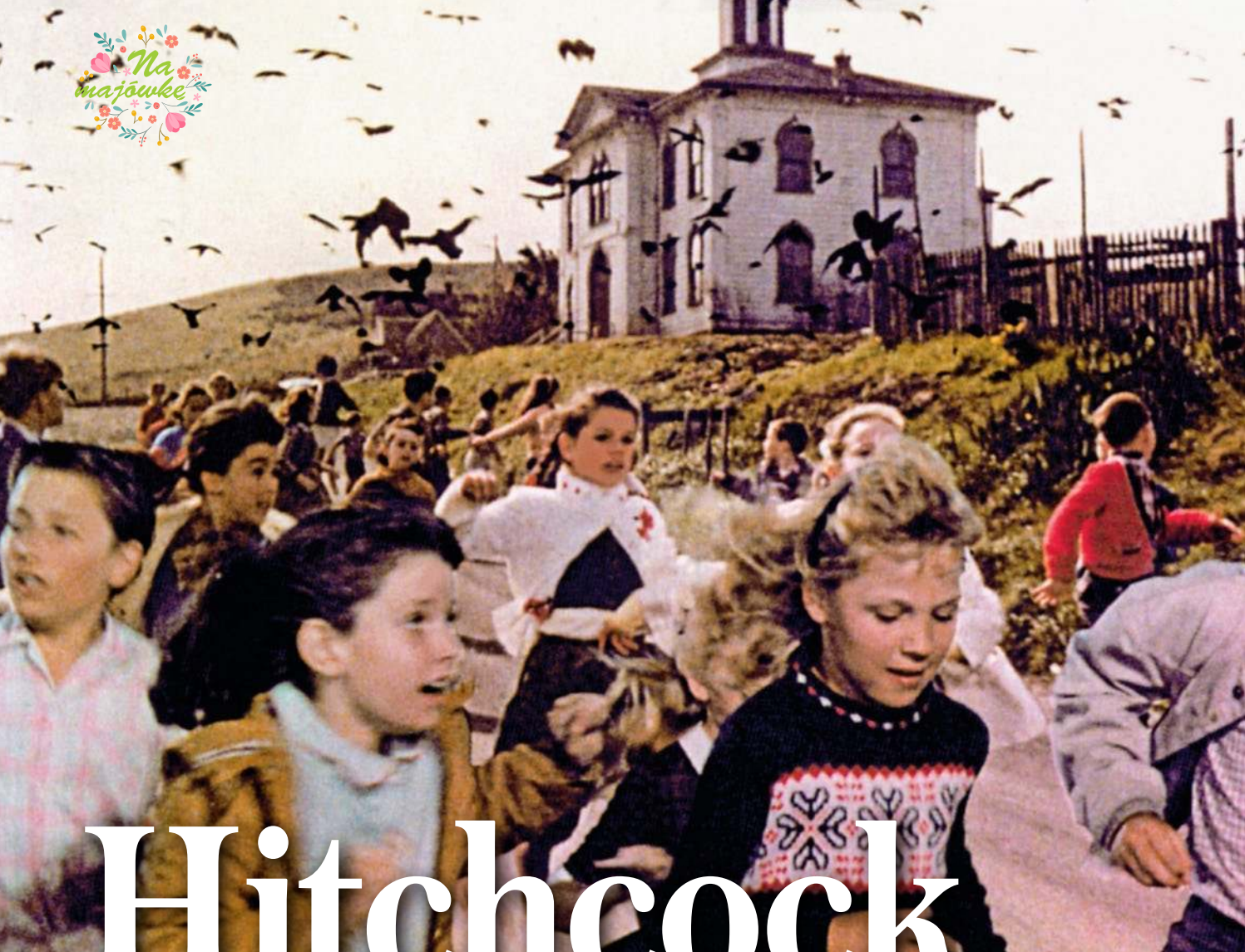
układów scalonych, zyskała na wyspie miano głównego obrońcy kraju. Bo to właśnie TSMC jest dzisiaj najbardziej strategicznym zasobem Tajwanu, dla którego Ameryka jest gotowa bronić wyspy. Gdyby fabryka została zniszczona podczas inwazji Chin lub wpadła w ręce Pekinu, gospodarka zachodnia pogrążyłaby się w kryzysie i potrzebowalaby wielu lat, by odtworzyć obecne moce produkcyjne.

Chińska inwazja na Tajwan lub choćby tylko eskalacja zbrojna wokół wyspy byłyby także uderzeniem w gospodarkę Japonii i Korei Południowej. Ażeby to zrozumieć, wystarczy spojrzeć na mapę. Morskie szlaki wychodzące z tych państw w kierunku Europy, na których opiera się duża część ich wymiany handlowej, przebiegają w pobliżu Tajwanu. Ich zamknięcie mogłoby doprowadzić do częściowej blokady Japonii i Korei, zwłaszcza że akweny od północnej strony kontroluje Moskwa.

Jednocześnie na wojnie bardzo ucierpiałby chiński handel morski, dlatego Xi wyszedł w 2013 r. z Inicjatywą Pasa i Szlaku, która jest próbą przeniesienia handlu z Europą na ląd (m.in. przez Kazachstan, Rosję, w kierunku Polski i Bałtyku). Na razie ten szlak nie jest konkurencyjny dla transportu morskiego z powodu niskiej przepustowości. Dodatkowym utrudnieniem jest jeszcze wojna na Ukrainie, co może tłumaczyć dążenia Pekinu do jak najszybszego zamrożenia tego konfliktu.

Chiński plan pokojowy dla Ukrainy jest więc *de facto* pomysłem na udrożnienie handlu drogą lądową, co mogłoby w przyszłości zneutralizować skutki potencjalnej inwazji na Tajwan. Xi chciałby bowiem zjeść ciastko (czyli Tajwan) i mieć ciastko (czyli utrzymać szlaki handlowe z Europą i światem).

Czy ten plan mu się uda, zależy będzie od wielu czynników. Przede wszystkim od wyeliminowania Stanów Zjednoczonych – militarnego lub dyplomatycznego. Na razie są niestety na Zachodzie tacy – jak wspomniany Emmanuel Macron – którzy są gotowi pomóc Pekinowi w tym trudnym zadaniu.



Hitchcock tego nie zmyślił

Hasło „Ptaki” mimo upływu lat wciąż wielu ludziom kojarzy się nie z fascynującymi obserwacjami ornitologicznymi, pięknie śpiewającym domowym kanarkiem, kurami znoszącymi jajka w kurniku czy wróblami i sikorkami przylatującymi do karmnika, ale z dreszczowcem mistrza suspense Alfreda Hitchcocka, który swoje filmowe arcydzieło stworzył 60 lat temu



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Na początek zadajmy sobie dwa pytania. Czy ptaki rzeczywiście mogą zaatakować ludzi? Tak, zoologia zna przypadki drapieżnych ptaków, dla których ludzie byli zdobyczą. I drugie pytanie: czy historia z filmu wydarzyła się naprawdę? Tak, podobne niepokojące wydarzenia miały miejsce.

ORZEŁ HAASTA

Lęk przed byciem zaatakowanym przez ptaki ma swoje realne podstawy, a ludzie w swojej historii spotykali się z ptakami, które niewątpliwie miały możliwości, by upolować człowieka. Niektóre znaleziska mogą potwierdzać, że była to nie tylko teoretyczna możliwość.



Maoryskie opowieści mówią o ptaku, który polował na ludzi. Ptak, który istotnie mógłby być ich bohaterem – i prawdopodobnie dał początek opowieściom, które być może wcale nie są legendami, lecz po prostu relacjami autentycznych sytuacji – istniał naprawdę. Nie jest to gatunek prehistoryczny. Stosunkowo niedawno, bo do mniej więcej 1400 r. na Nowej Zelandii żył orzeł Haasta (*Hieraaetus moorei*). Był to najpotężniejszy ze znanych nauce orłów. Dorastał do 15 kg masy ciała, a więc dwa razy więcej niż jakikolwiek z żyjących obecnie gatunków. Wysokość siedzącego ptaka dochodziła do 90 cm, rozpiętość skrzydeł do 3 m – przy tak dużej masie ptaka trzymetrowe skrzydła mogłyby być dłuższe, jednak dzięki takiej ich długości połączonej z dużą szerokością orzeł Haasta był niezwykle zwrotny i zdolny do polowania również w leśnej gęstwinie. Jak wiadomo z obserwacji ptaków o podobnej budowie, specjalnością tego ptaka był zapewne błyskawiczny atak z zaskoczenia, dokonywany z bliskiej odległości. Jego podstawową zdobyczą były nietolne moa, obecnie również wymarłe, strusiopodobne olbrzymy dorastające do 230 kg masy ciała.

Spśród gatunków żyjących obecnie orla Haasta można porównać np. do południowoamerykańskiej harpii, której ulubioną zdobyczą są małpy. Ogólny plan budowy potężnego i niezwykle silnego ptaka drapieżnego jest w obu przypadkach podobny, z powtórzeniem zastrzeżenia, że orzeł Haasta przewyższał harpię masą mniej więcej dwukrotnie. Oprócz masywnego dzioba jego bronią były niesamowicie silne łapy ze szponami, z których najdłuższe miały ok. 11 cm długości. To nie były delikatne nóżki, jakich obraz pojawia się przed oczyma, gdy myślimy o ptakach. Po uderzeniu na zdobycz łapy takie bez problemu miażdżyły czaszki ofiar lub przeszywały je pazurami, przebijając mózg – w ten właśnie sposób zabija swoją zdobycz część współczesnych orłów.

DAPHNE Z KORNWALII

„Ptaki” Hitchcocka, pozostając przy układzie, w którym ptak jest napastnikiem a człowiek ofiarą, odwołują się do jeszcze kolejnego motywu czy też tkwiącego

w ludziach lęku. Sytuacji, w której natura nagle zmienia się w sposób dla nas niezrozumiały, wylamuje się z ram, które – wydawało się nam – wytyczyliśmy dla niej nauką i badaniami. Wylamuje się i postanawia nas zniszczyć. Nie wiadomo zresztą, co w tym scenariuszu byłoby gorszym wariantem: to, że natura chce nas zniszczyć, a więc założenie pewnej celowości czy nawet działania nacechowanego negatywnymi emocjami i uczuciami, np. zemstą za zaburzanie równowagi w przyrodzie, czy to, że działania przyrody są pozbawione aspektu, do którego można by zastosować określenia „chce” czy „nienawidzi”. Byłby to po prostu mechanizm, który po uruchomieniu unicestwia ludzi całkowicie bezrefleksyjnie – i nic nie mogą na to poradzić.

Hitchcock oparł scenariusz swojego filmu na opowiadaniu „Ptaki” Daphne du Maurier. Nie był to zresztą jedyny jej tekst, który zainspirował Hitchcocka. W 1939 r. nakręcił „Oberżę Jamajka”, a w 1940 r. „Rebekę”, których scenariusze były oparte na jej tekstach. Żaden z tych filmów nie osiągnął jednak takiej popularności jak powstałe w 1963 r. „Ptaki”.

„Ptaki” du Maurier są nieco inne od filmu, nie tak hollywoodzkie. Oryginał angielskiej pisarki, która urodziła się w Londynie, lecz większość życia

spędziła nad morskimi klifami Kornwalii, jest mniej dynamiczny, jednak zdecydowanie niepokojący.

Może to właśnie jest różnica między opowiadaniem a filmem – filmu widzowie się boją (a przynajmniej bali się kiedyś, dziś można obejrzeć go z różnych przyczyn, ale raczej nie po to, żeby poczuć dreszcz strachu). Opowiadanie z kolei jest właśnie niepokojące: od pogody i dziwnego, zimnego wschodniego wiatru, przez szare niebo, morze, komunikaty radiowe i świat, w którym od żywiołu człowieka dzielą tylko drewniane ściany chaty i zabite deskami okna, mające powstrzymać atak. Nie wpędza w panikę, lecz pozostawia tkwiący gdzieś, nie do końca sprecyzowany niepokój.

Trzeba jednak przyznać, że hollywoodzkość Hitchcocka jest atutem, daleka jest od przesady, a film jest pewnie lepszy, niż gdyby był wiernym odtworzeniem książki. Za sprawą Hitchcocka dostaliśmy nową wartość. Warto więc zarówno przeczytać opowiadanie, jak i obejrzeć film.

OBSESJA ALFREDA

Hitchcock, który sam pochodził z Anglii, lecz film kręcił już po



przeprowadzce do USA, przeniósł akcję „Ptaków” do małego miasteczka Bodega Bay, istniejącego naprawdę i położonego w północnej części stanu Kalifornia, w hrabstwie Sonoma, nad brzegiem Pacyfiku.

Akcja opowiadania rozgrywa się z kolei w Anglii. Głównym bohaterem jest inwalida wojenny Nat Hocken. Pracuje na pobliskiej farmie, lecz – jak zaznaczono w książce – tylko trzy dni w tygodniu, ponieważ zasadniczo żyje z renty (nawiasem mówiąc, w czasach pracy zdalnej i redukcji dni roboczych przypadków człowieka, który będąc inwalidą wojennym, pracuje „tylko” trzy dni w tygodniu na farmie, zwraca uwagę). Nat ma żonę i dwoje dzieci. Mieszkają w drewnianej chacie oświetlanej świecami, nie mają samochodu, ważnym elementem jest radioodbiornik i pora słuchania wiadomości – chociaż dla Nata źródłem wiedzy w dużej mierze jest obserwacja przyrody. Najbardziej lubi obserwować ptaki.

W opowiadaniu nie ma więc przystojnego, dzielnego prawnika Mitcha Brennera (Rod Taylor), ani blondwłosej Melanie Daniels (Nathalie Kay „Tippi” Hedren). Nie ma bogatej Ameryki, tylko ścięta niezwykajnie zimnym, wschodnim wiatrem Anglia z ciągle żywymi wspomnieniami wojny.

Hedren stała się podobno obsesją Hitchcocka. Włączał ją do pracy nad filmem, chciał, by stała się gwiazdą – filmową, a także jego własną, obserwował ją i kontrolował. Praca przy „Ptakach” doprowadziła aktorkę na skraj załamania psychicznego. Po kilku dniach kręcenia sceny ataku – do którego użyto żywych ptaków (według Roda Taylora dodatkowo pojoyonych alkoholem), kiedy jeden z dziobów minimalnie tylko minął oko, rozorywując powiekę, Hedren była w takim stanie, że lekarz zarządził obowiązkową tygodniową przerwę, bojąc się nie tylko o zdrowie, lecz także życie aktorki. Chociaż więc film powstał 60 lat temu, inaczej ogląda się go ze świadomością, że w niektórych momentach mamy do czynienia nie z efektami komputerowymi, ale ze scenami, w których nikt nie udawał: ani oszalałe ptaki, ani ludzie, którzy znaleźli się w sytuacjach niemal granicznych.

PRAWDZIWA HISTORIA

„Cisnął nieprzydatną motykę i zerwał się do biegu, osłaniając głowę rękami. Wciąż nurkowały na niego z powietrza, nie wydając żadnego dźwięku. Nat słyszał tylko potworny trzepot skrzydeł. Na dłoniach, ramionach i karku czuł spływającą krew. Ciosy dziobów rozrywały mu ciało. Najważniejsze to chronić oczy. Nic innego się nie liczyło. Za wszelką cenę trzeba osłaniać oczy. Mewy jeszcze się nie nauczyły siadać na ramionach, zdzierać ubranie ani zespolować głowę. Z każdą chwilą



**Lęk przed byciem
zaatakowanym przez ptaki
ma swoje realne podstawy,
a ludzie w swojej historii
spotykali się z ptakami, które
niewątpliwie miały możliwości,
by upolować człowieka**

stawały się jednak coraz śmielsze, lecz w ogóle nie myślały o sobie – w czasie chaotycznych ataków zderzały się w powietrzu i z połamanyymi skrzydłami spadały na ziemię”.

Prawdziwe uderzenie ptasich kamikadze miało miejsce w sierpniu 1961 r. w kalifornijskiej Capitoli. Jak donosiły gazety, tysiące ptaków rzuciło się na miasteczko, w samobójczych atakach rozbijając się o domy i samochody. Sceny jak z horroru były inspiracją dla Hitchcocka – jego film powstał dwa lata później. Wiadomo, że reżyser bardzo interesował się wydarzeniem, pozyskując informacje od świadków i lokalnej prasy.

Przyczyny zdarzenia udało się wyjaśnić dopiero po 25 latach. Atak był tym bardziej zaskakujący, że przypuścili go przede wszystkim burzyki – morskie ptaki spędzające całe życie w locie nad

falami i żywiące się tym, co wylowią z morza lub podniosą z jego powierzchni. Łąd nie jest ich żywiołem i odwiedzają go tylko podczas lęgów, wybierając skaliste wyspy i strome, niedostępne wybrzeża. Według przyjętej wersji ptaki zatruty się kwasem domoikowym, neurotoksyną wytwarzaną przez algi i akumulującą się

w mięczakach i innych organizmach morskich. Jednym z objawów tego ciężkiego zatrucia są zaburzenia lub utrata pamięci i dezorientacja. Nie do końca wyjaśnienia to jednak pojawienie się morskich ptaków w głębi łąd, akurat w mieście.

Zastanowienie budzi także masowość zjawiska – poza sezonem lęgowym burzyki bytują i żerują raczej samotnie – chociaż teoretycznie duże nagromadzenie pokarmu mogłoby przyciągnąć w jedno miejsce więcej osobników.

Żeby uzasadnić nagły nalot tysięcy ptaków zatruciem, trzeba by więc założyć współistnienie jeszcze innych okoliczności. Nie tylko to zresztą skłania do zastanowienia. Atak ptaków w Capitoli wydarzył się – jak wspomniano – w 1961 r. Film powstał w 1963 r. Co zaskakujące, opowiadanie wyprzedziło nie tylko powstanie filmu – co jest oczywiste, było bowiem podstawą scenariusza, ale ukazało się dziewięć lat przed prawdziwymi zdarzeniami z Kalifornii.

Zaskakujące i niepokojące. Czy bowiem bliższe prawdy jest sformułowane dopiero po ćwierćwieczu wyjaśnienie naukowe, zamykające sprawę stwierdzeniem o zatruciu, czy cytat kończący opowiadanie, jakby przepowiadający istnienie w naturze sił i popędów, które choć uśpione, wcześniej czy później budzą się, rządzone prawami, o których nie mamy pojęcia? „Przysłuchując się odgłosom drewna rozłupywanego w drzazgi, Nat próbował odgadnąć, co te małe mózdzki za ostrymi dziobami i świrdrującymi oczkami zmagazynowały w swojej pamięci przez miliony lat, że obecnie instynkt każe ptakom niszczyć ludzkość tak sprawnie i dokładnie, jakby to robiły automaty” – napisała Daphne du Maurier.



Fot. Materiały prasowe

Polska Fundacja Narodowa, która od lat wspiera polską kinematografię i jest mecenasem wielu produkcji filmowych, zaangażowała się w promocję oraz dystrybucję filmu w kraju i za granicą.

Obraz opowiada historię chłopaka, tytułowego Filipa, który po tym, jak w okupowanej Polsce stracił rodzinę, znalazł zatrudnienie w luksusowej restauracji hotelowej w III Rzeszy. Bohater, ukrywając żydowskie pochodzenie, buduje swój własny świat pełny wygód, przyjaciół i kobiet, jednak zbliżająca się ku końcowi II wojna światowa odciska coraz większe piętno na misternie budowanej rzeczywistości.

– Film produkcji TVP „Filip” to unikająca sztampy opowieść o kontestacji szaleństwa II wojny światowej. W zestawieniu z bardziej tradycyjnymi fabułami dotyczącymi tematu w tej produkcji mamy do czynienia z nieoczywistym przeciwstawianiem się wojennej tragedii z pragnieniem zachowania życia i świadomością funkcjonowania w sytuacji nienormalności. Polska Fundacja Narodowa wspiera polską kinematografię, zarówno filmy fabularne, jak i dokumentalne o polskiej historii. W przypadku „Filipa” mamy do czynienia z produkcją, którą powinien poznać zagraniczny widz właśnie ze względu na uniwersalność przekazu i zekranizowanie pięknej

„Filip”

*3 marca odbyła się
premiera filmu „Filip”
w reżyserii Michała
Kwiecińskiego, którego
scenariusz powstał
na podstawie powieści
Leopolda Tyrmanda
o tym samym tytule*

prozy Tyrmanda – powiedział dr Marcin Zarzecki, prezes Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

W 2022 r. film został nagrodzony Srebrnymi Lwami na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Nagrody indywidualne w czasie festiwalu otrzymali również: za zdjęcia Michał Sobociński, za charakteryzację Dariusz Krysiak, a za rolę tytułowego Filipa Nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego otrzymał Eryk Kulm jr.

We współczesnym społeczeństwie dominują komunikaty audiowizualne, a zatem obrazy – dzieła filmowe stanowią główne narzędzie komunikacji tematów trudnych, złożonych i wielowątkowych, a taka jest właśnie nowa produkcja Telewizji Polskiej.

– Polska Fundacja Narodowa intensywnie realizuje zróżnicowane spektrum działań zgodnie ze swoją misją, którą jest podtrzymywanie polskiej pamięci zbiorowej. Opowiadając o polskiej historii i do-

świadczeniach II wojny światowej, zaangażowaliśmy się w krajową i zagraniczną dystrybucję filmu, dzięki czemu dotrze on do szerokiego grona odbiorców w Polsce i na całym świecie – powiedział Michał Góras, wiceprezes Polskiej Fundacji Narodowej.

Kolejny film, w którym wraz z WFDiF oraz TVP partycypuje PFN, dostarczy silnych emocji, wzruszeń i wrażeń, pozostawiając w odbiorcach refleksję nad złożonością ludzkiego życia. 

Zabawy z ogniem



Pogoda ma być piękna. Więc czas ruszyć w plener. Spacer, jazda na rowerze, wyprawa do lasu, a potem wygrzewanie się na pierwszym ciepłym słońcu.

Ale w końcu trzeba coś wrzucić na ruszt

Jeśli sądzisz, że grillowanie to wynalazek naszych czasów, grubo się mylisz. Zanim ludzie wynaleźli gliniane garnki, też przecież jadali pieczone mięso. Tyle tylko, że nie układali go na żeliwnych rusztach, lecz nadziewali na patyki albo kły mamuta. Tak więc tradycja siedzenia przy ognisku i pieczenia w nim różnych stworzeń, które nie zdążyły w porę uciec, jest prastarym obyczajem. Muzykowanie i śpiewanie przy ogniu też. Z tą różnicą, że w dawnych czasach zamiast węgla drzewnego płonęło prawdziwe drewno. W domach zresztą przez całe stulecia płonęły ogniska, a garnki albo w nich zakopywano, albo wieszano nad płomieniami.

Jedną z zasług Leonarda da Vinci jest wynalezienie oprócz maszyny latającej czy wozu bojowego wyposażonego w armaty miotające kamienie prototypu grilla czy wędzarni. Choć uczestniczył w ucztach tak wykwintnych, że przeszły do historii, sam jadł prosto, mało mięsa, wino mieszał z wodą. Gdy był starszy, podobno przestał je jeść w ogóle – uważał, że natura stworzyła tyle innej smacznej żywności, że nie jest to konieczne. Można nasycić się serami, jajami (kupował, chociaż ubolewał, że nie wylęgną się z nich pisklęta), melonami, winogronami, chlebem, maślanką – lista takich zakupów zachowała się w notatkach mistrza. Poza tym ten wielki wynalazca i humanista nie chciał ze swojego ciała robić grobowca dla innych stworzeń. Jego ulubiony sos ziołowy z pewnością przyda się wszystkim, którzy zamierzają uczcić majówkę wielką imprezą na powietrzu.

Trzeba w słoiku wymieszać drobno posiekaną dużą natkę pietruszki (10 części), z kilkoma posiekаныmi listkami mięty (1 część) i tymianku (1 część), dodać oliwę z octem, posolić i popieprzyć do smaku, słoik zakręcić i potrząsać nim kilka

sekund, żeby wszystko się wymieszało. Ja dodałabym jeszcze ząbek czosnku, a potem polewałabym wszystko tą miksturą – od liści różnych salatek, przez mięsa, zwłaszcza rybie, po sery.

WRZUĆ NA RUSZT

Dzisiaj rozpalenie zdrowego grilla to prawdziwa sztuka. Ma być nie tylko smacznie, lecz także zdrowo. Warto unikać chemicznych podpałek, a jeśli inaczej nie potrafimy rozpalić ognia, stosujemy je tylko wtedy, gdy nie pieczemy jedzenia, żeby nie miało do czynienia z toksycznymi oparami. Dowcipniśmów, którzy chcieliby przyspieszyć sprawę i włączyć do ogniska czy grilla naftę, należy natychmiast odgonić. Piec najlepiej na specjalnych tackach lub zawijać smakołyki w folię aluminiową i pilnować, żeby wytapiany z mięsa czy kielbas tłuszcz nie płonął, a tłuste sadze nie oklejały jedzenia, bo są dla nas niezdrowe. Oczywiście nie położyć nikogo trupem od razu w czasie biesiady, ale podtruwać nas po trochu, a szkodliwe są zwłaszcza dla wątroby i trzustki, które i tak będą miały co robić.

Specjaliści zalecają, żeby grill rozpalać co najmniej pół godziny przed przyrządzaniem jedzenia – musi się dobrze rozgrzać i wypalić, żeby powstał żar – dopiero wtedy można ustawiać nad nim ruszty. I to nie za nisko – grillowanie ma się odbywać powoli.

PRZYGOTUJ WCZEŚNIEJ

Zresztą zabawę w grillowanie warto zacząć wcześniej, najlepiej dzień przed imprezą, zwłaszcza jeśli goście są fanami mięsa. Dobrze jest je bowiem wcześniej zamarynować – w pachnącej oliwie z czosnkiem czy ziołach. Tych warto używać jak najwięcej – tymianek, rozmaryn, majeranek nie

tylko dają wspaniały zapach, lecz także pomagają strawić to, co upiekliśmy (a warto pamiętać, że na świeżym powietrzu zazwyczaj mamy wilcze apetyty i zjadamy znacznie więcej, niż dalibyśmy radę, siedząc w domu przy stole). Natarte solą z przyprawami i oliwą kawałki powinny poleżeć przez noc w lodówce, żeby przejść aromatami.

Oczywiście warto zawnoczyć przygotować składniki na sałatki. Broń Boże, nie majonezowe. Zwykle ziemniaki ugotowane w mundurkach, obrane i pokrojone z domowymi ogórkami i cebulką albo makaron z kaparami i sosem czosnkowo-cytrynowym.

Zawsze świetnie smakuje sałata rzymska, którą kroimy przed samym grillem, mieszamy z wiórkami marchewki i skrapiamy cytryną lub domowym octem jabłkowym (świetny na trawienie).



Najlepiej przygotować je w domu, a nie kupować gotowe zestawy na grill. Gdybym miała się skusić na karkówkę, wolałabym sama kupić świeże mięso i natrzeć je ulubionymi przyprawami, czyli głównie majerankiem i czosnkiem. Przynajmniej wiedziałabym, co jem.

Dla mnie prawdziwym rarytasem są nasze ryby słodkowodne: sieje, sielawy, pstrągi, szczupaki, okonie. Najlepsze jedzenie przy ognisku, które pamiętam z młodości, to były płocie pieczone na patyku, posolone i posmarowane oliwą, a na koniec skropione sokiem z cytryny. Proste i przepyszne. Do tego wielka miska sałaty i pieczony na patyku wiejski chleb.

Przepis na bardziej wykwintną rybę znalazłam w świetnej książce „Smaki z Fjällbacki” Camilli Läckberg i Christiana Hellberga. To łosoś w sezamie z grillowanymi cytrynami. Płat świeżej ryby trzeba najpierw posolić i zostawić na dwie godziny, a potem wytrzeć i suchy natrzeć zmielonymi przyprawami: łyżką nasion kopru włoskiego, 2 łyżkami sezamu, 2 łyżkami brązowego cukru, 2 łyżkami koperku. Rybę grilluje się razem z dwiema przekrojonymi na połówki cytrynami na tacce, a przed podaniem wy-ciska się na nią ich sok.



Jeśli nie chcesz mięsa, możesz na ruszt położyć sery. W pieczeniu doskonale zachowują się zawinięte w folię pleśniowy camembert lub jego czeski odpowiednik hermelin, greckie halloumi czy manouri, plastry capri na cienkich kromkach chleba (serki powinny poleżeć przez noc w solance, takiej, jaką przygotowujemy do ogórków małosolnych, potem je obtaczamy w ziołach i pieczemy), a z naszych – wędzone oscypki. Można je doprawić żurawiną albo podać razem z pieczoną papryką, krążkami cebuli czy lekko podgrzewanymi pomidorkami koktajlowymi.



Twoja generacja

Mariusz Dorot
czwartek, godz. 20.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać



Warzywa

Najlepiej zrobić z nich szaszłyki albo – jak cukinię – pokroić w grube plastry. Na szpatułki można ponadziewać różyczki kalafiora, kawałki kolorowej papryki, cukinie, bakłażany, cebulę.

Jak T-bony upieczemy lekko podgotowane wcześniej plastry kapusty posypane oregano lub majerankiem. Na ruszt można rzucić zblanszowane w lekko osolonej wodzie cykorie. Doskonale smakują delikatnie zgrillowane młode warzywa korzeniowe: marchewki, pietruszki, selery (można je przekroić wzdłuż na połówki oraz skropić oliwą i sosem teriyaki, a na zakończenie posypać ziarnem sezamowym).

No i oczywiście w sezonie, który zaraz się zacznie i potrwa niecałe dwa miesiące, szparagi – pozbawione twardych i łukowatych końcówek, natarte oliwą z przeciśniętym przez praskę czosnkiem i z wycuciem oprószone solą i świeżo zmielonym pieprzem. Najsmaczniejsze są zielone i fioletowe, potrzebują kilkunastu minut na grillu – są wtedy jeszcze chrupkie.

Osobny temat to pieczarki – są nawet w sklepach odmiany polecane jako grillowe, o kapeluszach rozłożystych jak dłonie. Trudno je zepsuć, chyba że poleżą nad żarem za długo. Wystarczy im mażnięcie oliwą smakową, np. majerankową albo cytrynową. Można też wypróbować, jak smakują z miksturą Leonarda da Vinci albo posypane parmezanem czy dziugasem.



Owoce



Podpieczone na grillu są bardzo smaczne i słodsze. Banany można zapiekać w całości, pomarańcze czy grejpfruty w plastrach oprószonych solą lub solą i cukrem. Świetne są ananasy, melony, arbuzy. Wystarczy im po 3–4 min z obu stron. Jeśli posypimy je odrobiną cukru, skarmelizuje się pod wpływem temperatury i będą miały cieniutką skorupkę. Można przygotować do nich sos z płynnego miodu i drobniutko posiekanej papryczki chilli.

Teraz jeszcze za wcześnie, ale gdy pojawią się śliwki – polecam nafaszerować je serem feta i zapiec w sreberku. Są wyborne.

Anna Monicka



Niech rock będzie z wami

Wydaje się, że zna je każdy. Czy na pewno? Jak brzmią w polskim tłumaczeniu i jaką historię opowiadają w musicalu „We Will Rock You”, można przekonać się, oglądając najnowszą premierę Teatru Muzycznego Roma



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Legendarny występ grupy Queen na londyńskim stadionie Wembley 13 lipca 1985 r., podczas charytatywnego koncertu Live Aid, uznano za najważniejsze 20 minut w historii rocka. 72 tys. ludzi klaszczących w rytm przeboju „Radio Ga Ga”, powtarzających za charyzmatycznym

Freddiem Mercurym melodyjne frazy i wtórujących mu w dramatycznym wołaniu: „Mamaaaa!...”. Owacyjnie przyjmujących kolejne wersy „We Will Rock You”, by zamknąć koncert wspólnym wykonaniem „We Are the Champions”. Utworu wpisanego w spektakularne wydarzenia na wielkich stadionach (podobnie jak „We Will Rock You”), a także sprawdzającego się w bardziej kameralnych okolicznościach.

ZNACIE, TO POSŁUCHAJCIE

W spektaklu „We Will Rock You” na deskach warszawskiego Teatru Muzycznego Roma przeboje grupy Queen

pojawili się w nowej odsłonie. I wiele wskazuje, że po raz kolejny w historii tej sceny jej twórcy i wykonawcy będą mogli (tym razem podpisując się pod polskim tłumaczeniem tytułu „We Are the Champions”) stwierdzić: „Tak się wygrywa”. Nie od początku było to jednak takie oczywiste.

Wykorzystanie utworów grupy równie charyzmatycznej jak Queen do fabuły niezwiązanej z zespołem, potraktowanie jej jako ilustracji dość banalnej historii, wreszcie skonfrontowanie wykonawców z największymi przebojami zespołu mogło się wydawać zadaniem karkołomnym.

Nawet jeśli w podobnej musicalowej konwencji (zwanej jukebox, czyli „szafa



grająca”) świetnie sprawdziły się szlagiery innej kultowej grupy, ilustrując libretto spektaklu „Mamma Mia!” (doprowadzając projekt aż do Hollywood).

Trudno jednak prościutką dramaturgię i formułę piosenek Abby porównać do złożoności i rozmachu dokonań Queen. Podobnie jak poza skalą pozostają wokalne możliwości oraz sceniczna oryginalność i ekspresja lidera legendarnej grupy.

– Freddie Mercury swoim głosem, charyzmą i emocjami, które potrafił wydobyć i którymi poruszał słuchaczy, zawiesił poprzeczkę chyba już poza zasięgiem innych – mówi Jakub Lubowicz, kierownik muzyczny Romy i wielki fan zespołu. – Nie ma sensu się z nim ścigać, nie ma sensu go kopiować. Piosenki Queen trzeba odkryć na nowo i to jest największe wyzwanie dla naszych artystów – dodaje.

SŁOWNA GRA

Kluczem do sukcesu polskiej wersji musicalu „We Will Rock You” – poza znakomitym poziomem realizacyjnym i wykonawczym, do którego przyzwyczaiła widzów Roma – może się okazać też to, co w sferze tekstu budziło największe obawy: przekład piosenek. Rządzący się nieco innymi prawami niż albumowy czy czysto literacki.

– Stałem się widzieć w tych piosenkach nie tylko legendarne hity grupy Queen, ale przede wszystkim utwory, które są częścią musicalu: napędzają akcję, charakteryzują bohaterów albo komentują wydarzenia – i muszą się

sprawdzić przede wszystkim w tym kontekście – mówi autor przekładu, zarazem kierownik literacki Teatru Muzycznego Roma Michał Wojnarowski.

Takie podejście oznacza z jednej strony m.in. większe podporządkowanie muzycznej frazie, szukanie słów, które najlepiej wybrzmiały w melodycznej linii, a z drugiej – pozwoliło na słowną elastyczność.

Autor przekładu mówi, że w czasie translatorskiej pracy zauważył, że teksty pisane przez Mercury’ego są zarazem poetyckie, mają wiele znaczeń, a czasami drugie czy trzecie dno, a także często są bardzo dowcipne. Widać, że autor lubił bawić się słowami. Grał nimi, jak np. we frazie z „Killer Queen”, gdzie zestawiał zwroty „Asia Minor”, czyli Azja Mniejsza, i „Geisha Minah”, czyli gejsza mniejsza, co z przymrużeniem oka tak zostało wykorzystane w polskim tłumaczeniu: „Znałem raz Chińczyka / Do gejszy mniejszej brykał...”

W tej samej piosence tak przedstawiono złowrogą tytułową postać: „Oto Killer Queen, / Trotyl i siwy dym, / Nitro i wybuchowy drink! / Pociągnie cię w szalony wir”. Cynizm i okrucieństwo bohaterki podkreślono w innym utworze przetłumaczeniem „Another one bites the dust”: „Znowu ktoś gryzie piach”.

POD LINIJKĘ I OBOK NIEJ

Twórcy spektaklu „We Will Rock You” podkreślają, że nie jest to historia Queen ani Freddiego Mercury’ego, chociaż wielokrotnie mówi się o nim w przedstawieniu.



Utwory stają się częścią fabuły,ciągając do przodu futurystyczną historię zglobalizowanego świata, którym rządzi szefowa potężnej korporacji, sadyistyczna Killer Queen (postać uwolniona z komputerowej gry), ustawiająca pod liniijkę zunifikowanych mieszkańców iPlanety, zwanej dawniej Ziemią.

W częściowo wirtualnej rzeczywistości nie ma miejsca na indywidualizm. Wszyscy muszą tak samo myśleć, tak samo działać. Nie można słuchać, a tym bardziej komponować muzyki, która jest uznawana za niebezpieczną dla systemu.

Wśród buntowników, wylamujących się z narzuconego schematu, jest para nastolatków – Scaramouche i Galileo. Ben Elton, autor libretta do musicalu „We Will Rock You” (wystawionego

po raz pierwszy na londyńskim West Endzie w 2002 r.) nie bez powodu zaczerpnął ich imiona z najbardziej nowatorskiego utworu Queen.

Rola Scaramouche i Galileo – zarówno w definiowaniu ich świata, jak i zmian, które mogą w nim wprowadzić – jest równie nieprzewidywalna i nieoczywista jak przekaz, kompozycja czy wykonanie „Bohemian Rhapsody”. Trwającego blisko sześć minut *opus magnum* grupy. Łączącego fragmenty a capella z balladą operową i hard rockiem. Wykonanego w sposób zaskakujący w 1975 r. i docenianego do dziś. Zilustrowanego przełomowym teledyskiem, o którym mówi się, że gdyby nie on, nie powstałyby MTV i VH1.

UWOLNIĆ SIĘ CHCĘ

Fabula i postacie „We Will Rock You” są łączone z kolejnymi utworami. W stechniczowany świat i Planety wprowadza widzów „Radio Ga Ga”. Autor oryginalnego libretta Ben Elton pozwolił sobie na zmiany w wersji kanonicznej. Dodał nurt współczesnej technologii: odniesienia do internetu, globalnej sieci, cyberprzestrzeni, a także marketingu czy WWW.

Galileo przedstawia się, śpiewając „I Want to Break Free” („Uwolnić się chcę”), Scaramouche – „Somebody to Love” („Kto kochać się da”). Razem wykonują m.in. utwory „Who Wants to Live Forever” („Kto chciałby żyć na zawsze”) i „Hammer to Fall” („Młot”), zaczynający się: „Ktoś tu stał, / A ktoś tu padł, / Lecz historia gdzieś to ma...”.

Autor przekładu, przypomina, że język polski ma dużo spółgłosek, dźwięków szeleszczących i bardzo mało słów jednosylabowych. W przeciwieństwie do angielskiego jest trudny do śpiewania. Trzeba się nagimnastykować, szukając ekwiwalentów pozwalających wpasować się w liczbę sylab i frazę oryginalnych wersji utworów Queen.

Fabula, dialogi i piosenki – jak w każdym dobrym musicalu – powinny się wzajemnie uzupełniać. Tłumaczenie daje też przestrzeń na przywoływanie znanych publiczności kontekstów. W warszawskim spektaklu znajdują się kulturowe odniesienia m.in. do „Misia”

(„Nie ma takiego miasta jak Londyn...”) czy kobiecych imion znanych z polskich utworów.

Tytuł musicalu pozostał w wersji oryginalnej, choć bohaterowie śpiewają: na scenie „Chcemy rocka!”, – O tym jest ten spektakl – podkreślają twórcy. – O wyrażaniu siebie i o sztuce, która pozwala na indywidualność.

POSTACIE W PRZESTRZENI

– Świat „We Will Rock You”, chociaż futurystyczny, jest bardzo bliski dzisiejszym czasom i dzisiejszym wyzwaniom – dodaje Wojciech Kępczyński, dyrektor Romy i zarazem reżyser inscenizacji non-replica, czyli wersji autorskiej wystawienia (pozwalającej m.in. na wprowadzenie własnych kostiumów i pomysłów scenograficznych).

Zarówno muzyczna, jak i wizualna strona spektaklu mają widzów zaskakiwać i oszalać. I tak się dzieje. Znacomie przygotowani wykonawcy głównych ról, a także członkowie zespołów: wokarno-aktorskiego i tanecznego, z talentem i precyzją wypełniają kreowaną na scenie fabulę i przestrzeń.

Imponujące mobilne rusztowania sprawdzają się zarówno w industrialnym świecie Killer Queen, jak i na „metaforycznym gruzowisku wolności i rock and rolla”, czyli w realiach bohemy, u której schronienia szukają Galileo i Scaramouche. Scenograf Mariusz Napierała podkreśla, że to jedna z największych gabarytowo dekoracji, które stworzył dla Teatru Roma w ciągu ostatnich lat.

My dodajmy, że i w tym spektaklu nie zabraknie pozytywnych zaskoczeń – muzycznych, tekstowych, scenograficznych. W poprzednich realizacjach Romy lądowały już na scenie helikoptery, cumowały pirackie statki, powstawały rewolucyjne barykady... Teraz dzięki ogromnym wizualizacjom po bezdrożach i Planety może mknąć kultowy motocykl Harley-Davidson, a tunełami przemyka zdezelowany wagon metra.

Wrażenie robią też kostiumy. Ich autorka Dorota Kołodyńska zdradza źródła inspiracji. Stroje członków bohemy nawiązują do scenicznych kreacji gwiazd rocka różnych lat. Szczególnie wyrazista jest inspiracja estetyką ruchu punk. W świecie korporacji widać mnóstwo różnych konceptów – począwszy od japońskiej mangi i klocków Lego w kreacji postaci Ga Ga Kids, przez odniesienia do defilad wojskowych i monumentalnych parad sportowych, aż po nawiązania do ekstrawagancji współczesnych pokazów mody w niektórych elementach kreacji drapieżnej Killer Queen i jej żołnierzy.

TAK SIĘ WYGRYWA

Małgorzata Chruściel, jedna z trzech znakomitych odtwórczyń roli szefowej opresyjnej korporacji, podkreśla, że „wspaniale monstrualny kostium” dodaje jej postaci złowrogiej siły. Dochodzi jeszcze wyjątkowa peruka (autorką fantastycznych fryzur jest Jaga Hupało). Całość ułatwia granie – po raz pierwszy w życiu – czarnego i zarazem tak wyrazistego charakteru.

Faktycznie, Killer Queen to w „We Will Rock You” prawdziwie mroczna diwa. Ale i inni bohaterowie nie dają się przytłumić fantastycznemu tłu. Utrzymują się na najwyższym poziomie. Dyrektor Kępczyński miesza w przedstawieniach wykonawcze składy, za każdym razem dając odbiorcom spektakl najlepszej próby – wokalne, aktorskiej, choreograficznej (Agnieszka Brańska), muzycznej. Widzowie mogą się wiele spodziewać, a i tak mają szansę być zaskoczeni, np. sposobem, w jaki może wybrzmieć w teatrze tekst: „Každy

mój dług cenę swą miał / Los za niewinność nieraz wyrok mi dał / Sto różnych spraw poszło mi źle / Mimo że wiatr sypał piach prosto w twarz / nie dałem się / I już nigdy się nie dam / nie dam / nie dam się! / Tak się wygrywa / Jak my / Walczymy do końca naszych dni / Tak się wygrywa / Tak się wygrywa / Spadać frajerzy, / bo tak się wygrywa / Cały świat”.



Franciszek odchodzi z Kościoła



ROBERT TEKIELI

Św. Franciszek z Asyżu: opuszczam Kościół, odkryłem, że ten system nie chce zmian... A ja mam zamiar Kościołem świat na lepsze zmienić...

Odchodzą kapłani z mojego Kościoła, Kościoła, w którym spotkałem Jezusa. „Droży, po ciężkich latach domagania się od instytucji kościelnej stanięcia po stronie skrzywdzonych i wykluczonych, odkryłem, że ten system nie chce zmian”. Odeszli: teraz cytowany dominikanin, wcześniej paulin, jeszcze wcześniej inny dominikanin i jezuita. Jednego znalazłem dobrze, walczył z homoseksualnym lobby w swoim zakonie i przegrał. Tak mówił. Płomienny kaznodzieja, porywał i moje serce. Kiedy usłyszałem jego argumentację na rzecz odejścia również od najbliższej rodziny, nie chciało mi się wierzyć. Była dziecinna. A on naprawdę był/jest tytanem żarliwego słowa.

Więc słyszę: „Ten System nie chce zmian...”. Tylko ukąszeniem heglowskim i marksistowską perwersją języka mogę wytłumaczyć sobie, że ludzie intelektualnie obdarowani kupują taki sposób mówienia o świecie. Kościół nie jest systemem. Nie jest Babilonem. Ten język buntu i rewolucji tak zawładnął kulturą i popkulturą, że okazują się bezradni wobec niego ci, po których nikt by się tego nie spodziewał.

Nie neguję krzywdy, która spotkała kapłanów odchodzących od Kościoła. Współczuję im, mam nadzieję, że krzywdzicie zostali/zostaną surowo osądzeni. Kiedy jednak czytam o tych smutnych wydarzeniach, mam jedną osobę, jedną postać przed oczami: świętego Franciszka. Widzę bowiem te odejścia w kategoriach zdrady. Mam do tego prawo. I domagam się tolerancji. Jestem mniejszością, nikt

bowiem nie chce osądzać odejść z naszej wspólnoty. A we mnie nie ma zgody.

Oczekuję heroizmu? Nie ja, lecz Jezus. Sam nie wiem, czy podołałbym poddany takiej próbie. Ale kiedy w ruinach kościoła San Damiano Giovanni di Pietro di Bernardone usłyszał: „Franciszku, odbuduj mój Kościół”, Biedaczyna z Asyżu padł w pokorze na kolana, nawet na początku nie pojmując, że Jezusowi chodzi nie o jeden konkretny budynek, ale o cały Kościół katolicki, o Jego święte Ciało. Bo tym jest Kościół powszechny.

Nie potrafię przy tym zapomnieć, że ci kapłani utracili coś najcenniejszego: jedność z Kościołem zbudowanym przez Boga, nie z denominacją powstałą przez gest protestu jakichś ludzi. Powtarzam: nie czuję się lepszy, może sam nie podołam następnej próbie. Ale nie będę mówił, że trzeba zrozumieć... są okoliczności...

Kościół nie jest Systemem, Kościół jest wspólnotą. Ciałem Chrystusa. Nie jedną z instytucji religijnych, jedną z hierarchii, jedną z denominacji.

Chrześcijanin nie może chcieć przypodobać się światu. Cały czas słyszy: „Bądź miłosierny, nie potępiaj...”, „Potępiamy grzech, nie osądzajmy grzesznika”. Efekt jest taki, że publiczne potępienie grzechu staje się skandalem.

Gdy Kościół poddaje się duchowi czasów, ludzie gubią się we mgle. Nieosądzanie odejścia od wspólnoty, której się ślubowało, sieje zgorszenie, czyli czyni ludzi gorszymi. A Kościół zaprzeczający sobie porzucza zwykłego człowieka. Rzym ulega dyktaturze relatywizmu, co czyni ludzi w dobie cywilizacji masowej bezradnymi. I nie chodzi tylko o wiernych.

I jeszcze jedno. Szantaż oczyma ofiar. Odrzucam logikę szantażu: nie wolno ci w ogóle polemizować z broniącymi

skrzywdzonych, nawet jeśli masz do kładnie to samo przekonanie co do potrzeby walki z wykorzystywaniem seksualnym dzieci i dorosłych, ale podajesz w wątpliwość metody walczących. Żarzące węgle na głowy tych, którzy skrzywdzili braci naszych najmniejszych, nieporadnych, słabszych. Nie ma chyba nic gorszego od wykorzystania władzy duchowej i zaufania. Sam robię w tej chwili rachunek sumienia. Mówię poważnie. Ale kapłani i świeccy, którzy czynią z ludzkiej krzywdy podnózek swojego tronu, grzeszą. Ktoś mógłby zapytać: czy tylko o miłość do skrzywdzonych tu chodzi? I jeszcze jedna rzecz: cel nie uświęca środków. Ostatecznym sędzią będzie Jezus, czyli miłość i nasze sumienie. Święty Franciszek zaczął zmienianie Kościoła od siebie.

Dlaczego kapłan odchodzi w Wielką Sobotę? To demonstracja? Demonstracja czego? Sprzeciwu? Buntu przeciwko instytucji? Wyraz postrzegania Kościoła jako TYLKO instytucji zbudowanej przez grzesznych ludzi? Ale to nie ludzie zbudowali Kościół. Więc czy to jest bunt przeciwko Chrystusowi? Wyraz braku zaufania do Niego? Do Jego wszechmocy? Wyraz niewiary w ponadludzki wymiar religii? Wyraz braku wiary?

Więc mówię: zdrada. Ale prawda wyzwala. Piszę to z miłością. Święty Piotr zdradził. I się nawrócił. Święty Franciszek rozpoczął zmianę od siebie i zapatrzył się w Jezusa, zapadł w Niego, zatracił. Zapłonął miłością i odbudował Kościół na miarę, na jaką może to zrobić człowiek. Ma do dziś setki tysięcy naśladowców, braci mniejszych, franciszkanów. Nie dopuść do tego, Panie Jezu, ale jeśli zdradzę, tak właśnie chcę się nawrócić.

Warte Zwyczajny świat składa się z setek ludzkich dziwactw. Dania, kraj, w którym w lasach ciągle trwa jesień, malarskie ujęcia, niderlandzkie sosy. Konkret, namacalne opisy, wiem, gdzie jestem, wiem, w jakich okolicznościach zmysłowych toczy się ta opowieść. Mogę się w niej zdomowić, przeżyć ją podświadomie/sercem, gadzi mózg się nie gubi.

Więc świat, który żyje, w którym mogę się odnaleźć zmysłami. Wkorzenieć. Utożsamić. Tak jest „Kasztanowy ludzik” Sorena Sveistrupa. Ale dziś nie o tej książce, tym bardziej że pisałem tu już o niezłym serialu na niej opartym.

Wkorzeniecie w zmysłowy konkret to pierwsza rzecz, której brakuje „*Miastu jadeitu*” Fondy Lee... Chyba źle zacząłem niniejszą recenzję, bo przecież podoba mi się ten „Ojciec chrestny” po japońsku w formule fantasy. Ale magazyn „Time” umieścił „Miasto jadeitu” wśród 100 książek fantasy wszech czasów, więc spokojnie mogę powybrzydzać. Zatem drugie porównanie do niekorzystnego fantastycznego kryminału Fondy Lee:

„Mężczyźni często opisywali, że dziewczyna ma włosy koloru pszenicy. Inni mówili o barwie karmelu, a czasami o odcieniu miodu. Dziewczyna zastanawiała się, dlaczego mężczyźni tak często używają jedzenia do opisywania cech kobiet. W takich mężczyznach krył się głód, którego lepiej unikać”. To z genialnej powieści dla nastolatków Brandona Sandersona „Warkocz ze Szmaragdowego Morza”, o niej napiszę za tydzień. Ale o co cho? W jakim celu porównuję prozę Sandersona i Lee? Otóż nawet kryminał musi nieść z sobą zgrabnie złożone słowa, za którymi kryje się zwyczajna mądrość, bystra obserwacja, błysk zrozumienia spraw dla czytelnika niezrozumiałych, spostrzeżenia, które pomagają zrozumieć świat realny, nasz świat. W „Mieście jadeitu” tej warstwy zwyczajnie nie ma. Brak tu choćby kilku fraz godnych Księgi Mądrości. Piszę te słowa poważnie. W każdej pierwszorzędnej powieści nawet drugorzędnego gatunku fantasy – myślę tu i o wczesnym Kingu, i o Vonnegucie, i o Tolkienie, i o Asimovie, i o Le Guin, i o Poe, i o Martinie, i o Bradburym, i o Franku Herbercie, i o Lemie, i o Dukaju, nawet o Sapkowskim – w każdej prozie wartkiej czytania muszę znaleźć myśli, które przyciągają, zachęcają do dalszej lektury. Nie wystarczy tylko wartka akcja, nieoczywista fabuła, dobrze, wiarygodnie zarysowane postacie. A to w „Mieście jadeitu” jest. Bo przecież piszę właśnie pozytywną recenzję.

Powieściowy jadeit jest wykorzystywany przez „ludzi honoru” do zwiększania swoich magicznych możliwości



i obrony wyspy Kekon przed cudzoziemskim najazdem. Mamy rywalizujące rody, Kaulów i Aytów. Klany walczą o władzę nad miastem, kontrolę rynku jadeitu i przeżycie.

Fonda Lee jest według kanadyjsko-amerykańskiej krytyki autorką kryminałów spekulatywnych, cokolwiek oznacza to pojęcie. A ja się zastanawiam, czy to jest w ogóle fantasy? Bardziej skłaniam się ku pogładowi, iż jest to powieść realistyczna, w której tytułowy jadeit, mimo że opisany jako wzmacniacz sił nadnaturalnych, wyzwalający okultystyczne moce, tak naprawdę jest symbolem wewnętrznej ludzkiej siły, zmysłowo dającej się objąć figurą mocy właściwej ludzkiej naturze. Niczego tu nadnaturalnego, nadzmysłowego. Akurat u Lee ten duchowy materializm nie byłby próbą oszustwa, wciągnięcia ludzi w toksyczne myślenie o duchowości.

Autorka po prostu przekłada na materialny, kamienny symbol ideę, która jest w kręgu wierzeń niezainfekowanych oświeceniowym redukcjonizmem Azjatów. Myślę o hipotezie energii ki u Japończyków czy chi/qi u Chińczyków. Pojęcie to występuje i w nazwie znanej i praktykowanej na całym świecie japońskiej sztuki walki ai-Ki-do czy niewiele mniej popularnej od aikido japońskiej wersji demonicznej bioenergoterapii zwanej rei-Ki, także w tai-CHI, Qi-gongu oraz całej tradycyjnej medycynie chińskiej, akupunkturze czy feng shui.

Więc być może dla autorki jest to po prostu realistyczna proza. Świat wierzeń, w którym dostępna wybrańcom moc jest centrum świata kłesk i życiowego sukcesu ludzi ambitnych. Gdzie wszystko kręci się wokół jadeitu będącego symbolem cech najbardziej pożądanych w świecie religii sławiących siłę, religii mocy, pogańskich kultów wynoszących na szczyt symbole zwierzęcej przemożnej potencji: smoki, totemiczne orły, pantery, lwy, gryfy czy niedźwiedzie. Wierzenia to jednak ani nauka, ani wiara.

Wyspa Kekon jest figurą Japonii, nawet obowiązkowa dla produktów fantasy mapa przedstawia archipelag o kształcie przypominającym Kraj Kwitnącej Wiśni. Ale powieściowy Janlon, stolica Kekonu, jest przecież obrazem azjatyckiej metropolii wcale nie rodem z fantasy.

„Miasto jadeitu” to realistyczna opowieść o świecie wyrosłym na fundamencie pogańskich religii. W ich centrum jest moc, a nie miłość.

Robert Tekieli
Polskie Radio



Gniew



Streaming

Awantura” (wolę nawiązujący do rapowej bitwy oryginalny tytuł „Beef”) to jeden z tych seriali Netfliksa, którego sława rozkręca się powoli. Bez wielkiej kampanii reklamowej i oparty raczej na szeptanej propagandzie niż zalewie recenzji i zwiastunów, jest coraz szerzej dyskutowany w światowych mediach. Ja odkryłem go zupełnie przypadkiem. Zaintrygowało mnie, że w jego produkcję jest zaangażowane filmowe studio A24.

Kinomani wiedzą, za jakimi produkcjami stoi to założone w 2012 r. studio specjalizujące się w odważnych niezależnych produkcjach. W br. studio triumfowało na rozdaniu Oscarów z „Wszystko wszędzie naraz”, ale wcześniej wypuściło też takie filmy, jak „Lady Bird”, „Moonlight”, „Nieoszlifowane diamenty” czy „C’mon C’mon”. Wśród reżyserów pracujących ze studiem są takie nazwiska, jak Lenny Abrahamson (miałem przyjemność kilka lat temu przeprowadzać z nim dla „Sieci” rozmowę), Alex Garland, Robert Eggers, bracia Safdie, Ari Aster czy Greta Gerwig. To bardzo istotni twórcy dzisiejszego autorskiego kina. Przywołuję kontekst studia, bo „Awantura” przypomina bardziej właśnie zadziorne „indie movies” niż schematyczne i sformatowane (jestem pewien, że ChatGPT w pierwszej kolejności będzie wykorzystywany przy scenariuszach właśnie na tej platformie) seriale Netfliksa.

Zaczyna się jak kultowy „Upadek” (1993) Joela Schumachera z Michaeliem Douglasem, który pewnego dnia po prostu wybucha złością, stojąc w korku na ulicach Los Angeles, i wpada w korkociąg przemocy oraz autodestrukcji. Na parkingu marketu budowlanego dochodzi niemal do stłuczki samochodów prowadzonych przez budowlanica Danny’ego (Steven Yeun) i przedsiębiorcę ze świata lifestyle’owego Amy (Ali Wong). Oboje mają problem z drogową furją, więc klaksony i krzyki kończą się na pościgu po ulicach – a jakże! – Los Angeles. Awantura na drodze prowadzi do destrukcji w życiu obojga bohaterów, choć na szczęście nikt z karabinem jak Douglas biegać po ulicy nie będzie. A może jednak?

Producenci z A24 mocno wypełniają lukę, jaką w amerykańskim kinie odczuwali do tej pory Amerykanie azjatyckiego pochodzenia. Jest teraz w Hollywood moda na promowanie tej etnicznej mniejszości, co przełożyło się na Oscary również dla pięknego „Minari” (2020), w którym główną rolę grał właśnie Steven Yeun. „Awantura” jest świetnie napisanym miniserialem (10 odcinków po 30–40 min), który balansuje między czarną komedią, thrillerem (jest nawet element horroru!) i społeczno-obyczajowym kinem. Jest tutaj również wątek klasowy. On jest mieszkającym z bratem Paulem (Young Mazino) robotnikiem, który chce wyrwać się z beznadziej świata zmagających się z finansowym

kryzysem niebieskich kołnierzyków. Ona jest zamożną przedstawicielką elity (jej mąż, grany przez Josepha Lee, jest pochodzącym z zamożnego domu artystą i pnie się po społecznej drabinie LA. A więc źli bogacze niszczą lud pracujący? Nie jest to na szczęście tak jednowymiarowe. Robotnik Danny i milionerka Amy mają w sobie całą masę demonów, które potrzebują silnych egzorcyzmów. Ona dla kariery sędziowała wychowanie córeczki na męża, on zaś przytłoczył swoim ulicznym cwaniactwem swojego inteligentniejszego od siebie młodszego brata. Czy są złymi ludźmi? On ściubi pieniądze, by wybudować dom dla rodziców mieszkających w Korei. Ona naprawdę chce zbudować lepszy świat dla córki. Mimo to oboje niszczą wszystko, co kochają, w imię... no właśnie czego?

Ich absurdalna awantura na parkingu jest wejściem na karuzelę z napisem „autodestrukcja”. Oboje wiedzą, że kompulsywna zemsta ostatecznie zniszczy ich samych, ale i tak nie są w stanie z tej ścieżki zejść. Danny stara się trzymać swojego koreańsko-protestanckiego zboru, a Amy ma nowoczesny Kościół – psychoterapię. Oba niewiele im dają przez traumy doświadczane w dzieciństwie i społeczne kajdany, w które się zakuli. Wszystko zamykają we wściekłości, która przecież w czasach dzisiejszych plemennych baniek dotyka nas wszystkich.

„Awantura” rozgrywa się na ulicach Miasta Aniołów, które przeżywa dziś poważne problemy ekonomiczne i społeczne. Wszystko pod kalifornijskim słońcem, które zamiast dawać nadzieję, oświetla bezdomność w postpandemicznym świecie. „Beef” jest serialem nie tylko o złości, lecz także o głębokiej samotności, której nie zasypia blichtr i pieniądze. Powoli dostrzegamy, co kryje się za maskami, które nałożyli na siebie Amy i Danny, którzy choć są z innych społecznych klas, to łączy ich bardzo wiele. Jest między Yeonem i Wong niezwykła aktorska chemia. O ile znany z „The Walking Dead” aktor od jakiegoś czasu pokazuje swój aktorski dramatyczny potencjał, to komiczka i stand-uperka Wong w tak psychologicznie skomplikowanej roli jest pozytywnym zaskoczeniem. Tak jak zaskoczeniem jest „Beef”. Słodko-gorzkim zaskoczeniem i przerażająco bliskim nam wszystkim. 

„BEEF” SERIAL DOSTĘPNY NA NETFLIX



Siła kobiet



Streaming

Sycylijska cosa nostra doczekała się najróżniejszego sportretowania w kinie po obu stronach Atlantyku. Neapolitańska camorra to m.in. wybitny serial „Gomorra”. Ba, przecież nawet specyficzna mieszanka mafijna z Rzymu zwana mafia capitale dostała swój netfliksowy serial „Suburra”. Z kolei potężna i mająca macki na całym świecie kalabryjska ’ndrangheta do tej pory na filmowy widelec była brana rzadko. Czy dlatego, że to najbardziej hermetyczna i oparta na małych, rodzinnych klanach (bez hierarchii Sycylińczyków i neapolitańczyków) i trudna do spenetrowania struktura z Kalabrii, gdzie leżą nadal miasteczka, mogące z powodzeniem i bez specjalnych dekoracji służyć jako plenery do spaghetti westernów? „Dobre matki” z Disney+ wypełniają tę lukę we włoskim kinie.

Serial snuje opowieść o kobietach, które zostały przez mafie pożarte, przeżute i wypłute wprost w ręce włoskiego wymiaru sprawiedliwości. Sześć odcinków pokazuje opartą na faktach historię czterech kobiet, które rzuciły wyzwanie organizacji, idąc na współpracę z organami ścigania. Wszystkie zapłaciły za to wielką cenę. Osobistą, społeczną i egzystencjalną. Zrobiły to z różnych powodów. Nastoletnia Denise Cosco (Gaia Girace) podejrzewała, że jej ojciec (przerażający Francesco Colella) zamordował jej (oficjalnie zaginioną) mamę (Micaela Ramazzotti), która wcześniej „zdradziła” rodzinę. Giusy Pesce (Valentina Bellè) i Cetta Cacciola (Simona Di Stefano) były z kolei żonami i córkami mafiosów, które miały dosyć bicia i poniżania przez kalabryjski patriarchy, niemający nic wspólnego z romantyczną popkulturową, mafijną wizją „niekrzywdzenia dzieci i kobiet”. „Dobre matki” wpisują się w dekonstrukcję tego szkodliwego mitu, który kino przez dekady tworzyło. Serial „Gomorra” ostatecznie sam stworzył nową mitologię (nieuniknioną

przez charyzmę bohaterów), ale odarcie włoskich bandziorów ze sznytu Dona Corleone i pokazanie ich w betonowej dżungli neapolitańskiej Scampii było nowym otwarciem w kinie gangsterskim.

Ileokroć aresztowano na Sycylii ukrywających się dekadami (również brudnych w lepiankach pod ziemią) bossów cosa nostra, ich wizerunek z serwisów informacyjnych zupełnie nie pasował do filmowego obrazu mafii. Wspaniale to pokazał Marco Bellocchio w swoim arcydziele „Zdrajca” (2019), portretując szefów mafii jako bandę brutalnych prostaków i prymitywów, wyglądających jak górskie pastuchy, a nie Tony Soprano. W tym serialu widzimy podobny obraz, który na dodatek jest skupiony na silnych kobietach, rzucających wyzwanie męskiemu światu. Nie tylko kobietach mafii, lecz także zdeterminowanej prokuratorce (Barbara Chichiarelli). To nie jest manifest ideologiczny. Widzimy też kobiety, które godzą się na krzywdę własnych córek w imię omerty. Matriarchat włoski jest równie silny jak patriarchy. A może nawet silniejszy, skoro każda głowa potrzebuje szyi.

To zaskakujące, że tak realistyczny kalabryjski klimat (nieraz byłem w Kalabrii) wyciągają brytyjscy twórcy (pierwowzór literacki wyszedł spod ręki Alexa Perry’ego), którym udaje się spojrzeć na ten specyficzny świat oczami Włochów. Nie ma tutaj mafijnych strzelanin, pościgów i krwawej brutalności. Są jednak groza i napięcie, które nie potrzebują żadnych fabularnych ozdób. Wystarczy wejście w umysły kalabryjskich oprychów i ich „kodeks honorowy”. Takie produkcje są naprawdę ważne. Nie przez przypadek, gdy ostatni raz byłem w Palermo, częściej w oczy rzucały się pamiątki po zamordowanych niezłomnych, antymafijnych prokuratorach Borsellino i Falcone niż koszulki z Don Corleone.

„DOBRE MATKI” SERIAL DOSTĘPNY NA DISNEY+

Trudno już wyobrazić sobie wiosnę w Warszawie bez tej imprezy. W dniach 26 marca – 7 kwietnia br. odbyła się w naszej stolicy 27. edycja Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena, jednego z najważniejszych wydarzeń muzycznych w Polsce. Festiwal odbył się pod patronatem honorowym prezydenta RP Andrzeja Dudy, a mecenasem wydarzenia był PKN Orlen



27. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena

Wielki hołd dla wielkich kompozytorów

W trakcie 13 dni festiwalu publiczność miała okazję wysłuchać 10 koncertów symfonicznych i pięciu kameralnych, w których wystąpili znakomici soliści, dyrygenci i zespoły, zaproszeni przez Elżbietę Penderecką, dyrektora generalnego festiwalu. Program koncertów został zbudowany wokół przewodniego hasła tegorocznej edycji – „Beethoven – pomiędzy Wschodem a Zachodem”, naświetlając problem koegzystencji kultury Wschodu i Zachodu w muzyce.

NIE TYLKO BEETHOVEN

Obok dzieł Ludwiga van Beethovena, którego kompozycje były oczywiście głównymi daniami muzycznymi festiwalu, na scenie zabrzmiały także utwory wielu innych dorównujących mu kunsztem mistrzów, takich jak Wolfgang A. Mozart,

Fryderyk Chopin, Henryk Wieniawski, Gustav Mahler, Heitor Villa-Lobos, Maurice Ravel, George Gershwin, Benjamin Britten, Witold Lutosławski, Leonard Bernstein, Mieczysław Weinberg, Walentyn Silwestrow, Toshio Hosokawa i Faustus Laténas.

Niezwykle ważnym elementem programu festiwalu były również utwory Krzysztofa Pendereckiego, jednego z najwybitniejszych polskich kompozytorów, którego 90. rocznica urodzin przypadła w br. W koncercie inauguracyjnym Korea National University of Arts Symphony Orchestra pod dyktando Chiyoung Chunga wykonała V symfonię Koreańska kompozytora. Solistką koncertu inauguracyjnego była jedna z najciekawszych pianistek młodego pokolenia, Chloe Jiyeong.

W finałowym koncercie, który odbył się w Teatrze Wielkim Operze Narodowej,

zabrzmiały dźwięki „Siedmiu bram Jerozolimy”, jednego z najważniejszych dzieł Krzysztofa Pendereckiego, w wykonaniu Orkiestry i Chóru Filharmonii Narodowej pod batutą Sergeja Smbatjana. Koncert ten był wyjątkowy, ponieważ uczcił wielkie dziedzictwo artystyczne Krzysztofa Pendereckiego w dniu przypadającej na 29 marca trzeciej rocznicy śmierci kompozytora. W ramach festiwalu odbyły się również kameralne koncerty, w których brzmiały dzieła mistrza w wykonaniu m.in. takich artystów, jak Apollon Musagète Quartet, Janusz Wawrowski, Claudio Bohórquez, Manuel Escariz Martinez-Peñuela, Andrzej Ciepliński i Łukasz Krupiński.

JUBILEUSZ Z NAGRODAMI

W uroczystym koncercie z okazji 20-lecia działalności Stowarzyszenia im. Ludwiga



van Beethovena, organizatora wielkonoconego festiwalu, zabrzmiała „Missa solemnis” Beethovena pod batutą światowej sławy dyrygenta Leonarda Slatkina. Wspaniałe wykonanie odbyło się przy udziale Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Narodowej, Chóru Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie oraz wybitnych solistów. Rocznicą powołania instytucji organizującej festiwalowe wydarzenie stanowiła znakomitą okazję do uhonorowania jej założycieli. Minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński przyznał Elżbiecie Pendereckiej prestiżowy złoty medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, a Andrzejowi Gizie odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Z koncertami symfonicznymi wystąpiły takie polskie zespoły, jak Orkiestra Polskiego Radia w Warszawie prowadzona przez Michała Klauzę z pianistą Martinem Garcią Garcią, Radońska Orkiestra Kameralna pod dyрекcją Jurka Dybala z flecistą Massimo Mercellim i altowiolistką Sarah McElravy, Polska Orkiestra Sinfonia Iuventum im. Jerzego Semkowa pod batutą Johna Axelroda z pianistą Danielem Ciobanu i sopranistką Joanną Freszel oraz Sinfonia Varsovia pod dyрекcją Alexandra Liebreicha ze skrzypkiem Piotrem Pławnerem, który zaprezentował koncert skrzypcowy „Ge-

nesis” Toshio Hosokawy (było to polskie prawykonanie utworu). W ramach cyklu „Nieznane opery” Łukasz Borowicz z orkiestrą Filharmonii Poznańskiej zaprezentował dwie XX-wieczne kompozycje: „Sokratesa” Erika Satie oraz „Alexandra bis” Bohuslava Martinu. O wyjątkowy klimat w czasie tych koncertów zadbał także utalentowani śpiewacy, tacy jak Natalia Rubiś, Dominika Stefańska, Eric Huchet, Adrian Janus i Jan Ku-bas, którzy zapewnili niezapomniane emocje i wzruszenia swoimi interpretacjami.

Tradycyjnie główny nurt koncertowy został uzupełniony o cykliczne wydarzenia towarzyszące, takie jak wystawa manuskryptów muzycznych w Bibliotece Jagiellońskiej oraz międzynarodowe sympozjum naukowe, które odbyło się w ramach 27. edycji festiwalu. Plakat promujący wydarzenie był autorstwa Grzegorza Kozery.

WSPIERAJMY MUZYKĘ KLASYCZNĄ, BO WARTO!

Wsparcie PKN Orlen, który od lat jest mecenasem festiwalu, wpłynęło pozytywnie na jakość organizacji wydarzenia znanego w środowisku z wysokich walorów artystycznych. Festiwal kontynuuje swoją misję wspierania muzyki klasycznej i celebrowania twórczości największych kompozytorów takich jak Ludwig van Beethoven i inni, jak choćby mocno obecny przez swoją twórczość Krzysztof Penderecki.

Przy okazji podsumowania takich wydarzeń jak Wielkanocny Festiwal im. Ludwiga van Beethovena warto pamiętać, że muzyka klasyczna jest jednym z najważniejszych osiągnięć ludzkiej twórczości, stanowiąc nieodłączną część naszej kultury i historii. Muzyka klasyczna

jest nie tylko formą sztuki, lecz także dziedzictwem kulturalnym, które przetrwało przez wieki. Muzyczni geniusze w rodzaju Beethovena, Bacha, Mozarta czy Chopina pozostawili po sobie niezapomniane dzieła, które są inspiracją dla kolejnych pokoleń muzyków i słuchaczy. Wspierając koncerty muzyki klasycznej, chronimy i pielęgnujemy to dziedzictwo, pozwalając na jego dalsze przekazywanie przyszłym pokoleniom.

Dodatkowo koncerty muzyki klasycznej są znane z wysokiego poziomu artystycznego i profesjonalizmu wykonawców. Śpiewacy, instrumentalści i zespoły muzyczne, którzy wykonują muzykę klasyczną poświęcili wiele lat na doskonalenie swojego rzemiosła. Wspierając koncerty muzyki klasycznej, dajemy artystom możliwość prezentowania swojego talentu i pracy na najwyższym poziomie. Koncerty mogą inspirować młodszych słuchaczy do rozwijania swoich zainteresowań muzycznych, poznawania różnorodności gatunków muzycznych i rozwijania krytycznego myślenia wobec sztuki. Obcowanie z wykonywaną na żywo klasyką jest doskonałą okazją do poszerzenia wiedzy muzycznej i rozwijania kulturalnej świadomości. Dodatkowo muzyka klasyczna ma wyjątkową zdolność wywoływania głębokich emocji u słuchaczy. Jej koncerty oferują niepowtarzalne doświadczenia mogące wzbogacać życie wewnętrzne każdego z odbiorców. ➤



PARTNER DODATKU





System podatkowy jest już dużo bardziej sprawiedliwy

Polska gospodarka ma zdrowe fundamenty, dobre regulacje i przedsiębiorców, którzy potrafią poruszać się na rynkach międzynarodowych – mówi **Artur Soboń**, wiceminister finansów, w rozmowie z Michałem Karnowskim i Maciejem Wośką („Gazeta Bankowa”)

Panie ministrze, koniec kwietnia to najgorętszy czas dla podatników, choć zmienił się na dobre sposób składania zeznań podatkowych za poprzedni rok. Tylko 6 proc. deklaracji będzie złożona papierowo. Polacy docenili cyfryzację usług podatkowych? Będziemy mieli rekordową liczbę podatników, którzy skorzystają z e-PIT?

Artur Soboń: To będzie rekordowy rok pod wieloma względami. Rekordowa będzie liczba osób, które otrzymają zwroty podatkowe i całkowitą sumę zwrotów. Już trzeciego dnia od uruchomienia usługi wpłynęło do systemu 1 mln e-PIT. Obecnie

przekroczyliśmy kwotę z ub.r. – 10,5 mld zł, w tym roku zwroty to już ponad 18 mld zł. Rekordowa będzie też średnia wysokość zwrotów na konto podatnika i tempo składania deklaracji. W połowie lutego mieliśmy już kilkaset tysięcy osób, które zalogowały się do e-PIT i składały deklaracje. Wreszcie – rekordowe jest tempo zwrotów. Dziś to zwykle kilka, kilkanaście dni, a są podatnicy, którzy otrzymują zwrot podatku nawet następnego dnia po wypełnieniu swojej e-deklaracji.

To pierwsze zeznania po roku sporych zmian w systemie podatkowym. Pa-

miętam, że wiosną ub.r. martwiliśmy się o niezbędne korekty w opłaconych składkach i niezbędne dopłaty.

Rzeczywiście zmiana systemu podatkowego w ciągu roku nie jest standardową operacją. Zgodnie z konstytucyjną zasadą przyjęliśmy jednak, że jeśli zmieniamy zasady w czasie roku – to tylko na korzyść podatnika. W systemie podatkowym wprowadziliśmy na ten wyjątkowy rok tzw. instytucję podatku hipotetycznego. Oznacza to, że w sytuacji, gdyby ktoś mógł osiągnąć bardziej korzystne rozliczenie podatkowe według przepisów, które obowiązywały do 1 lipca z ulgą

dla klasy średniej i 17-proc. stawką podatkową – urząd zwróci różnicę między rozliczeniem na obecnych i poprzednich zasadach. Spodziewaliśmy się, że takie osoby, zakładając zbieg różnych ulg, mogą się w systemie podatkowym pojawić – na dziś to ponad 165 tys. podatników, co oznacza, że w tej sytuacji znalazł się jeden podatnik na stu. System automatycznie wypłaca takie przypadki, informuje podatnika, że jego sytuacja wskazuje na korzystniejszy sposób opodatkowania PIT z poprzednią stawką i ulgą dla klasy średniej. Podatnik zatem nie inicjuje przeliczenia. I mogę powiedzieć, że na tej podstawie wypłaciliśmy już ponad 82 mln zł zwrotów z podatku. Z całą pewnością żaden podatnik nie stracił na korekcie systemu w czerwcu.

Ale są tacy, którzy do kwoty zaliczek na podatek dochodowy muszą po zamknięciu roku dopłacić.

Jest ich o połowę mniej niż w akcji rozliczeniowej za 2021 r. W br. spodziewamy się, że osób, które muszą dopłacić, będzie nieco ponad 1 mln, gdy w ub.r. było to ponad 2 mln. Trzeba jednak pamiętać, że zarówno zwrot, jak i dopłata nie oznaczają wysokości zobowiązania podatkowego, a są różnicą między kwotą wpłaconych, pobranych zaliczek a rocznym podatkiem należnym (czyli tym uwzględniającym wszystkie preferencje i ulgi). Trzeba podkreślić, że dzięki temu, że wprowadzenie zmian w systemie w czasie roku podatkowego podzieliliśmy na dwa etapy, żaden pracodawca nie sygnalizował, że nie udało się w lipcu wprowadzić zmian, choć oczywiście było to ogromne wyzwanie. Ostatecznie – całość zeznań za ub.r. system podatkowy widzi ze stawką 12-proc. dla pierwszego progu i kwotą wolną od podatku na poziomie 30 tys. zł. Dla znakomitej większości podatników oznacza to wyższe zwroty z zaliczek wpłaconych m.in. do połowy roku.

Jest pan ministrem do zadań specjalnych, stąd powierzono panu zadanie skorygowania systemu podatkowego. Jak z tej perspektywy ocenia pan podjęte działania i jakie wnioski wyciągnął rząd, by uniknąć podobnego zamieszania?

Pewnie nikt w Polsce nie powie dziś odpowiedzialnie, że dysponuje mono-

polem na mądrość i wie, jak uwzględnić wszystkie zmienne w podejmowanych regulacjach. To wymaga konsultacji z rynkiem, z interesariuszami. I tak też jest z systemem podatkowym. Pierwsze, co usłyszałem od partnerów społecznych w styczniu ub.r., gdy zacząłem pracę w Ministerstwie Finansów – to właśnie żal o deficyt dialogu z księgowymi, biurami rachunkowymi, doradcami podatkowymi, dostawcami oprogramowania, pracodawcami – wszystkimi, którzy na co dzień zajmują się podatkami. I ta korekta w trakcie konsultacji wydaje się skuteczna i przeprowadzona z sukcesem. Bez tego nie da się przeprowadzać zmian. Drugim elementem była i jest rzetelna analiza makroekonomiczna. Korygując różne dolegliwości sygnalizowane przez podatników, musieliśmy poznać bardzo precyzyjnie skutki wprowadzanych zmian. Udało się to zrobić zarówno na poziomie makro, jak i w samych zaliczkach – robiąc setki, tysiące symulacji dla różnych sytuacji podatników. Dzięki temu wprowadziliśmy jednolity system poboru zaliczek i udało się stworzyć takie parametry, które są dla podatników neutralne lub korzystne, a jednocześnie w dużym stopniu oczekiwane przez przedsiębiorców.

Czy ta platforma konsultacji z uczestnikami rynku podatkowego, księgowego, rachunkowego działa nadal?

Tak, dowodem zmiany w projektowaniu Krajowego Systemu e-Faktur (KSeF), który jest mocno skorygowany, ograniczony do B2B, co było oczekiwane ze strony rynku. Identycznie będziemy pracowali nad ordynacją podatkową, tak by wypracować jak najlepszy projekt. Oczywiście system podatkowy jest skomplikowany i nie jest łatwo dokonywać w nim dużych, systemowych zmian. Nie tylko w Polsce. Dziś wiemy jednak, że mimo nalegań opozycji, by wrócić do systemu podatkowego z 2021 r., bo nic innego, lepszego ich zdaniem nie da się stworzyć – okazało się inaczej, że jednak jest to możliwe. Udało się przeprowadzić ogromną zmianę i system podatkowy nieco nam wypieknął, jest dużo bardziej sprawiedliwy. Kwota wolna działa lepiej dla podatników mniej zarabiających, mamy sprawiedliwe zróżnicowanie między osobami zarabiającymi mało,

przeciętnie albo bardzo dużo. W pewnych warunkach, przy bardzo wysokich dochodach, poprzedni system stał się regresywny. Przykładowo w systemie z 2021 r. osoba zarabiająca 2,5-krotność przeciętnej płacy, płaciła 6,1 pp. więcej w składkach i podatkach względem osoby zarabiającej połowę przeciętnej. Z kolei osoba, która zarabiała pięciokrotność przeciętnej wynagrodzenia płaciła proporcjonalnie do przychodu odpowiednio tylko o 2,5 pp. więcej w podatkach i składkach w stosunku do osoby, która zarabiała połowę przeciętnej. W systemie po zmianach osoba zarabiająca pięciokrotność przeciętnej płaci 9,8 pp. proporcjonalnie więcej niż osoba zarabiająca połowę przeciętnej. Elementarnym konsensusem był i jest zatem bardziej sprawiedliwy system podatkowy.

Ostatecznie ile pieniędzy zostało w kieszeniach podatników? Bo wciąż słyszymy, że podatki są wyższe i wyższe...

Myszę, że w portfelach Polaków zostało 29,4 mld zł. Dokładną kwotę będę mógł podać po rozliczeniu całego roku. Przyznam też, że za każdym razem mnie zaskakuje, gdy politycy opozycji na jednym wydechu potrafią powiedzieć, że podnieśliśmy podatki i chwilę później grzmieć, że okradliśmy samorządy, bo są niższe wpływy z PIT. To ostatecznie oznacza, że po prostu ludzie płacą niższe podatki. Ktoś powie – ale składka poszła w górę. I tu posłużę się niezależną analizą banku Pekao SA, która pokazuje, że per saldo – mimo że u części przedsiębiorców składki na zdrowie poszły w górę, obniżyliśmy podatki i realnie więcej pieniędzy zostało w kieszeniach podatników.

Mówił pan o samorządach, ja wspomnę 1 proc. dla organizacji pożytku publicznego. Sygnał ze strony OPP, że 1 proc. to w tym roku za mało, grozi zapaścią w wielu stowarzyszeniach i fundacjach, pokazał jak w soczewce, że wysokość naszych zobowiązań w PIT realnie spadła. Ostatecznie reakcją było podniesienie dobrowolnej daniny do 1,5 proc.

Polacy bardzo polubili tę formę wsparcia dla organizacji pozarządowych, wprowadzoną – przypomnę

– w 2004 r. Wtedy to było raptem 10 mln zł. W 2022 r. było to już ponad 1,1 mld zł przekazywanych z podatku dochodowego od osób fizycznych dla organizacji pożytku publicznego. Ostatecznie w 2023 r. OPP z 1,5 proc. uzyskają więcej, bo już dziś widać, że podatnicy przekazują dużo więcej niż w analogicznym okresie ub.r., ale na ostateczny wynik musimy poczekać do zakończenia okresu rozliczenia. Zależało nam na utrzymaniu tego poziomu, bo dziś większość podatników hojnie wspiera ten sektor, a jednocześnie mamy świadomość, że te środki publiczne, część podatków przekazywana na wsparcie organizacji realizujących przeciwie wiele zadań administracji publicznej, jest też budowaniem społeczeństwa obywatelskiego. To się sprawdza. Ponadto według wyliczeń na pomoc dla uchodźców z Ukrainy Polacy z własnej kieszeni wydali w różnych formach ok. 9–10 mld zł. To jest gigantyczna kwota nawet wobec środków pochodzących z „1 proc.”. To też pokazuje nasz ogromny potencjał społeczny oraz pomocowy i kolejny raz burzy budowany przez część polityków opozycji.

No cóż... Węgiel miał się nie palić, mieliśmy marznąć w ciemnych domach, gryząc chleb po 30 zł, i płakać nad zeznaniami podatkowymi w br.

Jeśli spojrzymy na średnie, efektywne stawki trzech głównych podatków, to w przypadku VAT, biorąc pod uwagę liczbę stawek obniżonych do 0,5 i 8 proc., średnia ważona stawka wynosi 16,95, efektywny CIT w Polsce to 16,76, a efektywny PIT to 8,47 proc. Mamy więc w Polsce konkurencyjne, uśrednione stawki podatkowe oraz stabilną bazę podatkową i stabilne wpływy. Przypomnę tylko, że w przypadku CIT o blisko 34 proc. wyższe dochody budżetu rok do roku. To pokazuje, jakie znaczenie ma uszczelnienie systemu podatkowego. Przez osiem lat rządów PO-PSL wpływy z CIT wzrosły o 0,7 mld zł, przez osiem lat naszych rządów (2015–2022) o blisko 52,4 mld. VAT – od mniej więcej 27 mld do 107 mld zł. Gdyby dziś rządziła Platforma i mieliśmy analogiczną lukę w systemie

VAT (jak w 2015 r.), to oznaczałoby to 45 mld zł mniej w budżecie. Wszystkie te opozycyjne strachy na lachy się nie potwierdziły – nie ma 20-proc. inflacji, nie będzie recesji w 2023 r. i mimo nadzwyczajnych wydatków, tarczy antyinflacyjnej, która uszczupliła dochody państwa o niemal 40 mld zł, dług publiczny w relacji do PKB, dług całego sektora general government spadł o 1,75 pp. Platforma przez osiem lat – mimo znacznie bardziej stabilnej sytuacji – dorobiła się wzrostu (!) tej relacji o 7,5 pp. Nasz dług publiczny utrzymujemy w ryzach, to jest poniżej 50 proc. PKB, a średnia europejska to 85 proc. Zatem te wszystkie opowieści o tym, że prowadzimy nadmiernie rozrzućną politykę fiskalną, też nie mają żadnego potwierdzenia w liczbach.

Rzeczywiście zmiana systemu podatkowego w ciągu roku nie jest standardową operacją. Zgodnie z konstytucyjną zasadą przyjęliśmy jednak, że jeśli zmieniamy zasady w czasie roku – to tylko na korzyść podatnika

I jak mówił w Waszyngtonie premier Mateusz Morawiecki, gdyby nie pilne i niezbędne wydatki na uzbrojenie na poziomie 4 proc. PKB, mielibyśmy zrównoważony budżet.

Z całą pewnością zbudowaliśmy nie tylko szybko rozwijającą się gospodarkę europejską, lecz także gospodarkę odporną na wstrząsy zewnętrzne. Mamy zdrowe fundamenty, dobre regulacje, przedsiębiorców, którzy potrafią dziś poruszać się na rynkach międzynarodowych. A wydarzenia, których byliśmy i jesteśmy przeciwieństwami, czyli COVID-19, wojna, kryzys energetyczny i surowcowy, niosą w polskich warunkach krótkotrwałe i płytkie skutki, a gospodarka jest na ścieżce wzrostu.

Tak było po pandemii, gdy odbiliśmy się o niemal 7 proc. PKB, tak samo będzie w przyszłym roku, kiedy inflacja będzie zbliżać się do celu inflacyjnego. Udało nam się też zrównoważyć wydatki i dochody publiczne. Nie patrząc na obłęd „doradców” z opozycji suflujących: „Tnijcie osłony i nie pomagajcie najsłabszym w czasie inflacji”, równocześnie podpowiadając skrócenie tygodnia pracy do czterech dni – idziemy środkiem, rozsądnie i to przynosi dobre efekty.

Opozycja najwyraźniej zrozumiała znaczenie polityki społecznej, programów wspierających określone grupy obywateli czy też procesy społeczne. 500+ na stałe zadomowił się w naszych budżetach, 300+ dla ucznia też.

Tusk mówi – czas na „babciowe”. Jak pan zareagował na tę propozycję?

Nie ma znaczenia, jak ja osobiście na to reaguję, ważne jak zareagowali Polacy. I mam głębokie przekonanie, że potrafią ocenić wiarygodność deklaracji składanych przez opozycję. Tą miarą są liczby – tak jak mówiłem, gdybyśmy mieli lukę na poziomie 45 mld zł, nie byłoby żadnych środków na programy socjalne. Składanie dziś takich propozycji przez Platformę Obywatelską jest całkowicie niewiarygodne.

Ten wzrost gospodarczy w Polsce może komuś przeszkadzać?

Biorąc pod uwagę różne miary historyczne, gdyby sięgnąć do wyników gospodarczych Polski od XV w., porównując PKB na głowę mieszkańca – to w relacji do wyników innych państw, głównie Europy Zachodniej, dziś żyjemy w najbogatszej Polsce od kilkuset lat. W 2017 r. przekroczyliśmy 70 proc. średniej Włoch, Francji i Wielkiej Brytanii. Jesteśmy najbliżej najbogatszych państw europejskich. I to jest miara tego sukcesu. Jesteśmy już państwem rozwiniętym, a nie wciąż rozwijającym się. I ważne, że Polacy tę zmianę odczuwają i ważne, by politycy dostrzegali to w rozmowach międzynarodowych. Dziś potrzebujemy tylko bezpieczeństwa i czasu, by utrzymać ścieżkę rozwoju.

Kampania przeciwko polskim lasom udaremniona

Burzliwe dyskusje podczas ostatniego posiedzenia Sejmu, a kilka dni wcześniej także podczas zebrania sejmowej Komisji ds. Unii Europejskiej ujawniły wśród opozycji parlamentarnej braki elementarnej wiedzy o gospodarce leśnej i ochronie środowiska. – Głosując przeciwko uchwale w sprawie obrony polskich lasów, Koalicja Obywatelska, Lewica i Polska 2050 nie zdały jednak znacznie ważniejszego testu – z patriotyzmu, ogólnopolskiej solidarności, dojrzałości i wiarygodności politycznej – mówi nam Anna Moskwa, minister klimatu i środowiska

24 stycznia br. Komisja Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności Parlamentu Europejskiego pozytywnie zaopiniowała zmianę traktatów polegającą na rozszerzeniu kompetencji wspólnotowych m.in. o politykę i gospodarkę leśną. – By leśnictwo mogło zostać wyjęte z wyłącznych uprawnień państw członkowskich, jest potrzebna ich jednomyślna zgoda. Wobec ryzyka utraty istotnego elementu w obszarze państwowej suwerenności 21 marca br. z mojej inicjatywy Rada Ministrów przyjęła stanowisko w obronie lasów państwowych – wyjaśnia minister Moskwa.



– Wraz z polskim rządem nad sprawą pochylił się również parlamentarzyści. Za przyjęciem poselskiego projektu uchwały w sprawie obrony polskich lasów 14 kwietnia br. odpowiedziało się 272 posłów, 160 było przeciw, a 15 wstrzymało się od głosu. Ostateczny wynik głosowania pozostał więc spójny z opinią większości społeczeństwa. Jak pokazują badania opinii publicznej, aż 75 proc. obywateli uważa, że nasz kraj powinien zachować kontrolę nad lasami znajdującymi się na jego terytorium. Nic dziwnego, lasy stanowią 30 proc. powierzchni Polski (9,2 mln ha) i są naszym narodowym dziedzictwem przyrodniczym, które od najmłodszych lat odgrywa istotną rolę w kształtowaniu naszej tożsamości – podkreśla Anna Moskwa. – Świadomość zagrożeń związanych z przeniesieniem kompetencji w obszarze leśnictwa nie jest jednak powszechna, ponieważ poprawne odczytanie projektów dokumentów unijnych nierzadko wymaga posiadania przynajmniej podstawowej wiedzy leśnej – zauważa.

Należy też podkreślić, że model polskiej gospodarki leśnej jest uznawany za jeden z najbardziej proekologicznych i prospołecznych w UE. W Polsce zdecydowaną większością lasów (ok. 80 proc.) zarządza Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe. Nadleśnictwa działają według planu urządzenia lasów sporządzanego na okres 10 lat przez niezależne podmioty specjalizujące się w tym obszarze. Za sprawą trwale zrównoważonej i wielofunkcyjnej gospodarki prowadzonej przez kolejne pokolenia leśników powierzchnia naszych lasów sukcesywnie rośnie. Wraz z rosnącą powierzchnią

polskich lasów powiększają się też zasoby drewna – surowca odnawialnego, bezpiecznego i jednego z najbardziej przyjaznych środowisku. Składy gatunkowe kompleksów leśnych są ponadto przebudowywane w kierunku większego zróżnicowania, zapewniającego lepszą odporność na zagrożenia biotyczne i abiotyczne. To właśnie zachowanie odpowiedniej struktury pozwala na obecność starych i rozrost młodocianych drzewostanów, które będą rezerwuarem lasów w przyszłości. By jeszcze skuteczniej chronić polską przyrodę, w ostatnich latach znowelizowanych zostało w sumie dziewięć ustaw, dzięki którym m.in. zostały zaostrzone sankcje za zanieczyszczanie lasów.

– Przypomnę, że obecne pozyskanie drewna nie może przekroczyć dwóch trzecich przyrostu rocznego lasów, a rokrocznie jest sadzonych 0,5 mld drzew. Krajowy przemysł drzewny i przemysły powiązane zapewniają dziś 0,5 mln miejsc pracy oraz wytwarzają ok. 2,3 proc. PKB. Drewno pozyskiwane z lasów państwowych pokrywa ok. 90 proc. krajowego zapotrzebowania na ten surowiec (w Polsce zużywa się średnio 1 m³ drewna na osobę). Wprowadzenie nowych regulacji na poziomie unijnym z pewnością przyniosłoby więc negatywne konsekwencje dla wielu gałęzi przemysłu, w których Polska jest jednym z liderów. Bezprecedensowy kryzys sektora drzewnego skutkowałby bankructwem wielu przedsiębiorstw, utratą setek tysięcy miejsc pracy, deficytem drewna i wzrostem cen tego surowca – wylicza minister Moskwa.

– W obozie opozycyjnym pierwsza decyzja w sprawie polskich lasów zapadła jeszcze w kwietniu, gdy na forum europejskim trzech eurodeputowanych (Ewa Kopacz, Bartosz Arłukowicz i Adam Jarubas) poparło inicjatywę odebrania państwom członkowskim wyłącznego prawa do zarządzania swoimi zasobami leśnymi. Takie samo stanowisko podczas ostatniego posiedzenia Sejmu przyjęli posłowie KO, Lewicy i ugrupowania Polska 2050, którzy egoistyczne interesy partyjne przełożyli nad dobro narodowe. Nawet w kwestii polskiej racji stanu nie byli więc zdolni wznieść się ponad podziałami. Do konsensusu zabrakło im po prostu politycznej dojrzałości – puentuje Anna Moskwa.

(red)

Nim zaszumi las

Polska jest europejskim liderem w produkcji sadzonek, z których wyrośnie las. Każdego roku w szkółkach w naszym kraju hodzi się ich ponad 712 mln, podczas gdy w pozostałych krajach europejskich od 10 do 100 mln sadzonek. Wiosna to dla leśników najgorętszy okres w roku

Początkiem przygody sadzonek na szkółce leśnej jest wiosenny wysiew nasion większości gatunków drzew i krzewów. W Lasach Państwowych hodowla sadzonek jest prowadzona w szkółkach działających w nadleśnictwach. Najwięcej – 8 mln rocznie – produkuje szkółka w Nędzy, zlokalizowana w Rudach Raciborskich.

ZIARNKO DO ZIARNKA

Zanim jednak wyhoduje się sadzonki, trzeba pozyskać nasiona. Ich zbiór jest nie tylko mozolny, lecz także czasem niebezpieczny. Prace te wykonuje się jesienią i zimą, zgodnie z terminem dojrzewania nasion poszczególnych gatunków. Najesienne zbiory rusza się m.in. pod buki i dęby. Z kolei zima to czas, kiedy z drzew są zrywane szyszki drzew iglastych.

Dobór drzew, z których są pozyskiwane nasiona oraz ich wysiew zostały obwarowane restrykcyjnymi przepisami prawa krajowego, unijnego oraz wewnętrznymi zarządzeniami Lasów Państwowych. Te wielopoziomowe zapisy mają na celu kontrolowanie procesu pozyskania materiału do siewu. Ważne jest, by do wyhodowania sadzonek nie wykorzystywać nasion niewiadomego pochodzenia. Nie mogą być także przewożone z jednego krańca Polski na drugi. Ich dystrybucja odbywa się według ściśle ustalonych zasad regionalizacji. Polska została podzielona na specjalne regiony nasienne dla każdego z głównych gatunków drzew leśnych, w których obrębie można przewozić sadzonki i nasiona. Ma to na celu ochronę lokalnych populacji, najlepiej dostosowanych do warunków, w których żyją od tysięcy lat.

Najprostszym sposobem pozyskania nasion jest zbieranie ich spod drzew. Na szczęście nie trzeba wybierać ich ręcznie spomiędzy roślin runa leśnego. Nasiona dębów albo buków spadają na rozłożone pod koroną płachty materiału lub siatki, z których łatwo się je wybiera. Szyszki drzew iglastych zrywa się z gałęzi ściętych drzew lub – w przypadku najcenniejszych drzewostanów – zrywa się z drzew żywych, stojących. I tutaj do akcji wkraczają arboryści, którzy używając

2022 r. w lasach był urodzajny dla jodły i buka. Przykładowo – do przechowania w Leśnym Ośrodku Nasiennym Nadleśnictwa Dukla trafiło ponad 18 ton nasion buka i 13 ton szyszek jodłowych do wyłuszczenia



Fot. Marianna Bonioł

odpowiedniego sprzętu, wspinają się na czubki masztowych sosen czy jodeł. Akcja ta określana jest jako szyszkobranie i odbywa się z udziałem specjalistów, gdyż praca w koronach masztowych sosen jest niezwykle trudnym i niebezpiecznym zadaniem. Dzięki ich pracy, udaje się zebrać znaczne ilości szyszek – np. 4,7 tony jak w Nadleśnictwie Zwierzyniec w 2021 r.

Dobrej jakości szyszki drzew iglastych wysyła się do wyluszczeni, czyli miejsc, które specjalizują się w ich obróbce. Są tam traktowane suchym i gorącym powietrzem (w temperaturze od 40 do 60 st. C), dzięki czemu się otwierają i wysypują się z nich nasiona. Ze 100 kg szyszek sosnowych otrzymuje się tylko ok. 1 kg nasion. Część jest wykorzystana na bieżące potrzeby, inne trafiają do przechowalni. Trzeba przewidzieć zapotrzebowanie na parę lat do przodu, by zawsze mieć odpowiedni ich zapas. Przykładowo w 0,5 kg olchowych nasion kryje się 560 tys. sztuk (!).

SPOSÓB NA SIEW

W zależności od gatunku drzewa lub krzewu oraz ilości nasion do wysiania stosuje się różne techniki. Małe ilości na wydzielonej powierzchni zagonu można wysiać ręcznie, rozsypując je równomiernie po całej powierzchni lub siejąc we wyciśnięte w glebie rowki. Dla dużych partii stosuje się specjalistyczne siewniki przyczepiane do ciągnika. Siew musi być cały czas kontrolowany, gdyż nie może być ani za rzadki, ani za gęsty.

W przypadku wysiewu mechanicznego sprawdza się na małej partii nasion, czy siewnik ma ustawioną odpowiednią dawkę. Dla poszczególnych gatunków drzew są ustalone normy, ile nasion musi się znaleźć na 1 m² powierzchni zagonu, żeby sadzonki miały najkorzystniejsze warunki do wzrostu. Dla sosny zwyczajnej jest to ok. 600 nasion na 1 m², a dla dębu szypułkowego – 300 żołądździ na 1 m².

Po wysiewie w zależności od wielkości należy przywalać lub delikatnie przykryć warstwą ziemi o odpowiedniej grubości. Obsiane zagony przykrywa się matami, by zapewnić odpowiednią wilgotność oraz zabezpieczyć przyszłe siewki przed słońcem i wymywającym ulewnym deszczem.

Teraz wystarczy tylko poczekać. Szkółkarstwo jest tą częścią leśnictwa, w której efekty pracy widać bardzo szybko. Jeśli wszystko się udało, z ziemi zaczynają się wyłaniać poszczególne siewki, po czasie tworząc gęsty dywan lub zielone rzędkie.

WIELKIE SADZENIE

Sadzonki do opuszczenia szkółki najczęściej są gotowe wiosną. Przykładowo w tym roku szkółka Nadleśnictwa Trzcianka wypuści w las 3,7 mln sadzonek.

Proces pozyskania sadzonek jest prosty, ale wymaga dobrej logistyki. W momencie gdy ziemia już rozmraża, a leśniczowie i leśniczki podejmują decyzję o rozpoczęciu sadzenia, dają znać szkółce leśnej, żeby przygotowała odpowiednią partię młodych drzewek. Sadzonki wyorywuje się specjalistyczną maszyną ciągniętą przez traktor, której stopa zanurza się



Fot. Łukasz Gwizdz

w głębię pod korzenie drzewek i jednocześnie – poruszając się w górę i w dół – dosłownie wytrzepuje sadzonki na powierzchnię ziemi.

Następnie są zbierane i sortowane. Wszelkie uszkodzone lub za małe są odrzucane i trafiają na kompost. Sadzonki zgodne z normą jakościową są liczone i w zależności od gatunku drzewa i rozmiaru pakowane w skrzynki po 1 tys. – 1,5 tys. sztuk lub pęczkowane po 25 lub 50 sztuk.

Sadzonki są delikatne i łatwo przesychają. Po tak długim i pracochłonnym procesie należy zadbać o bezpieczeństwo drzewek już po opuszczeniu szkółki. Wiotkie korzenie drzewek mogą być zabezpieczone specjalnym żelem chroniącym przez wysychaniem i będącym dodatkowym magazynem wilgoci na czas startu w leśnych ostępach. Należy też pamiętać, że takie młode drzewka dla leśnych zwierząt są prawdziwym rarytasem i bez odpowiedniej ochrony zostaną szybko skonsumowane. Można je od razu zabezpieczyć specjalnym środkiem zniechęcającym zwierzęta do ich zgryzania.

Przygotowane do transportu i sadzenia drzewka czekają z korzeniami przysypanymi ziemią lub w skrzynkach. Zakłady usług leśnych, zajmujące się sadzeniem lasu, potrafią odebrać po kilkadziesiąt tysięcy sadzonek naraz. Nie ma co się dziwić, bo do obsadzenia jednego tylko zrębu sosnowego, czyli miejsca, gdzie stary las został wycięty i ustąpił miejsca młodemu, potrzeba nawet 35 tys. sadzonek sosny i 4 tys. sadzonek brzozy.

Czas, temperatura, wilgotność i odpowiedni wybór drzewek przez doświadczonego leśnika wyłonią z tej gęstwiny osobniki, które będą stanowiły właściwy drzewostan przez dziesięciolecia, tworząc kolejne pokolenie lasu. Ale to już pieśń przyszłości. Z kolei w szkółkach wszystko zaczyna się od nowa – cykl powtarza się co rok, od wiosny do wiosny. 



Lasy Państwowe

Sukces premiera Sasina w Chile

Prezes KGHM: mamy gwarancje, które zabezpieczają nasz biznes



– Chciałem bardzo podziękować wicepremierowi Jackowi Sasinowi za obecność w Chile, za wsparcie, które okazało się kluczowe w kontekście gwarancji dla funkcjonowania naszej kopalni Sierra Gorda oraz innych planów. Największa polska inwestycja zagraniczna osiąga w ostatnich latach bardzo dobre wyniki i ma niezłe perspektywy na przyszłość – podsumowuje wizytę w Chile Tomasz Zdzikot, prezes zarządu KGHM Polska Miedź SA

Wszyscy pamiętamy, jak trudnym projektem była należąca do KGHM chilijska kopalnia Sierra Gorda. Dopiero po zmianach, które nastąpiły w ostatnich latach, największa polska inwestycja zagraniczna zyskała blask. Obecnie bije rekordy wydajności wy-

dobywczej i przerobowej, systematycznie poprawia wyniki operacyjne i finansowe oraz zasila budżet KGHM. Przychody ze sprzedaży w 2022 r. wyniosły 1617 mln dol. (dla 100 proc. udziału), czyli 3974 mln zł odpowiednio do udziału własnościowego KGHM Polska Miedź SA.

GWARANCJE NA PRZYSZŁOŚĆ

Podczas trzech dni spędzonych w Chile polska delegacja z wicepremierem i ministrem aktywów państwowych Jackiem Sasinem i prezesem zarządu KGHM Tomaszem Zdzikotem uzyskała bardzo wiele. Rozmowy z przedstawicielami chilijskiego rządu i parlamentu dotyczyły dwóch obszarów: bezpieczeństwa dla działalności kopalni Sierra Gorda i możliwości inwestowania przez KGHM w szczególności w wydobycie litu. To surowiec niezwykle cenny w kontekście transformacji energetycznej. Prezes KGHM podkreśla, że miedziowy gigant chce być obecny w Chile i zakończona właśnie wizyta w tym kraju otwiera takie możliwości. – Kopalnia Sierra Gorda to perspektywiczna inwestycja. Chile to kraj niezwykle bogaty w surowce energetyczne i chcemy o tym rozmawiać – mówi Tomasz Zdzikot.



Strona chilijska wie jedno – KGHM to jeden z filarów polskiej gospodarki i wiarygodny inwestor na zagranicznych rynkach. Ma silne wsparcie Ministerstwa Aktywności Państwowych. Wicepremier Jacek Sasin pomógł w uzyskaniu wielu ważnych deklaracji, w Chile najprawdopodobniej zostanie wprowadzony górny limit opodatkowania, co jest bardzo dobrą wiadomością szczególnie dla takich projektów jak kopalnia Sierra Gorda, która posiada małą zawartość miedzi w kruszywie.

Prezes KGHM nie ukrywa, że w Chile udało się pokazać, że jesteśmy poważnym inwestorem, a Polska broni swoich strategicznych firm. Dalszy rozwój KGHM to umacnianie kopalni Sierra Gorda, pozyskiwanie nowych obszarów dla działalności spółki i prowadzenie biznesu, który się wszystkim opłaca. – Mamy miedź, a bez miedzi trudno dzisiaj myśleć o suwerenności energetycznej. Przekaz, który udało się dzięki wsparciu Jacka Sasina zostawić w Chile, jest następujący: KGHM to filar i światowy lider w branży wydobywczej, który w Chile prowadzi bardzo udaną działalność. Współpraca podobnie jak miedź to nasza przyszłość! – ocenia Tomasz Zdzikot.

W Sierra Gorda KGHM wykorzystuje wieloletnie doświadczenie nabyte w Zagłębiu Miedziowym. Warto zaznaczyć, że ub.r. był drugim rokiem z rzędu, kiedy pieniądze płynęły nie z Polski do Sierra Gordy, tylko z Sierra Gordy do Polski. W 2022 r. było to 200 mln dol. Tomasz Zdzikot z dumą przyznaje, że trudny projekt, jakim była chilijska kopalnia, udało się przekuć w ogromny sukces. Dodaje, że ostatnie lata w Chile wymagały ogromnego zaangażowania polskich menedżerów i zmiany, które zawołały wielkim sukcesem.

KGHM inwestuje za granicą, ale nieustannie podkreśla, że serce spółki to Zagłębie Miedziowe. Prezes Zdzikot zapewnia, że Sierra Gorda to ważny projekt,

ale spółka ma ogromny potencjał i plany wydobywcze w Polsce. – Nie bez powodu bardzo mocno stawiamy na program udostępnienia złoża, który jest jedną z osi strategii KGHM. Tak jak mówił w Chile wicepremier Jacek Sasin – w interesie Polski i Polaków jest to, żeby KGHM się rozwijał i przynosił jeszcze większe dochody dla budżetu państwa. Budżetu, który służy mieszkańcom Zagłębia Miedziowego, Dolnego Śląska, Polski. Sukces kopalni Sierra Gorda to sukces nas wszystkich – zaznacza Tomasz Zdzikot.

ZIELONA SIERRA GORDA

Podczas wizyty w Chile wicepremier Jacek Sasin odwiedził też kopalnię Sierra Gorda, gdzie zapoznał się m.in. z wdrożonymi tam nowoczesnymi rozwiązaniami technologicznymi w produkcji. Wszystko zgodnie ze współczesnymi trendami w branży górniczej.

Od stycznia br. kopalnia Sierra Gorda działa wyłącznie na bazie energii elektrycznej pochodzącej z odnawialnych źródeł energii. Ta zmiana oznacza zatrzymanie emisji 1 mln ton CO₂ do atmosfery rocznie. W procesie wydobywczym kopalnia stosuje wiele innowacyjnych rozwiązań, np. wysokociśnieniowe kruszarki walcowe, które działaniem rozdrabniającym minimalizują wydatki na energię. Do tego jako pierwsza firma górnicza w Ameryce Łacińskiej używa autonomicznego robota, który zlicza stan sprzętów w magazynie. Dane są dostępne natychmiast w zintegrowanym systemie.

JEDYNA TAKA KOPALNIA W CHILE

Sierra Gorda SCM jest jedyną kopalnią w Chile, która przekroczyła swoje para-

metry projektowe. Zakład wzbogacania rudy miedzi został zaprojektowany do procesowania dziennie 110 tys. ton rudy, a w 2021 r. średnia dziennego procesowania wyniosła 130 tys. ton, czyli 18 proc. więcej, niż przewidywał projekt instalacji. Chilijska kopalnia KGHM jest również pionierem górnictwa pokładów o niskiej zawartości miedzi w rudzie. Dla zobrazowania procesu podajemy przykład: by załadować jedną ciężarówkę z rudą, trzeba wydobyć cztery ciężarówki z materiałem płonnym (odpad). Warto podkreślić, że Sierra Gorda wykorzystuje w procesie produkcji wyłącznie wodę morską. Woda jest kluczowa w procesie wydobywczym, ponieważ bez jej użycia konieczne byłoby wykorzystanie zasobów kontynentalnych, których brakuje na pustyni Atakama, uznawanej za najsuchszą na świecie. Dlatego kopalnia wykorzystuje słoną wodę.

Załoga Sierra Gorda może się też pochwalić trzykrotnym rekordem świata w pracy koparki. Używając koparki elektrycznej P&H 4100XPC AC, udało im się załadować 230 400 ton w ciągu 24 godzin. Osiągnięcie niespotykane dotąd w światowym górnictwie zostało zrealizowane w 2020 r. Rekord ten później został pobity dwukrotnie również przez Sierra Gorda. Podobnie jak KGHM w Polsce, kopalnia Sierra Gorda wspiera pracowników i mieszkańców regionu. Strażacy ze społeczności Antofagasta, Sierra Gorda i Calama mogą liczyć na sprzęt, darowizny i szkolenia. Od początku istnienia firma zrealizowała liczne projekty dotyczące zdrowia, bezpieczeństwa czy sportu dla lokalnych społeczności.

(red)

Poza apteką bez zmian

Polacy, szczególnie ci z mniejszych miejscowości i wsi, chcą mieć dostęp do leków pierwszej potrzeby w sklepach i na stacjach benzynowych. Ministerstwo Zdrowia przestrzega zaś, by dyskutując o kwestiach zdrowotnych związanych z dostępnością medykamentów wydawanych bez recepty, nie zapominać o wymiarze społecznym i gospodarczym tego problemu



PIOTR FILIPCZYK

Stwierdzenie, że część Polaków – podobnie zresztą jak mieszkańców innych dużych krajów europejskich – zbyt często sięga po leki, nie jest żadnym odkryciem. Nasz rząd i eksperci przestrzegają jednak przed pozornie łatwymi rozwiązaniami ze sztandarowym postulatem ograniczenia czy wręcz zlikwidowania dostępności do medykamentów poza aptekami. A w takie myślenie wpisuje się z pew-

nością niedawna interpelacja posła Kukiz'15 Jarosława Sachajki, który zaznacza wprawdzie, że samoleczenie ze względów praktycznych i finansowych dla pacjentów i budżetu ochrony zdrowia, to przyszłość, ale należy zapanować nad bezpieczeństwem i starannością wykonywanych czynności – to zaś ma zapewnić jedynie obecność wykształconego farmaceuty w każdym sklepie czy na stacji benzynowej, gdzie są sprzedawane leki bez recepty.

BEZ RADYKALNYCH KROKÓW

Odpowiadając na postulat Sachajki, wiceminister zdrowia Maciej Milkowski podkreślał, że dyskusja na temat dostępności leków poza aptekami jest potrzebna, a pewne korekty

stanu obecnego możliwe, z kolei z całą pewnością nie ma mowy o tak radykalnych zmianach, które proponuje poseł (powołując się na głos środowiska farmaceutów).

„Postulowane przez pana posła uregulowanie sprzedaży produktów leczniczych w placówkach obrotu pozaaptecznego w taki sposób, aby w każdej placówce produkty lecznicze wydawał magister farmacji, nie jest możliwe. Po pierwsze, z uwagi na liczbę aktywnych zawodowo farmaceutów nieprzystającą do liczby funkcjonujących placówek obrotu pozaaptecznego, a po drugie, ze względu na koszt zatrudnienia farmaceuty w placówce, dla której sprzedaż produktów leczniczych stanowi margines działalności” – czytamy w odpowiedzi na interpelację.

Wiceminister Maciej Milkowski polemizuje też ze stwierdzeniem Sachajki, że obrót pozaapteczny nie jest kontrolowany. Przypomina, że nadzór taki sprawuje wszak Państwowa Inspekcja Farmaceutyczna, a obowiązujące przepisy prawa farmaceutycznego zawierają „regulacje dotyczące kontroli i bezpieczeństwa wydawania, zakupu, sprzedaży i przechowywania produktów leczniczych wydawanych bez przepisu lekarza (oznaczonych jako bez recepty – OTC) oraz roślinnych produktów leczniczych”.

OPLAKANE SKUTKI

O tym, że ograniczenie sprzedaży leków wyłącznie do aptek skutkowałoby monstrialną katastrofą, przekonaliśmy się podczas pandemii COVID-19. Bez leków przeciwgorączkowych sprzedawanych w sklepach czy na stacjach benzynowych wielu Polaków po prostu by sobie nie poradziło. Żaden rząd, a zwłaszcza gabinet Zjednoczonej Prawicy, podkreślający misję wyrównywanie poziomu życia bez względu na miejsce zamieszkania, nie będzie też w stanie wytłumaczyć takiej decyzji mieszkańcom wsi i małych miasteczek, dla których miejscowy sklep czy pobliska stacja benzynowa jest często jedynym ratunkiem w nagłej zdrowotnej potrzebie.

To właśnie miał na myśli Maciej Milkowski, podkreślając w swoim piśmie, że wprowadzenie zakazu sprzedaży pozaaptecznej będzie miało swoje skutki zarówno pod względem społecznym, jak i gospodarczym. Skutki oplakane, dodajmy.

Zdecydowana większość lekarzy i ekspertów sektora ochrony zdrowia także opowiada się za utrzymaniem *status quo*. W obecnym, wypracowanym przez długie dekady systemie leki są sprzedawane w aptekach, aptekach internetowych, a te, na które nie trzeba recepty, także w punktach aptecznych, sklepach zielarsko-medycznych i sklepach ogólnospożywczych (w tej kategorii mieszczą się także sklepy na stacjach benzynowych). W każdym z tych miejsc obowiązują ściśle określone zasady sprzedaży i katalog leków, które mogą być sprzedawane.

– Leki przeciwbólowe, przeciwgorączkowe, na biegunkę powinny być dostępne w obrocie pozaptecznym. Musimy bowiem wziąć pod uwagę, że nie każdy mieszka w dużym mieście, gdzie aptek jest dużo i są one otwarte 24 godziny na dobę, w każdy dzień świąteczny. W małych miastach i na wsiach dostępność aptek jest zupełnie inna, znacznie gorsza – mówi dr hab. Anna Staniszevska, adiunkt w Katedrze i Zakładzie Farmakologii Doświadczalnej i Klinicznej WUM, prezes Fundacji Obywatele Zdrowo Zaangażowani. W rozmowie z nami Staniszevska przywołuje przykład miejscowości, w której spędza letnie wakacje. – Jest tam wprawdzie punkt apteczny, ale otwarty tylko dwa razy w tygodniu. Najbliższa

O tym, że ograniczenie sprzedaży leków wyłącznie do aptek skutkowałoby monstrialną katastrofą, przekonaliśmy się podczas pandemii COVID-19

apteka znajduje się w oddalonym o kilkanaście kilometrów mieście powiatowym. Sytuacja, w której musiałabym jechać tam po tabletkę na ból zęba czy ból miesiączkowy, byłaby po prostu absurdem – zauważa.

DZIEWIĘCIU NA DZIESIĘCIU „ZA”

Z opublikowanego właśnie raportu portalu badawczego Zymetria wynika, że 88 proc. Polaków uważa, iż dostęp do leków, które można kupić bez recepty, jest potrzebny, a 83 proc. respondentów zgadza się z opinią, że oferta sklepów czy stacji benzynowych powinna zostać poszerzona – tu najczęściej były wymieniane środki na biegunkę i elektrolity.

Dlaczego kupujemy leki bez recepty poza aptekami? Badani podkreślają przede wszystkim, że częstotliwość

takich zakupów podniosła pandemia COVID-19 i związane z nią zakłócenia w funkcjonowaniu aptek. Co ważne, szczególnie osoby mieszkające na wsi rzadziej niż przed pandemią korzystają z zakupów w aptece – odpowiedziało tak 26 proc. respondentów.

Liczy się oczywiście także dogodna lokalizacja i możliwość połączenia nabycia leków z innymi zakupami. Z powyższych względów najczęściej leki poza aptekami kupują mieszkańcy mniejszych miejscowości (do 100 tys. mieszkańców – 39 proc. nabywców), z badania wynika zaś, że najliczniejszą grupą wiekową wśród kupujących są osoby w wieku 51-60 lat (26 proc.). Wyniki badania Zymetrii wskazują, że poza aptekami kupujemy przede wszystkim produkty dla dorosłych, a najczęstszą motywacją jest potrzeba ratowania się w nagłym przypadku (26 proc. respondentów stwierdziło, że w przypadku pogorszenia się stanu zdrowia w trakcie podróży kupują leki bez recepty na stacjach benzynowych).

JEDNO OPAKOWANIE

Co więc z często podnoszonym argumentem, że dostępność medykamentów w sklepach pogłębia rzekomą lekomanię Polaków czy naraża młodzież na uzależnienie? Dr hab. Anna Staniszevska przypomina, że polskie państwo – jak najbardziej słusznie – podjęło w minionych latach wiele działań, by chronić najmłodszych. Niektóre leki bez recepty, te zawierające np. pseudoeferdrynę czy kodeinę, mogą być sprzedawane wyłącznie w aptece i tylko osobom pełnoletnim.

– Nie ma z kolei żadnego badania, które wskazywałoby na miejsce zakupu leku jako czynnik świadczący o tym, że jego nabywca używa za dużo leków albo robi to w sposób nieracjonalny – podkreśla dr hab. Anna Staniszevska. Przeciwnie, jak wynika z analizy wyników ankiety przeprowadzonej przez badaczy Zymetrii, większość respondentów kupuje jedno opakowanie leku niezależnie od tego, czy robi to w aptece (76 proc. badanych), czy poza nią (71 proc.).

Rozpoczyna się rywalizacja o tytuł
żużlowego mistrza świata

Bartek goni Tony'ego

Kwiecień to długo wyczekiwany miesiąc przez setki tysięcy kibiców w Polsce. To wówczas startuje najlepsza liga świata na żużlu, czyli polska Ekstraliga. Czarny sport, zwany tak z uwagi na to, że przed laty tory były wyłożone właśnie czarną, żużlową nawierzchnią, cieszy się w Polsce największą popularnością na świecie. Kolejny raz faworytem cyklu Grand Prix jest Bartosz Zmarzlik

Pod względem wyników urodzony w 1995 r. w Szczecinie Zmarzlik już teraz zdystansował resztę wielkich tego sportu z naszego kraju, jak choćby Jerzy Szczakiel czy Tomasz Gollob, jedyni dotychczas indywidualni mistrzowie świata z Polski. Szczakiel zdobył tytuł mistrzowski w czasach, gdy do triumfu wystarczyło zwycięstwo w jednodniowym finale, ale sprawa stała się dużo bardziej skomplikowana, gdy od 1995 r. o mistrzostwo zaczęto rywalizować w cyklu Grand Prix, gromadząc punkty na różnych torach o różnej specyfice.



Taki tytuł wywalczył właśnie Tomasz Gollob, który z pewnością miałby na swoim koncie więcej złotych medali mistrzowskich, gdyby nie prześladowający go przez całą karierę pech. Tomasz Gollob był pod koniec lat 90. jednym z niewielu żużlowców, którzy w cyklu Grand Prix mogli skutecznie przeciwstawić się dominacji Szweda Tony'ego Rickardssona, ale przeszkadzały mu w tym liczne kontuzje i wypadki, odnoszone często także poza torem żużlowym.

W 1999 r. niemal pewny złoty medal odebrał Gollobowi wypadek w Turnieju o Złoty Kask, odniesiony dzień przed ostatnimi zawodami, rok później musiał rywalizować ze złamanym w wypadku drogowym obojczykiem. W 2007 r. pilotowana przez ojca Tomasza – Władysława Golloba – awionetka rozbiła się podczas próby lądowania w Tarnowie, a ostatecznie bogatą i wspaniałą karierę żużlowca zakończył poważny wypadek w czasie treningu na torze motocrossowym, który przykuł Tomasza Golloba do wózka. Wspomniane wcześniej wypadki Golloba w jakimś sensie ułatwiły Tony'emu Rickardssonowi wywalczenie aż sześciu tytułów mistrza świata, bo eliminowały jego najgroźniejszego rywala.

Tomasz Gollob był bowiem wybitnym żużlowcem, o czym świadczy fakt, że wygrał aż 22 rundy eliminacji mistrzostw świata i aż 53 razy stał na podium, podczas gdy sześciokrotny mistrz świata Rickardsson wygrywał 20 razy i 45 razy stał na podium. Rywalizacja w formule Grand Prix rządzi się jednak swoimi prawami i Gollob może cieszyć się z tylko jednego złota.

Jednak wspomniany rekord sześciu triumfów Tony'ego Rickardssona – z czego pięć przypadających na cykl Grand Prix, a jeden odniesiony w 1994 r. w czasie ostatniego w historii jednodniowego finału IMS – jest dziś zagrożony przez Polaka. Bartosz Zmarzlik, choć ma dopiero 28 lat, jest już trzykrotnym indywidualnym mistrzem świata i na początku obecnego sezonu

ligowego zdążył pokazać, że będzie jednym z głównych faworytów do kolejnego złotego medalu.

16 kwietnia Bartosz Zmarzlik zadebiutował w swojej nowej drużynie ligowej – PLATINUM Motorze Lublin. Jego zespół na torze w Częstochowie, w meczu z miejscowym Włókniarzem, pewnie zwyciężył 49:41, a mistrz świata wygrał wszystkie wyścigi, w których startował, dokładając do dorobku drużyny 15 punktów. Zmarzlik z marszu został liderem zespołu z Lublina, który chce obronić zdobyty w sezonie 2022 tytuł drużynowego mistrza Polski.

Polska reprezentacja sponsorowana przez ORLEN jest hegemonem w żużlowym świecie i w tym sezonie jest faworytem do wygrania Drużynowego Pucharu Świata. Jest to jednak wypadkowa tego, jak popularny jest to sport w naszym kraju. W żużlowych ośrodkach średnia widzów często przekracza 10 tys. na mecz, a na ligę czy na Grand Prix przychodzą całe rodziny. Można żałować, że od lat ligowego speedwaya nie ma w Warszawie, gdzie motocykle są uruchamiane tylko raz w roku, przy okazji rundy FIM Speedway Grand Prix na Stadionie Narodowym.

Przejście Bartosza Zmarzlika do Lublina ze Stali Gorzów, której jest wychowankiem, to hit transferowy ostatniej dekady. Wcześniej jednak Motor potrafił zaskoczyć ściągnięciem do siebie wielkich nazwisk. Dokładnie 1 kwietnia 1990 r. w drużynie Motoru zadebiutował pierwszy obcokrajowiec z najwyższej półki – Duńczyk Hans Nielsen – ówczesny indywidualny mistrz świata, który rok wcześniej zdobył swój trzeci tytuł. Przeniósł się on do ligi, w której do końca lat 80. jeździli praktycznie sami Polacy. Na inaugurację sezonu w Lublinie przybyło wówczas ponad 40 tys. kibiców, z których większość przecieki o zatrudnieniu Nielsena traktowała jako żart primaaprilisowy. Jednak nie był to żart, a Hans Nielsen przetrwał szlak dla innych najlepszych żużlowców świata, którzy odtąd chętniej zaczęli startować w barwach polskich klubów. Zatrudnienie Nielsena było zatem jak przewrócenie pierwszego klocka domina, zainicjowanie procesu, który doprowa-

Lista wszech czasów najlepszych żużlowców według liczby medali indywidualnych mistrzostw świata

	Zawodnik	Narodowość	Złoto	Srebro	Brąz
1.	Tony Rickardsson	Szwecja	6	3	2
2.	Ivan Mauger	Nowa Zelandia	6	3	1
3.	Ove Fundin	Szwecja	5	3	3
4.	Hans Nielsen	Dania	4	6	2
5.	Barry Briggs	Nowa Zelandia	4	3	3
6.	Greg Hancock	USA	4	2	3
7.	Jason Crump	Australia	3	5	2
8.	Bartosz Zmarzlik	Polska	3	2	1
	Tai Woffinden	Wielka Brytania	3	2	1
10.	Nicki Pedersen*	Dania	3	1	3
18.	Tomasz Gollob	Polska	1	2	4
29.	Jerzy Szczakiel	Polska	1	–	–

*Kursywą zawodnicy startujący obecnie w cyklu Grand Prix

dził do tego, że mamy dziś najpiękniejsze żużlowe stadiony, ogromne zainteresowanie kibiców i przede wszystkim świetnych żużlowców, którzy na co dzień rywalizują w klubach ze światową elitą. Z pewnością w jakimś stopniu wytworem tego procesu jest kunszt Bartosza Zmarzlika, który urodził się dopiero pięć lat po debiucie Nielsena w Motorze, a zatem dorastał i kształtował swoje umiejętności już w czasach, gdy wszyscy najlepsi jeździli w Polsce.

Choć wspomniany tu przykład pełnej wlotów i nieszczęść kariery Tomasza Golloba pokazuje, że w żużlu należy być wyjątkowo ostrożnym z prognozami, to przecież nie sposób nie zauważyć, że gdy w wieku 28 lat Tony Rickardsson zaczynał swój kolejny sportowy sezon, to miał na koncie dopiero jeden tytuł mistrzowski, wywalczony właśnie w czasie finału jednodniowego w 1994 r. W tym samym momencie kariery Zmarzlik ma już trzy tytuły i na liście wszech czasów zajmuje ósme miejsce *ex aequo* z Brytyjczykiem Taiem Woffindenem.

Tegoroczny cykl rywalizacji o tytuł indywidualnego mistrza świata na żużlu zostanie zainaugurowany już 29 kwietnia na torze w chorwackim Goričanie. Rok temu najlepszy był tam właśnie Bartosz Zmarzlik, który w ten sposób rozpoczął marsz po swój trzeci tytuł mistrzowski. Co istotne, w żużlu jak w każdym sporcie moto-

rowym o sukcesie decyduje nie tylko talent zawodnika, lecz także jego przygotowanie sprzętowe. Choć często zarobki najlepszych żużlowców startujących w polskiej lidze przyporządkowują kibiców o zawrót głowy, to jednak warto pamiętać, że z tych pieniędzy zawodnik opłaca swój własny zespół mechaników, a także kupuje i przygotowuje sprzęt, co stanowi potężne wyzwanie finansowe. Bartosz Zmarzlik już kolejny rok jest członkiem ORLEN Teamu, dzięki czemu ma pewność, że pozyskanie najlepszej jakości sprzętu pomoże mu w osiąganiu kolejnych sukcesów na żużlowych torach. Współpraca Bartosza Zmarzlika z ORLENEM wpisuje się w ambicje największego polskiego koncernu, by wspierać najlepszych, najbardziej utalentowanych i przez to najlepiej reprezentujących nasz kraj sportowców. Kibicom zaś pozwala snuć marzenia i plany, że Bartek dogoni i przegoni Tony'ego Rickardssona i stanie się najbardziej utytułowanym żużlowcem w historii czarnego sportu. 

PARTNER DODATKU



WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Jaki samorząd?

Obóz Zjednoczonej Prawicy to Prawo i Sprawiedliwość, Solidarna Polska, Republikanie, a także środowiska patriotyczne i konserwatywne, w tym kluby „Gazety Polskiej” oraz setki zaangażowanych w pracę dla Polski organizacji katolickich, m.in. Polacy skupieni wokół wielu dzieł o. Tadeusza Rydyzka. Obóz prawicy łączy patriotyzm, krytyczny stosunek do komuny i postkomuny w III RP, myślenie o Polsce suwerennej w ramach Unii Europejskiej. Polska prawica oczekuje sprawiedliwych prospołecznych rządów, obecności silnego, ale nie totalitarnego państwa, domaga się od Niemców reparacji, zapewnienia ochrony przed rosyjską agresją, cieszy się z obecności żołnierzy USA na polskiej ziemi. Ogólnie prawica jest dumna z polskiej historii, docenia historyczne znaczenie Kościoła katolickiego, przeciwstawia się szkalowaniu naszego kraju za granicą i w Polsce, protestuje przeciwko kłamstwu w polityce i mediach.

Obóz prawicy potrafi być krytyczny w stosunku do rządzących, którzy także popełniają błędy (np. tzw. piątka dla zwierząt), ale będzie wspierać władzę do najbliższych wyborów także dlatego, że nie ma innej alternatywy. Z pewnością nie jest opcją pnącą się w sondażach do góry Konfederacja, formacja, która jednak okazała się jakoś wyrozumiała dla rosyjskiej agresji na Ukrainę. Głosowania Konfederacji w Sejmie dowodzą, że nie chodzi jej wbrew deklaracjom o zachowanie równego dystansu w stosunku do KO i PiS, a warto przypominąć, że w wyborach prezydenckich w 2020 r. w drugiej turze część liderów Konfederacji jawnie wspierała Rafała Trzaskowskiego w kontrze do Andrzeja Dudy.

Ludzie prawi nie tęsknią do rządów Platformy Obywatelskiej, która przez osiem lat swoich rządów znacząco osłabiła siłę państwa i zubożyła społeczeństwo. Prawica nie wierzy obecnym deklaracjom Donalda Tuska. Ma go wręcz za kłamcę. Wielu wyborców uświadomiło sobie ten fakt tylko dzięki temu, że publiczne media dostatecznie często przypominają jego dawne słowa, a nade wszystko dokonania jego formacji politycznej. Celem Tuska jest utrzymanie silnej polaryzacji w polskim społeczeństwie. Niestety, sprzyja temu dominująca w terenie władza samorządowa reprezentowana w dużej części przez obecną opozycję.

Ideą reformy samorządowej, przeprowadzonej w warunkach wręcz rewolucyjnych w 1990 r., było ograniczenie władzy państwowej na

Można wprowadzić zasadę, że na czas sprawowania władzy samorządowcy zawieszają swoją działalność w partiach politycznych czy też na ich rzecz

rzecz marszałka województwa i samorządu wojewódzkiego. Za tym poszły finanse: udział w podatku dochodowym, subwencje, dotacje, oraz inne późniejsze reformy, które dodały władztwa samorządom.

Niestety, polski samorząd lokalny od ośmiu lat walczy z centralną władzą państwową.

Twórcy reformy samorządowej nie przewidzieli destrukcyjnej siły, która może brać się z przynależności partyjnej w mocno zantagonizowanym społeczeństwie.

O ile na szczeblu centralnym zrozumiała jest walka partii politycznych o władzę, to w terenie, gdzie od władzy samorządowej oczekuje się poprawy codziennego bytu, zaangażowanie samorządowców w walce z władzą centralną, jest błędem i szkodzi lokalnym społecznościom.

Najlepszą ilustracją tego zjawiska jest sprawa portu w Elblągu. Dzięki rządowi powstał przekop łączący Zalew Wiślan z Zatoką Gdańską. Pogłębiono tor wodny na zalewie, by statki mogły dobić do portu w Elblągu. Portu jednak nie ma. Oferta 100 mln zł dofinansowania jego budowy i pogłębienia dojść do nabrzeży została odrzucona przez samorząd. Zrezygnowano także z oferty wykupu terenu portu na rzecz skarbu państwa. Uznano to za zamach na autonomię samorządu.

Czyli ważna zasada konstytucyjna RP, że Polska jest państwem unitarnym, a więc jednorodnym pod względem prawa i władztwa, nie ma zastosowania, gdyż samorząd reprezentujący opozycję w terenie może torpedować decyzje władzy państwowej. „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”, czyli lokalny samorządowiec-polityk, na służbie centrali opozycyjnej partii.

Okazuje się, że centrala Platformy Obywatelskiej w Warszawie zakazała wspólnych działań władz samorządowych w Elblągu z rządem reprezentującym rządzącą formację Prawo i Sprawiedliwość. I to trzeba zmienić po zwycięskich dla obozu prawicy jesiennych wyborach. Władza samorządowa nie powinna być częścią centralnej władzy partyjnej. Więcej – uważam, że samorządowcy nie powinni należeć do partii politycznych. Jeżeli ten pomysł wydaje się trudny do zaakceptowania, to można wprowadzić zasadę, że na czas sprawowania władzy samorządowcy zawieszają swoją działalność w partiach politycznych czy też na ich rzecz. Konieczna jest więc korekta ustawy o samorządach.

www.wojciechreszczyński.pl



Ardanowski, wróć!

Jedna z aktualnych spraw nie daje mi spokoju i nie bardzo wiem, jak ją zrozumieć. Może owo niezrozumienie być skutkiem mojej ograniczonej wiedzy o ekonomii, rolnictwie, handlu. Ale może też być oznaką dryfowania świata w nieznanym i niebezpiecznym kierunku.

Chodzi o zboże i produkty rolne, a właściwie o ich znaczący nadmiar, powodujący zaognienia na linii rząd–rolnicy. Okazało się bowiem, że mamy za dużo żywności, że produkujemy jej zbyt wiele, że nie jesteśmy w stanie skonsumentów tego, co produkujemy. Mamy kryzys nadprodukcji. I nie idzie tu o nadprodukcję luksusów, czyli dóbr niekoniecznych do przeżycia, ale o nadprodukcję produktów podstawowych, takich jak zboże, warzywa, drób. Martwimy się, że mamy ich za dużo. A zmartwienie to jest tak wielkie, że rząd posuwa się do ogłoszenia państwowego skupu interwencyjnego. Tym samym naprawia własne błędy, których skutkiem był nadimport zboża i innych produktów od ukraińskich korporacji rolniczych.

Przypomina mi się wątek z „Kariery Nikodema Dyźmy”, gdy ów, pozornie samodzielnie, wymyśla plan zaradzenia klęsce urodzaju. Plan ten polega na państwowym skupie zboża w zamian za obligacje i pod warunkiem, że sprzedający przechowa owo zboże do późniejszego odbioru, do chwili aż nadejdzie dobra koniunktura dla jego sprzedaży. Nie wiem, czy byłoby to możliwe do zrealizowania jeden do jednego, ale jest to pomysł podobny do tego, który właśnie przedstawił rząd.

Inną sprawą jest kwestia etyczna. Pojawiają się propozycje, by zboże sprzedawać elektrowniom czy innym kotłowniom jako materiał opałowy. Przyznam, że takie rozwiązania przeszywają mnie dreszczem, bo to jest naruszenie świętości chłopskiej pracy i owoców ziemi. Tak po prostu się nie godzi. Zbyt wiele jest na świecie obszarów dotkniętych systemowym głodem i niedostatkiem, byśmy własne nadmiary żywności profanowali w taki czy inny sposób. Jest jednak sporo sposobów na ich właściwe wykorzystanie. Jak chociażby pasze dla zwierząt i drobiu, pasze dla producentów ryb. Ta nasza nadmiarowa bajka nie będzie trwać wiecznie i prędzej czy później wypełnione spichlerze się opróżnią.

Jasne jest, że w tej sytuacji należało zamknąć import zboża z Ukrainy, bo to uderzało w interesy rodzimych gospodarstw,



**Aleksander
Nalaskowski**

*Rolnik jak każdy inny
biznesmen musi się liczyć
z kaprysami rynku,
płynnością cen za swoje
produkty, a wreszcie
z biznesowym ryzykiem*

ale nie od rzeczy jest też pytanie: skoro mamy tak dużo zboża, to dlaczego chleb, symbolicznie chociażby, nie tanieje? Czy w istocie słuszne jest odgórne regulowanie cen zboża i odejście od praw rynkowej podaży i popytu? Rolnictwo zawsze było uzależnione od corocznych urodzajów, od pogody, opadów deszczu, długości zimy. Rolnik jak każdy inny biznesmen musi się liczyć z kaprysami rynku, płynnością cen za swoje produkty, a wreszcie z biznesowym ryzykiem. Dlaczego rolnicy mają być traktowani inaczej niż producenci opon czy wina? W każdym biznesie występuje wszak zjawisko ruchomej koniunktury.

A może warto nadmiary skupionej pszenicy sprzedać po bardzo korzystnej cenie wszystkim, którym jest ona do dalszej produkcji potrzebna, a tym samym tę procedurę włączyć w system pomocy rolnikom, a przynajmniej hodowcom? Może wtedy golonka albo ligawa będą tańsze?

Nie jestem znawcą ekonomiki rolniczej, ale zdrowy rozsądek podpowiada, że jeżeli na rynku występuje nadmiar żywności, to powinna ona tanieć do takiego poziomu, by znalazła zbyt. Trzeba go wytworzyć u siebie albo poszukać poza granicami naszego kraju. To też jest zadaniem naszych ministrów. I nie pomaga temu

powierzenie ministerialnej teki osobom przypadkowym, pozbawionym nie tylko kompetencji, lecz także zielonego pojęcia o rolnictwie i wsi. Marzy mi się powrót do ministerstwa Jana Krzysztofa Ardanowskiego, najlepszego w naszej historii ministra rolnictwa, który podpadł za tzw. piątkę dla zwierząt, gdyż kierował się zdrowym rozsądkiem, dobrem powierzonego mu resortu, a nie emocjami i wydumanymi przesłankami. Ale wcale bym się nie dziwił, gdyby w tej sytuacji nie kwapił się do ministerialnego gabinetu, bo musiałby pić piwo, którego nie uwarzył. Jest jednak coś ponad tymi ambicjami. To nieodmiennie interes Polski chłopskiej, interes tak naprawdę nas wszystkich. Dlatego warto uderzyć się w piersi, przeprosić Ardanowskiego i zaprosić do współpracy. To coś więcej jak interes, to racja stanu.

Nie wolno nam bowiem tracić elektoratu wiejskiego, bo zagłasuje on nieobecnością przy urnach, a tym samym osłabia szanse na trzecie zwycięstwo wyborcze. Dlatego trzeba naprawić zbożową wpadkę, podejmować odważne decyzje i powierzać je zawodowcom. Dlatego Ardanowski.



JAN POSPIESZAŃSKI

Celebrytka zbawia świat

Przeczytałem ten raport z zaciekawieniem i rosnącym zdumieniem

Znam kilka niesamowitych kobiet, które w trosce o swoje dzieci niejako przy okazji rozhulały poważną inicjatywę, a ta później rozrosła się do wymiarów bardzo poważnego przedsięwzięcia.

Beata z Opoła, młoda polonistka, wykładowczyni studiów zaocznych, gdy poznała kompetencje swoich (starszych od siebie) studentek, z obawy, by jej córki, nie daj Boże, nie trafiły do klas, gdzie one uczą, sama założyła szkołę.

Tak w 1990 r. powstała pierwsza w Opolu wyjątkowa szkoła społeczna. Z czasem zyskała taką renomę, że gdy przychodziło na świat dziecko, rodzice biegli i na siedem lat wcześniej zapisywali je do tej szkoły.

Inny przykład. Asia, romanistka, chciała swoje dzieci posłać do przedszkola francuskojęzycznego, a ponieważ wtedy w Warszawie takiego nie było, założyła je sama. Przedszkole się rozrastało, dzieci też rosły, więc Asia wraz z mężem zbudowała szkołę. W międzyczasie spostrzegła, że w ofercie czytelniczej dla najmłodszych niepodzielnie króluje postdisneyowska szmira i kicz. Postanowiła więc z przyjaciółkami zadbać o lektury, które nie będą demolować dziecięcej wrażliwości. Tak powstało jedno z najbardziej znanych wydawnictw Dwie Siostry.

Trzecią inicjatywą jest klinika Budzik. Ewa Błaszczyk nigdy nie pogodziła

się z tym, że jej Ola po nieszczęśliwym wypadku jest przykuta do łóżka. Walcząc o córkę, nabyła potrzebne kompetencje, stworzyła fundację, a teraz doprowadziła do wdrożenia nowych rozwiązań systemowych służącym pacjentom w śpiączce.

Mam ogromny szacunek do tych kobiet. Ciężka praca, a często walka, motywowana miłością do swoich dzieci, przekracza ramy rodziny i zamienia się w imponujące dzieło służące innym. Myślałem, że podobną historią jest akcja badań zdrowia psychicznego młodzieży zainicjowana przez Martynę Wojciechowską. Gwiazda z właściwą sobie skromnością opisuje inicjatywę jako „największe w Polsce badania zdrowia psychicznego wśród dzieci i młodzieży oraz działania edukacyjne”.

Wojciechowska wyjaśnia na stronie projektu Młode Głowy: „Jako mama wiem, że stan psychiczny młodzieży w Polsce jest alarmujący”. Opisuje, że jej 14-letnia córka przyszła ze szkoły z wiadomością, że koleżanka zamierzała popełnić samobójstwo. Stąd mocny impuls, żeby zainicjować badania. Raport z wynikami został opublikowany 17 kwietnia br. Na 113 stronach można przeczytać sporo o problemach psychicznych dzieci, ich niskiej samoocenie, myślach samobójczych, stanach depresji, braku sprawczości. Jest wiele szczegółowych pytań dotyczących przemocy w rodzinie, poczucia osamotnienia, hejtu w mediach społecznościowych i ryzykownych zachowań. Sama inicjatorka mówi, że wnioski są zatrważające. Przeczytałem raport z zaciekawieniem i rosnącym zdumieniem. Wyniki są dostępne na stronie Fundacji Unaweza w zakładce Młode Głowy

i każdy może się z nimi zapoznać. Nie jestem ekspertem. Poczekam na fachowe recenzje np. Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej, który od lat prowadzi programy badawcze i profilaktyczne w szkołach w całej Polsce (mimo doświadczenia nie został zaproszony do współpracy).

Zacznę od końca. Partnerem badania są m.in. TikTok i Sexed, czyli podmioty, które na co dzień demolują psychikę i wrażliwość uczniów. Autorzy zapowiadają już, że w oparciu o wnioski zostanie przygotowany szeroki program profilaktyczny dla szkół, rodziców i resortu. I teraz zaczynam się bać. Czy możliwe jest opracowanie programu pomocy, skoro badanie nie uwzględnia istotnych czynników mających znaczący wpływ na dobrostan psychiczny dziecka? W ankietach rozróżnia się wielkość miejscowości ankietowanych, wiek, płeć [można zakreślić: „kobieta”, „mężczyzna” lub (uwaga!) „inna”], nie znalazłem z kolei pytania, czy dziecko żyje w pełnej rodzinie. Słowo „rozwód” nie pada ani razu na 113 stronach. Autorów nie interesuje też, czy dziecko wyrasta w rodzinie wierzącej.

Ponadto we wnioskach, owszem, zauważono, że zdalne nauczanie spowodowało „utrata higieny cyfrowej”, ale jest mowa tylko o niewłaściwym korzystaniu przez dzieci z internetu czy smartfona, nie ma zaś postulatu radykalnego ograniczenia ich używania. A przecież z publikacji Manfreda Spitzera „Epidemia smartfonów” wiemy, że smartfon i media społecznościowe mają bezpośredni wpływ na wzrost depresji i statystyk prób samobójczych dzieci.

Poszukiwania zagubionych posłów

Niepokojące informacje dotarły do mnie ze źródeł zbliżonych do Koalicji Obywatelskiej. Od trzech dni – jak na razie w pełnej tajemnicy przed mediami – kilka dwuosobowych zespołów posłów tej partii poszukuje trzech swoich kolegów, którzy zaginęli w Puszczy Kampinoskiej. Przepadli jak kamień w wodę. Stało się to podczas wyjątkowej imprezy partyjnej, zarządzanej w ostatni weekend przez Donalda Tuska. Były to biegi terenowe na orientację, przeprowadzone w lasach Kampinosu. Biegi w zamyśle, co zresztą zostało jasno postawione przez startem, pełniły dwie funkcje: rekreacyjno-integracyjną oraz kwalifikacyjną, która miała decydować o odpowiednim miejscu na liście kandydatów do Sejmu w najbliższych wyborach. To ostatnie zdecydowało pewnie o masowym udziale członków KO.

Przypomnę, że istota biegów na orientację sprowadza się do pokonania w możliwie najkrótszym czasie przygotowanej wcześniej trasy, na której są wyznaczone specjalne punkty kontrolne, wymagające ich odnalezienia. Są one oznaczone kółkiem na mapie, które dostają uczestnicy razem z kompasem.



**Jerzy
Jachowicz**

Dramat, który się wydarzył, dotyczy trzech znanych, reprezentatywnych postaci KO. Franciszka Sterczewskiego oraz nierozłącznego duetu śledczych – Dariusza Jońskiego i Michała Szczerby. Ten pierwszy zyskał sobie wśród internautów pseudonimy: Poseł Franek i Struś Pędziwiatr. To dzięki wideo, które zarejestrowało gonitwę posła Sterczewskiego i jego slalom między funkcjonariuszami w próbie przedarcia się do koczujących imigrantów na granicy polsko-białoruskiej. Widać, jak nogi nie wytrzymują tempa narzuconego przez dzielnego parlamentarzystę. Przewraca się, ale za chwilę podrywa się, by kolejny raz podjąć próbę szarży.

Imponujące są też śledcze dokonania poselskiej pary „Sherlock Holmes i dr Watson” oraz zmienność ich ocen. „Po co rząd buduje szpitale tymczasowe? Narodowy stoi pusty!”. A po pół roku: „Od samego początku mówiliśmy, że szpitale tymczasowe są potrzebne”.

Co bardziej nieufni doszukują się przyczyn dziwnego zdarzenia w powierzeniu wytyczenia trasy i przygotowania punktów kontrolnych Grzegorzowi Schetylinie. To chyba niemożliwe. ➤

44 razy Niemen

Nadzwyczajną frajdę rzeszy fanów Czesława Niemena sprawiło ukazanie się reedycji jego dwupłytyowego albumu „Pamiętam ten dzień”, połączone z udostępnieniem 44 piosenek z tego radiowego zestawu w serwisach streamingowych.

Pierwsze wydanie z listopada 2011 r. błyskawicznie zyskało status platyny. I teraz może się stać podobnie, choć zgodnie z tendencją przemian cywilizacyjnych zainteresowanie tradycyjną wersją CD przelicytują pewnie płatne internetowe pobrania poszczególnych utworów. Zwolennicy obu sposobów obcowania z muzyką mają tu bogaty wybór.

Podczas ponad dwóch godzin z nagraniami z lat 1962–1980 jest okazja przypomnieć sobie nie tylko wielkie przeboje legendy polskiej rozrywki (i to nieraz w kilku wersjach, jak np. „Dziwny jest ten świat”, „Pod papugami”, „Czy mnie jeszcze pamiętasz”, „Wspomnienie”), lecz także kawałki mało znane, zwłaszcza z początków kariery, gdy Czesław Juliusz Wydrzycki dopiero szukał repertuaru i własnego wyrazu. Wśród tych ostatnich ciekawostką są wykonania sentymentalnych hitów – „Ave Maria no Morro”, „Malagueña Salerosa” i pastisz „Piosenki tyrolskich górali” – zarejestrowane w 1962 r. w radiowym „Podwieczorku przy mikrofonie”. Jeszcze przed Festiwałem Młodych Talentów, na którym uzdolniony repatriant trafil do Złotej Dziesiątki!



**Adam
Ciesielski**

Świadectwem stylistycznej przemiany pod okiem „ojca polskiego rocka” – Franciszka Walickiego – są nagrane już z Niebiesko-Czarnymi i śpiewane po angielsku światowe covery: „Locomotion” Carole King (1963) i „A Hard Day’s Night” Lennona i McCartneya (1965). Ale i wtedy mało kto mógł przewidzieć, że Niemen tak szybko okaże się rewelacją wokalną, kompozytorską i wykonawczą, indywidualnością międzynarodowej klasy, swobodnie poruszającą się zarówno w piosence, jak i w poezji, awangardowym rocku czy jazzie.

Niezwykle archiwalne nagrania przypominają Czesława Niemena akurat przed czerwcowym jubileuszem 60-lecia Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu – imprezy, której był jednym z głównych bohaterów. W 2024 r. przypadnie 85. rocznica urodzin piosenkarza i 20. rocznica jego śmierci. ➤

Niemen, „Pamiętam ten dzień”,
reedycja, wyd. Agencja Muzyczna
Polskiego Radia



Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

W worku pokutnym

*Redaktor naczelny
Bogusław Chrabota wpadł
w spiralę przeprosin*

Chyba trudno było przypuszczać, że decyzja o zamieszczeniu artykułu autorstwa Jacka Kurskiego w dziale gospodarczym „Rzeczpospolitej” wywoła taką kanonadę. Były prezes TVP jest obecnie przedstawicielem Polski w Radzie Dyrektorów Wykonawczych Banku Światowego i przedstawił analizę zatytułowaną „Wiosenne spotkania w cieniu wojny”. Była poświęcona polityce Banku Światowego w aspekcie wojny na Ukrainie. Artykuł dla bezpieczeństwa został przez redakcję poprzedzony słowem wstępnym, gdzie m.in. zaznaczono: „Czytelnicy mają prawo poznać poglądy publicystyczne Jacka Kurskiego”. Wydawało się, że wszystko jest elegancko i światowo. Ale nie było!



**Ryszard
Makowski**

Michnikowszczyzna nie wybacza ani nie zapomina. A Jackowi Kurskiemu mają co pamiętać! Dokument „Nocna zmiana” i TVP skutecznie odpierająca za jego prezesury hejterskie ataki na rządy Zjednoczonej Prawicy. Naczelny „Rzeczpospolitej” został momentalnie zaszczyty przez swoje środowisko. Redaktorka histeryzowała w „Newsweeku”: „I mam ochotę krzyknąć do Bogusława Chraboty: nie rób z nas wszystkich idiotów!”. I naczelny skruszał w imponującym tempie. Wymagało to „wysilku moralnego” – tłumaczył. Przeprosił „wszystkich, którzy mogli poczuć się tym urażeni”. Olsniło go, że Jacek Kurski „to raczej człowiek, który nie powinien mieć dostępu do polskich mediów na równych zasadach”. Co za błyskawiczna resocjalizacja.

Furia elity III RP z jednej strony bawi, z drugiej obnaża skalę nienawiści. Miał rację Jan Marek Rymkiewicz, wygłaszając gorzkie słowa: „To się już nie skleci”.

Michał Korsun prezentuje: **Agnieszka Holland**
kręci... film o **Straży Granicznej**



Wycinki z przeszłości

Ta piękna ilustracja pochodzi z tygodnika „Światowid” z wiosny 1935 r. Oprócz nowości ze świata pismo podawało sposób na domowy kosmetyk wzmacniający cerę. „Maseczka z żółtka, utarta z cukrem gronowym na wodnej kąpeli daje doskonale efekty. Można stosować na szyję i na dekolt. Na wodnej kąpeli to znaczy, że naczynko, w którym uciera się maskę, zanurzone jest w innym naczyniu, do którego nalewa się zimnej wody”.

Może ktoś się odważy i spróbuje?

(mk)



Kwietniowo, odlotowo...

Ponieważ nie zdarzyło mi się na razie nic lepszego napisać jak ten wierszyk przed paroma laty (i publikowany wtedy) poświęcony temu „zaokiennemu zjawisku”, pozwalam go sobie przypomnieć. W przeświadczeniu, że szansa na powtórkę, np. w przyszłym roku, jawi mi się nieporównywalnie mniejsza, niż to się dotąd roilo.



Leszek Długosz

„Z okna”

*W Krakowie na Brackiej
W sobotnie przedpołudnie
Lekki wietrzyk roznosi
Po podwórku ułudę
Przekwita magnolia w kwietniową pogodę
Ubywają
Opadają płatki białe
Srebrne atlasowe*

*W oknie stoję nieruchomy
Ani westchnę nawet
By się nie rozwiła
Uhuda z naprzeciw
Kwitnąca nietrwała*

*Jeszcze ona ten raz moja
W kwietniu i w tym roku
Cicho pięknie – o d l o t o w o
Lekki wietrzyk roznosi podwórko
Magnolię
Mnie w oknie
Co chwilę po trochu*

*Świat się wokół mocije
Środek kwietnia prawie
– Z taką chwilą nierealną
W sobotę bieżącą
Odfruwam z magnolią
Realnie na jawie...*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiety SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedewu w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZA

Instynkt strategiczny

Taktyka to podejście głównie reaktywne – działamy, gdy coś się już wydarzyło. Strategia to podejście proaktywne, wyprzedzające inicjowanie procesów, które jeszcze w ogóle nie zaistniały

Obiecałem w ubiegłym tygodniu, że napiszę na ten temat i oto piszę.

Zaczynam od definicji. Posiadać instynkt to robić coś niejako automatycznie, bez większego namysłu, mieć wpojony, wypróbowany zbiór nawyków pozwalających na szybkie reagowanie w obliczu różnych wyzwań.

Kłopot z obecną sytuacją Rzeczypospolitej polega na tym, że wiele aktywnych w życiu publicznym osób, a także całych środowisk, które dysponują zasobami umożliwiającymi aktywność na wielu polach, nie posiada w ogóle instynktu gry zbiorowej. Tymczasem polityka – by być skuteczna – musi zawsze kroczyć na dwóch nogach. Jedna noga to *misja*, a druga noga to właśnie *gra*. Polityka uprawiana bez misji szybko się wyjalawia i zamienia ludzi w nią zaangażowanych w cyniczne maszyny do osiągania korzyści. A polityka bez umiejętności gry nie posiada dostatecznej manewrowości, zdolności osiągania kompromisów, nie osiąga swoich celów. Rzecz zatem w tym, by w zależności od konkretnych sytuacji misję i grę odpowiednio równoważyć.

Skuteczny instynkt gry wychodzi od dwóch realistycznych diagnoz. Po

pierwsze: autodiagnozy swoich własnych sił, zalet, słabości i ograniczeń. Po drugie: tego samego, ale w odniesieniu zarówno do przeciwników, jak i sojuszników. To drugie oznacza zaś m.in. umiejętność wykroczenia poza perspektywę swoich własnych wartości i interesów, zdolność rozumienia cudzych punktów widzenia.

I właśnie w tej ostatniej sprawie: czy obecni polscy politycy potrafią narysować adekwatną, tj. wolną od iluzji oraz ideologicznych i historycznych doświadczeń, w tym również urazów, mapę wartości i interesów, którymi kierują się obecne elity decyzyjne Rosji, Ukrainy, Niemiec i USA? Czy należycie głęboko rozumiemy *ich* gry toczone też na tych obszarach, które bezpośrednio nie dotyczą Polski?

Mówiąc o tytułowym instynkcie, warto bazować na dobrej definicji strategii. Zwyczajowo specyfikę strategii określa się przez przeciwstawienie jej taktyce. Taktyka zabiega o cele bieżące, strategia o długofalowe. Taktyka rozgrywa się odcinkowo, strategia całościowo – w tym kontekście mówi się o Big Picture, o całościowym obrazie spraw. Wreszcie taktyka to podejście głównie *reaktywne* – działamy, gdy coś się już wydarzyło. Strategia to podejście *proaktywne*, wyprzedzające inicjowanie procesów, które jeszcze w ogóle nie zaistniały. To wszystko ważne i trafne, ale w sumie dość szkolne.

Poważniejsze, trudniejsze rozumienie strategii przywołuje Marek Budzisz w książce „Samotność strategiczna Polski”. Cytuje on wybitnego brytyjskiego badacza, Lawrence’a Freedmana, który wskazał, iż „strategia pozwala na uży-

skanie więcej, niżli wynikałoby to z relacji sił”.

W odniesieniu do wojny na Ukrainie znaczy to np., że ciągle musimy ponownie wykonywać rachunek strategiczny, gdyż różne kraje różnie w tę wojnę zaangażowane w kolejnych jej fazach zmieniają poziom swojej gotowości do mobilizacji dostępnych im zasobów, czyli do ponoszenia kosztów tej wojny.

Żeby uzyskać więcej, niż wynikałoby to z relacji sił, trzeba mieć gotowość dokonywania szybkich, zaskakujących – także dla samego siebie i swojego społeczeństwa – manewrów, w tym wchodzenia w nowe koalicje.

W dzisiejszym świecie polski instynkt strategiczny musi obejmować naszą aktywność w wielu wspólnotach międzynarodowych – z NATO i UE na czele. Ale musi też obejmować dojrzałe poczucie odrębności *niektórych* naszych interesów.

Ciągle musimy zabiegać o suwerenność, ale mamy nader niedorozwinięte to, co należy nazwać technologią suwerenności. Często zapominamy, że – jak wskazał felietonista „Rzeczypospolitej” Jan Maciejewski: „Suwerenność jest odnalezieniem właściwego miejsca w istniejącym układzie zależności”.

Nie wystarczy, że instynkt strategiczny posiada dość wąska grupa, która na co dzień kieruje państwem. Bez wdrożenia takiego instynktu u naszych dyplomatów, naukowców, aktywistów trzeciego sektora, słowem – bez systemowego podniesienia polskiej kultury strategicznej (słusznie o to upomina się Jacek Bartosiak) bardziej będziemy wypatrywać zagrożeń niż okien możliwości.

Andrzej Zybertowicz

Nowe wydanie w kioskach!



Bij zabij!

– pojedynek Wołodyjowski kontra Bohun

Wyścig pokoju '68

– wielka bitwa z milicją w Warszawie

Szabla polska

– święty symbol oręża polskiego

Zamów e-prenumeratę **wSIECI** i **HISTORII**
50% taniej!

Wejdź na www.SiecPrzyjaciol.pl





TOTALIZATOR
SPORTOWY



EDYCJA

WYGRYWAMY
ZACZYNA SIĘ OD WY

Grajcie w  i zgłaszajcie
pomysły na obiekty
sportowe i kulturalne
w Waszej okolicy.

Szczegóły akcji na gramywygrywamy.pl